

GDZIE ZAWISŁA POLSKA
FLAGA W 1945 ROKU?

KORFANTY W BERLINIE

MÓWIA WIEKI
MAGAZYN HISTORYCZNY

Grudzień 2025
numer 12/2025 (791)
cena 12,50 zł (8% vat)



FUNDACJA WSPÓŁPRACY
POLSKO-NIEMIECKIEJ
STIFTUNG
FÜR DEUTSCH-POLNISCHE
ZUSAMMENARBEIT



Berlin

– miasto wielu kultur
i języków



DEUTSCHES
POLEN
INSTITUT

PAN
POLSKA AKADEMIA NAUK



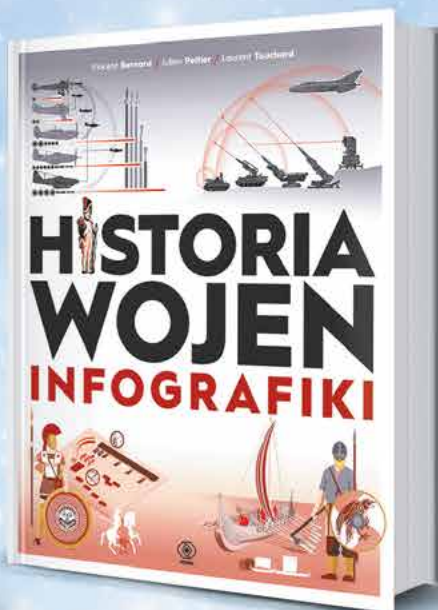
ZENTRUM für HISTORISCHE FORSCHUNG BERLIN
der Polnischen Akademie der Wissenschaften
CENTRUM BADAŃ HISTORYCZNYCH
Polskiej Akademii Nauk w Berlinie



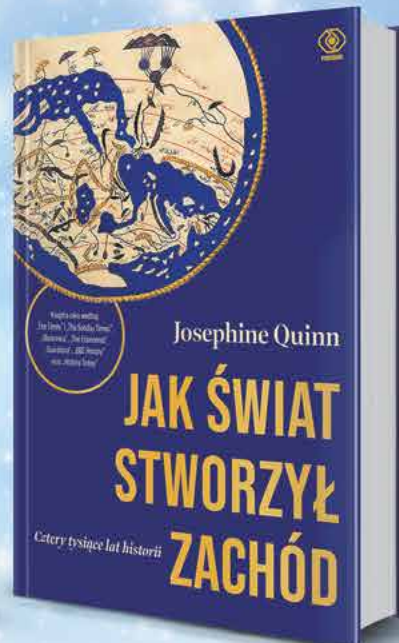
HISTORIA W NAJLEPSZYM WYDANIU!



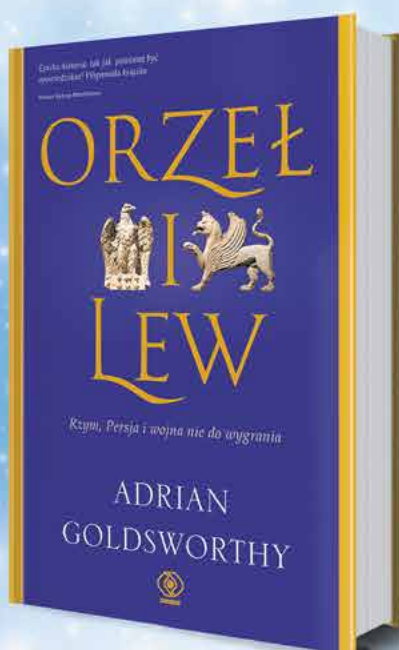
Obszerna historia obfitującego w okrucieństwa konfliktu pomiędzy islamem a chrześcijaństwem



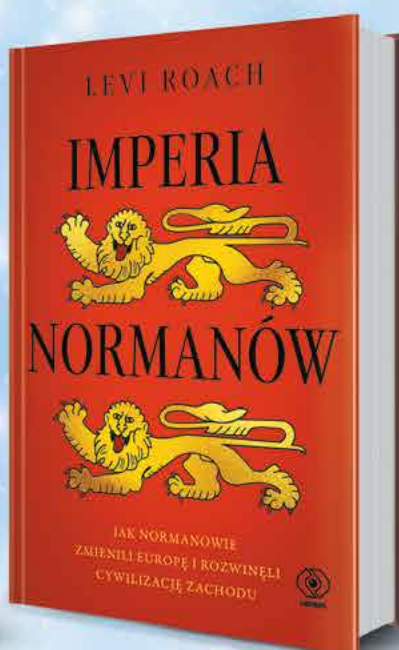
Niezwykle szeroki, a przy tym atrakcyjny i zrozumiały, historyczny obraz wojny



Dzieje dynamicznych relacji między społecznościami w ciągu czterech tysięcy lat



Epicka historia rywalizacji między dwoma supermocarstwami – Rzymem i Persją



Jak Normanowie zmienili Europę i rozwinęli cywilizację zachodu



Pierwsza tak całościowa historia ordy, pokazująca, że ich osiągnięcia nie ograniczały się jedynie do wojowania



Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.



www.rebis.com.pl



FB/DWREBIS



@dom_wydawniczy_rebis

MÓWIA WIEKI

MAGAZYN HISTORYCZNY

RADA REDAKCYJNA

Andrzej Chwalba
Jarosław Czuby
Krzysztof Mikulski
Wojciech Morawski
Jacek Purchla
Andrzej Paczkowski
Jerzy Strzelczyk

REDAKCJA

Tomasz Bohun
Bogdan Borucki (p.o. redaktora naczelnego)
Błażej Brzostek
Andrzej Brzozowski (Telegraf Historyczny)
Wojciech Kalwat
Dariusz Milewski
Anna Liszewska (sekretariat)
Michał Kopczyński
Maciej Krawczyk (sekretarz redakcji,
krawczykmaciej.mw@gmail.com)
Bogusław Kubisz
Miłosz Niewierowicz
Piotr Szlanta
Ewa Wipszycka

ADRES REDAKCJI

ul. Ogrodowa 37,
00-873 Warszawa
tel. 451 144 300
e-mail: mowiaiewiki@mowiaiewiki.pl

Recenzje i kontakt z wydawnictwami

Janusz Gaworski
e-mail: janusz.gaworski@gmail.com

Promocja i reklama

Mateusz Borucki
tel. 506 350 326
e-mail: mowiaiewiki@mowiaiewiki.pl

Kolportaż

Firma 2M Magdalena i Marek Szwed
ul. Poznańska 484, 05-850 Koparki
tel. (22) 245 45 52
e-mail: magdalenaszwed@firma2m.pl

Prenumerata

e-mail: prenumeratamw@gmail.com

PROJEKT OKŁADKI

Marcin Adamczyk

PROJEKT GRAFICZNY, SKŁAD I ŁAMANIE

Marcin Adamczyk

DRUK

Drukarnia LOTOS POLIGRAFIA
ul. Wał Miedzeszyński 98
04-987 Warszawa

WYDAWCA

Oficina Wydawnicza
„Mówią wieki” Sp. z o.o.
ul. Ogrodowa 37
00-873 Warszawa
Współwydawcą Magazynu
Historycznego „Mówią wieki”
jest Fundacja „Mówią wieki”

Na okładce: Brama Brandenburska,
fot. Cezary Piwowarski na licencji
CC BY-SA 3.0

Redakcja nie zwraca materiałów
niezamówionych i zastrzega sobie prawo
dokonywania zmian w tekstach.

Zachęcamy do odwiedzenia naszej strony
internetowej www.mowiaiewiki.pl

Magazyn Historyczny „Mówią wieki”
współpracuje z Polskim Towarzystwem
Historycznym.



Dołącz do nas na Facebooku:
www.facebook.com/mowiaiewiki

OD REDAKCJI

Berlin często zaskakuje turystę z zagranicy swoją wielokulturowością i wielojęzycznością, które dla berlińczyków są elementami ich codzienności. Szacuje się, że stolica Niemiec jest zamieszкана przez przedstawicieli ponad 190 grup narodowych. 829 tys. stanowią cudzoziemcy, głównie z Bliskiego Wschodu i Europy Wschodniej. Statystyki pokazują, że większość berlińczyków to etniczni Niemcy, natomiast aż ok. 48 proc. ma pochodzenie migracyjne (tzw. *Maigrationshintergrund*). Polskim pochodzeniem legitymuje się ok. 100 tys. zamieszkałych tutaj osób, z czego ponad 62 tys. posiada polskie obywatelstwo.

Niektórzy imigranci żyją w Berlinie we własnych społecznościach, posługując się na co dzień rodzimym językiem i rzadko – lub prawie w ogóle – nie używając języka niemieckiego. Także berlińczycy żyjący tutaj od wielu pokoleń wykształcili własny dialekt języka niemieckiego, zwany popularnie berlińską gębą (*Berliner Schnauze*). Jest on czymś więcej niż tylko miejską gwarą. „Berlińska gęba” to także pewna postawa wobec życia i sposób komunikowania, pełne bezpośredniości, humoru oraz dystansu wobec siebie i innych.

Wielojęzyczne DNA Berlina kształtowało jego dzieje. Sama nazwa miasta wywodzi się od słowiańskiego słowa *brlo* – „suchy teren pośród mokradeł”. Podobnie popularne w Berlinie określenie sąsiedzkiego otoczenia *Kietz* (od *chyża* lub *chyca* oznaczającego chatę) jest zapożyczeniem z języka zachodnich Słowian, którzy od wczesnego średniowiecza zamieszkiwali te tereny. W dialekcie berlińskim przetrwały też wyraźne wpływy języka francuskiego. Na początku XVIII wieku jako rodzimym posługiwał się nim aż co piąty berlińczyk. Prawie jedna czwarta ówczesnej populacji Berlina wywodziła się bowiem z rodzin kalwinistów, którzy znaleźli tutaj schronienie przed prześladowaniami religijnymi w katolickiej Francji. W XIX wieku w stolicy Prus upowszechniły się języki polski i jidysz wraz z imigrującymi tłumnie Polakami i Żydami. 100 lat później, wraz z napływem gasterbeiterów z Turcji, wykształcił się specyficzny dialekt – „turecki niemiecki” (*Türkendeutsch*).

Oddając czytelnikowi numer poświęcony historii wielojęzycznego Berlina, mamy nadzieję, że jego treść wzbudzi refleksję, iż wielokulturowość i imigracja to nie tylko trudności związane z integracją, lecz także wzbogacenie kultury większości każdego społeczeństwa.

Igor Kąkolewski

Szanowni państwo,

Oficina Wydawnicza „Mówią wieki” znalazła się na zatwierdzonej przez Ministerstwo Edukacji i Nauki liście wydawnictw publikujących recenzowane monografie naukowe na poziomie I (80 punktów). Będziemy publikować prace historyczne, a także z dziedzin pokrewnych – archeologii, historii sztuki, prawa i literatury. Fragmenty książek w formie popularnonaukowej mogą być publikowane na łamach miesięcznika „Mówią wieki”. Zapraszamy do współpracy!

Dofinansowano ze środków
Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego
pochodzących z Funduszu Promocji Kultury



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

GRUDZIEŃ 2025 W NUMERZE:

TELEGRAF HISTORYCZNY 4 TEMAT MIESIĄCA: BERLIN – MIASTO WIELU KULTUR I JĘZYKÓW

Christian Lübke: KSZTAŁTOWANIE SIĘ PRZESTRZENI
BERLINA – OD OSADNICTWA SŁOWIAŃSKICH
PLEMION DO CZĘŚCI GERMANIA SLAVICA. 6

Igor Kąkolewski: BERLIN WIELOJĘZYCZNY
I WIELOKULTUROWY 11

Vanessa de Senarclens: PONAD GRANICAMI
LATEM 1773 ROKU. FRANCUSKOJĘZYCZNY
DZIENNIK PODRÓŻY DANIELA
CHODOWIECKIEGO 16

Marcin Joachim Wiatr: POCIĄG
DO KORFANTEGO 19

Monika Saczyńska-Vercamer: ALEKSANDER
BRÜCKNER. GALICJANIN Z URODZENIA,
BERLIŃCZYK Z WYBORU, ODKRYWCA
KAZAŃ ŚWIĘTOKRZYSKICH. 26

MIEJSCE PAMIĘCI I SPOTKAŃ Z POLSKĄ.
ROZMOWA Z PÉTEREM OLIVEREM LOEWEM . . 30

Maciej Krawczyk: JAK NIEMCY POLAKÓW
Z KAZAMATÓW UWOLNILI 32

Stephan Theilig, Mieste Hotopp-Riecke: TATARZY
W BERLINIE. MOZAIKA EURAZJATYCKIEJ
HISTORII TRANSKULTUROWEJ 36

Piotr Szlanta: PRUSCY RADZIWIŁŁOWIE 40

Basil Kerski: POLSKIE MOTYWY BERLIŃSKIEGO
PALIMPSESTU. POLACY W BERLINIE
W XIX WIEKU 45

Jacek Konik: BERLIN I NOBLISTA
Z BUCZACZA 48

Jacek Sawicki: POLSKA FLAGA W BERLINIE. . . 52

CZAS PRZESZŁY I ZAPRZESZŁY
Emil Kalinowski: SŁOWIAŃSKI KUZYŃ
DON KICHOTA? POLSKIE WĄTKI
W TWÓRCZOŚCI MIGUELA DE CERVANTESA . . 56

FILMOWE HISTORIE
Piotr Korczyński: DYLIŻANSEM
PRZEZ REWOLUCJĘ 60

ARCHEOLOGIA ŻYCIA CODZIENNEGO
Jacek Konik: ZAPACH WIELKIEGO ŚWIATA
I MYDŁO POD STRZECHĄ – PERFUMY
Z ULICY MURANOWSKIEJ 64

RECENZJE I NOWOŚCI WYDAWNICZE
Franciszek Mater: LITERATURA MILITARNA . . . 69

KSIAŻKI NOWE I STARE
Maciej Janowski: CZTERY SPRAWY NIEZNANE
I JEDNA BARDZO ZNANA 70

FINANSE PRZEZ WIEKI
Maria Kuchta: ZADŁUŻENIE I KRYZYS
GOSPODARCZY LAT TRZYDZIESTYCH
XX WIEKU OCZAMI CHŁOPÓW 72

Wojciech Morawski: POLITYKA GOSPODARCZA
SANACJI 76



11 **TEMAT MIESIĄCA:**
BERLIN – MIASTO WIELU
KULTUR I JĘZYKÓW
BERLIN WIELOJĘZYCZNY
I WIELOKULTUROWY

W NASTĘPNYM NUMERZE

TEMAT MIESIĄCA: W WALCE Z GŁODEM

W numerze m.in.:

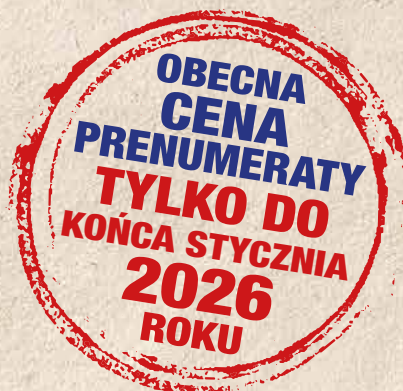
- Z dziejów pożywienia ludowego –
jadło głodowe
- Chleb z powietrza
- Nędza i dostatek

Ponadto:

- Dwie okupacje, dwie porażki –
Niemcy na Ukrainie
- Od narodzin Afrodyty po *Assassin's*
Creed: Bloodlines
- Grecka Posejdonia, lukańskie
Paistom, rzymskie Paestum

PRENUMERATA

+ **BONUS**



Prenumerata Magazynu Historycznego „Mówią wieki”

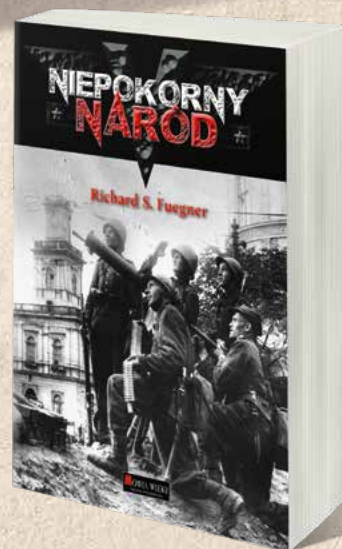
Stawki na prenumeratę w 2025 roku:

Prenumerata półroczna – 75 zł (12,50 zł za numer)

Prenumerata roczna – 138 zł (11,50 zł za numer) + bonus – książka!

Cena detaliczna „Mówią wieki”: 13,90 zł

Ceny obejmują VAT oraz koszt wysyłki.



ZAMÓWIENIA I KONTAKT

Prenumeratę w wydaniu papierowym można zamówić drogą elektroniczną, wysyłając maila na adres: prenumeratamw@gmail.com lub dokonując wpłaty według podanego wyżej cennika na konto:

11 1240 1037 1111 0010 5184 4720

(w tytule przelewu proszę wpisać: prenumerata Mówią wieki, miesiąc rozpoczęcia prenumeraty, adres wysyłki oraz adres mailowy). Każdy numer „Mówią wieki” ma objętość minimum 80 stron i jest dostępny również w wersji elektronicznej. Prenumeratę elektroniczną można zamówić na stronach: egazety.pl, ekiosk.pl, nexto.pl

e-prenumerata roczna 99 zł:

21 grudnia 1975 roku

„SZAKAL” UDERZA W OPEC

Jedną z najważniejszych wiadomości podawanych przez wieczorne serwisy informacyjne 21 grudnia 1975 roku na całym świecie była relacja z wydarzeń, do jakich doszło podczas spotkania przedstawicieli krajów OPEC w Wiedniu. Nie chodziło jednak o ustalenia dotyczące cen ropy naftowej. Rozgorączkowani dziennikarze donosili o ataku terrorystycznym i porwaniu 11 ministrów. Zamach przeprowadziła grupa pod dowództwem terrorysty znanego pod pseudonimami Carlos i Szakal.

Ilich Ramírez Sánchez urodził się w Wenezueli. Jego imię, brzmiące tyleż znajomo, co nieco egzotycznie i ekscentrycznie, nie było przypadkowe – jego ojciec, zagorzały komunista, a przy tym majątny adwokat, był wielbicielem przywódcy rewolucji bolszewickiej (pozostałym synom dał imiona Vladimir i Lenin). Ilich już od czasów studenckich prezentował poglądy tak skrajne, że okazały się nie do przyjęcia nawet na Uniwersytecie im. Patrice’a Lumumby w Moskwie, na którym kształcono studentów z krajów Trzeciego Świata, nazywanym fabryką rewolucji lub wręcz szkołą terrorystów. Mimo że nie ukończył uczelni, okazał się jej doskonałym produktem, terrorystą międzynarodowym. Na początku lat siedemdziesiątych uczestniczył w aktach terroru Ludowego Frontu Wyzwolenia Palestyny, organizacji Czarny Wrzesień, a także przeprowadzał indywidualne zamachy. Nie stronił od podkładania bomb w siedzibach mediów czy nawet wrzucania granatów do kawiarni i galerii handlowych. Jego działania doskonale wpisywały się też w politykę tajnych służb bloku komunistycznego, szczególnie KGB czy

Stasi wspomagały i inspirowały akty terroru w Europie Zachodniej czy – szerzej – zachodniej strefie wpływów.

Latem 1975 roku lider LFWP Wadi Haddad (znany jako Abu Hani) zaproponował Ilichowi porwanie uczestników konferencji OPEC, co miało wywołać kryzys nie tylko polityczny, lecz także ekonomiczny, i podniesienie światowych cen ropy. Akcję zainspirował i sfinansował Saddam Husajn, wówczas wiceprezydent Iraku, który potrzebował pieniędzy na rozbudowę armii. Była ona także na rękę ZSRR, bo niskie ceny ropy pozwalały na szybszy rozwój gospodarczy Zachodu. Broń i sprzęt niezbędne do przeprowadzenia zamachu dostarczyła

ambasada Iraku. 21 grudnia do budynku OPEC bez większych przeszkód weszło sześciu terrorystów wyposażonych w dwa karabiny automatyczne, dziewięć pistoletów, osiem granatów i prawie 20 kg materiałów wybuchowych. Na dole próbował ich zatrzymać policjant Anton Tichler, ale po krótkiej szamotaninie z „Szakalem” został zastrzelony przez jego towarzyszkę Gabriele Kröcher-Tiedemann. Terrorysty windami wjechali na piętro, gdzie odbywało się spotkanie. Od razu po wejściu Sánchez zaczął strzelać, zabijając irackiego ochroniarza i członka libijskiej delegacji. Pozostali zgromadzeni, zastraszeni bronią, nie stawiali oporu. Zanim na miejscu pojawiła się policja, terrorysty zdążyli już rozmieścić ładunki

wybuchowe. Policjanci wpadli do sali, otwierając ogień do napastników, jeden z nich został ranny. Wówczas „Carlos” zagroził, że wysadzi budynek, jeśli się nie

wycofają. W latach siedemdziesiątych nie było jeszcze procedur postępowania z terrorystami, dlatego austriackie władze zgodziły się na stawiane warunki. Następnego dnia na wiedeńskim lotnisku terrorysty wraz z 62 zakładnikami (w tym 11 ministrami) wsiedli do przygotowanego samolotu i odlecieli do Algierii. „Carlos” zażądał, aby oprócz zapłaty okupu ministrowie odczytali w telewizji apel poparcia dla LFWP, ale ostatecznie do tego nie doszło i po kilku dniach zakładnicy zostali zwolnieni w zamian

za prawdopodobnie 50 mln dol.

W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych „Carlos” *vel* „Szakal” brał udział w realizacji i planowaniu licznych zamachów, cały czas też współpracował z tajnymi służbami bloku komunistycznego, swobodnie poruszał się po krajach socjalistycznych, kilkakrotnie przebywał w Polsce. Afiszował się wystawnym stylem życia. W 1994 roku został wydany przez Sudan władzom francuskim i w wyniku kilku procesów skazany na potrójne dożywocie. Według ostrożnych szacunków odpowiada za śmierć 1500 osób, które zginęły w zamachach terrorystycznych z jego udziałem. Kilka lat temu prosił Putina o rosyjskie obywatelstwo.

A.B.



Fot. Wikimedia Commons

Ilich Ramírez Sánchez ps. Carlos, Szakal, fotografia z fałszywego peruwiańskiego paszportu

Kalendarium

❑ **1 grudnia 1415:** urodził się arcybiskup lwowski Jan Długosz, wychowawca synów króla Kazimierza Jagiellończyka, historyk, dyplomata, autor m.in. 12 ksiąg *Roczników*, czyli *chronik sławnego Królestwa Polskiego*.

❑ **2 grudnia 1805:** bitwa trzech cesarzy: 71 500 żołnierzy Napoleona pokonało pod Austerlitz 92-tys. sprzymierzoną armię cesarzy austriackiego i rosyjskiego. Armia austriacko-rosyjska straciła łącznie 16 tys. zabitych i rannych oraz 11,5 tys. jeńców, łączne straty francuskie wyniosły zaś 9 tys. ludzi. Wskutek tej batalii 4 grudnia cesarz Franciszek II poprosił o rozejm.

❑ **3 grudnia 1940:** Cyryl Ratajski

został mianowany delegatem rządu na kraj.

❑ **4 grudnia 1245:** zmarł Christian z Oliwy, pierwszy biskup Prus, założyciel rycerskiego zakonu braci dobryńskich.

❑ **5 grudnia 1975:** 59 polskich intelektualistów skierowało do władz komunistycznych list z protestem przeciwko zmianom w Konstytucji PRL, w tym szczególnie przeciwko zapisowi o kierowniczej roli PZPR i wieczystym sojuszu z ZSRR. Domagali się także respektowania praw i wolności obywatelskich.

❑ **6 grudnia 1185:** w Coimbrze zmarł Afonso I Zdobywca, pierwszy król Portugalii.

❑ **7 grudnia 1550:** odbyła się koronacja żony Zygmunta Augusta Barbary Radziwiłłówny.

❑ **8 grudnia 65 p.n.e.:** urodził się rzymski poeta Quintus Horatius Flaccus, czyli Horacy.

❑ **9 grudnia 1990:** Lech Wałęsa wygrał ze Stanisławem Tymińskim w drugiej turze wyborów prezydenckich.

❑ **10 grudnia 1905:** Henryk Sienkiewicz odebrał literacką Nagrodę Nobla za całokształt twórczości.

❑ **11 grudnia 1605:** król Zygmunt III Waza po śmierci pierwszej żony Anny Habsburżanki poślubił jej młodszą siostrę arcyksiężniczkę Konstancję.

❑ **12 grudnia 1575:** prymas Jakub Uchański ogłosił w senacie wybór cesarza Maksymiliana II na króla Polski. Odbyło się to bez zgody zebranej na elekcję szlachty.

❑ **13 grudnia 1575:** na sejmie elekcyjnym w Warszawie Anna Jagiellonka została wybrana na króla Polski i wielkiego księcia litewskiego.

❑ **14 grudnia 1575:** prymas Jakub Uchański ogłosił Stefana Batorego królem Polski.

❑ **15 grudnia 1970:** w Gdańsku protestujący robotnicy podpálili budynek Komitetu Wojewódzkiego PZPR.

❑ **16 grudnia 1795:** papież Pius VI potępił insurekcję kościuszkowską,

Wieści z Polski

PIASTOWSKIE WŁÓCZNI

Naukowcy z Centrum Archeologii Podwodnej Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu eksplorujący jezioro Lednica odkryli kolejne militaria z okresu rządów pierwszych Piastów. To pozostałości czterech włócznie – jedna z nich najprawdopodobniej służyła do celów reprezentacyjnych. Do tej pory z jeziora wydobyto ponad 280 egzemplarzy broni, jest to zatem największa kolekcja broni wczesnośredniowiecznej (pochodzącej z jednego stanowiska) w Europie. Najciekawsze znalezisko stanowi oczywiście włócznia nazywana książęcą: stalowy grot (zachowała się także tuleja ze skrzydełkami) nosi ślady zdobień, m.in. złotem, srebrem i brązem.

Przetrwwały także fragmenty drzewca – co zdarza się bardzo rzadko – które pozwoli badaczom na uzyskanie dodatkowych informacji na temat tego znaleziska. Specjalistyczne badania dendrologiczne, datowania radiowęglowego i makrofluorescencji rentgenowskiej pozwoliły ustalić m.in., że drzewce włóczni zostało wykonane z jesionu na początku XI wieku. Wraz z informacjami o składzie stopu znalezione groty mogą się stać fenomenalnym źródłem wiedzy na temat technologii i miejsca produkcji.

TORUŃ JESZCZE STARSZY

Tegoroczne wykopaliska prowadzone na dziedzińcu Domu Mikołaja Kopernika w Toruniu przyniosły zaskakujące odkrycia – i to wcale nie-

związane ze słynnym astronomem, lecz sięgające dużo głębiej w przeszłość miasta. Archeolodzy z Muzeum Okręgowego zidentyfikowali tam pozostałości drewnianego budynku mieszkalnego z XIII wieku. Wprawdzie nie są to pozostałości znacznie wcześniejsze niż lokacja Torunia, niemniej do tej pory badacze historii miasta uważali, że przed murowaną zabudową wzniesioną przez Krzyżaków nie było tu żadnych budynków. Na postawienie dalej idących hipotez z pewnością pozwolą badania dendrochronologiczne i dalsze wykopaliska. Badania archeologiczne są jednak utrudnione, ponieważ ogranicza je późniejsza, również zabytkowa, zabudowa – prace muszą być prowadzone ze szczególną ostrożnością, aby nie doprowadzić do zawalenia kamienic. Drewniane konstrukcje z okresu średniowiecza



Dom Mikołaja Kopernika w Toruniu

są tak wyjątkowym znaleziskiem, że w tej chwili opracowywany jest plan zabezpieczenia Domu Kopernika, tak aby można było przeprowadzić dalsze badania, a w przyszłości udostępnić znaleziska turystom.

NAGRODY KLIO ROZDANE

Do XXXI edycji Nagrody Klio zgłoszono 290 publikacji. Spośród nich jury wyłoniło zwycięzców (nagrody I, II i III stopnia) i wyróżnionych w pięciu kategoriach. W kategorii autorskiej nagrodę I stopnia otrzymał Maciej Górny za książkę *Matka wynalazków. Jak Wielka Wojna urządza nam życie* (Wydawnictwo Agora). Za najlepszą monografię naukową uznano książkę Dagmary Adam-

skiej *Winogrody i winne wzgórza. Uprawa i produkcja wina na średniowiecznym Śląsku* (Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego). Nagrodę wydawniczą przyznano Muzeum Gdańskie i Politechnice Gdańskiej za książkę Katarzyny Dareckiej *Drzwi i wrota w Gdańsku. Od średniowiecza do współczesności*. Najlepszą edycją źródłową okrzyknięto *Katalog pieczęci Jagiellonów* (wyd. Towarzystwo Naukowe w Toruniu, Polskie Towarzystwo Historyczne) opracowany przez Martinę Bolom-Kotari, Waldemara Chorażyczewskiego, Mirosława Glejtkę, Marcina Hlebionka, Vitaliya Perkuna i Piotra Pokorę. W kategorii regionalia/varsaviana zwyciężyła książka Krzysztofa Mordyńskiego *MDM. Marszałkowska Dzielnica Marzeń* wydana przez Fundację Centrum Architektury. Serdeczne gratulacje!

Wieści z muzeów

SCYTOWIE W POLSCE

Tylko do końca lutego przyszłego roku w Muzeum Narodowym Ziemi Przemyskiej można będzie obejrzeć wystawę poświęconą „polskim” Scytom zatytułowaną „Grodziska w Chotyńcu. Zachodnia Brama Scytii”. Dokumentuje ona ponad siedem lat prac prowadzonych przez naukowców z Instytutu Archeologii Uniwersytetu Rzeszowskiego w Chotyńcu koło Radymna, gdzie zlokalizowano pierwszy na ziemiach polskich kompleks osadniczy scytyjskich koczowników z VII–V wieku p.n.e. Na ekspozycji pokazano przedmioty odkryte na stanowisku archeologicznym, m.in. groty strzał, biżuterię i przedmioty codziennego użytku, w tym – po rekonstrukcji – amforę na wino wyprodukowaną w greckim zakładzie rzemieślniczym w Klazomenai w Azji Mniejszej.

A.B.

Kalendarium

nazywając ją bezbożnym przedsięwzięciem.

❑ **17 grudnia 1970:** w Gdyni w pobliżu przystanku Szybkiej Kolei Miejskiej Gdynia Stocznia wojско i milicja otworzyły ogień do robotników idących do pracy. Na miejscu zginęło siedem osób, wśród nich Zbigniew Godlewski, bohater *Ballady o Janku Wiśniwskim*.

❑ **18 grudnia 1820:** w Taganrogu urodził się Sokrates Starynkiewicz, przyszły prezydent Warszawy, zasłużony dla miasta, jedyny urzędnik carski, którego imieniem nazwano plac w stolicy.

❑ **19 grudnia 1805:** w Krzemieńcu na Ukrainie Tadeusz Czacki utwo-

rzył słynne później Liceum (początkowo jako Gimnazjum Wołyńskie).

❑ **20 grudnia 1915:** ostatnie oddziały australijskie ewakuowały się spod Gallipoli po nieudanym desancie, który kosztował aliantów 44 tys. zabitych i niemal 100 tys. rannych.

❑ **21 grudnia 1610:** w Kałudze został zamordowany Dymitr II Samozwaniec.

❑ **22 grudnia 1965:** podpisano umowę licencyjną z Fiatem na produkcję w Polsce modelu 125p.

❑ **23 grudnia 1995, 2000, 2005:** zaprzysiężenia kolejnych prezydentów Rzeczypospolitej Polskiej – Aleksandra Kwaśniewskiego (dwukrotnie) i Lecha Kaczyńskiego.

❑ **24 grudnia 1865:** w miejscowości Pulaski w stanie Tennessee sześciu byłych żołnierzy armii Południa założyło rasistowską organizację Ku Klux Klan.

❑ **25 grudnia 1025:** tuż po śmierci Bolesława Chrobrego Mieszko II Lambert został koronowany na króla Polski.

❑ **26 grudnia 1825:** w Rosji wybuchło powstanie dekabrystów (14 grudnia według kalendarza juliańskiego).

❑ **27 grudnia 1655:** w nocy z 26 na 27 grudnia zakończyło się nieudane oblężenie Jasnej Góry przez wojska szwedzkie.

❑ **28 grudnia 1895:** Wilhelm Rönt-

gen opublikował swoje odkrycia dotyczące promieni X.

❑ **29 grudnia 1170:** na rozkaz króla Anglii Henryka II Plantageneta zamordowano arcybiskupa Canterbury Thomasa Becketa.

❑ **30 grudnia 1460:** wojska Lancasterów pokonały siły Yorków w bitwie pod Wakefield podczas wojny Dwóch Róż w Anglii.

❑ **31 grudnia 1600:** w Anglii utworzono Kompanię Wschodnioindyjską. Stowarzyszenie kupców sprowadzających towary z Indii i Dalekiego Wschodu uzyskało od królowej Elżbiety I monopol na handel z tym regionem oraz szerokie uprawnienia polityczne, administracyjne i wojskowe.

Kształtowanie się przestrzeni Berlina – od osadnictwa słowiańskich plemion do części Germania Slavica

Niedawno w niemieckich mass mediach pojawiły się doniesienia bazujące na najnowszej publikacji, która ukazała się w prestiżowym czasopiśmie „Nature”. Berlińska gazeta „Tagesspiegel” opublikowała tekst *Wpływ Słowian*, dodając w podtytule: *Genetycznie Niemcy są nadal podzieleni*.

Artykuł z „Tagesspiegel” przedstawia ustalenia z badań międzynarodowego zespołu naukowców pod kierownictwem lipskiego Instytutu Antropologii Ewolucyjnej im. Maxa Plancka. Naukowcy doszli m.in. do wniosku, że DNA niemal połowy osób urodzonych we wschodnich Niemczech wykazuje związki ze słowiańskimi grupami przybyłymi na te tereny we wczesnym średniowieczu, podczas gdy równoległy odsektek mieszkańców obszarów na zachód od Łaby i Soławy wynosi mniej niż 5 proc. Trwałość tego zjawiska w populacji wschodnioniemieckiej w ciągu ponad tysiąca lat rzeczywiście budzi zdumienie, jednak trudno przesądzać, czy w podobnym stopniu można je zaobserwować także w Berlinie, który wskutek intensywnej imigracji przeżywał dynamiczny rozwój demograficzny od XIX wieku.

W odniesieniu do wydarzeń historycznych badania genetyczne zasadniczo potwierdzają to, co już wcześniej ustaliły inne dyscypliny naukowe – mianowicie że nie doszło do zbrojnego podboju tych ziem przez słowiańskich najeźdźców, lecz raczej do stopniowego napływu niewielkich grup, zapewne wspólnot krewniczych, na w dużej mierze niezamieszkałe obszary, opuszczone przez wcześniejszych germańskich mieszkańców. O kontaktach między obie-

ma grupami świadczą ślady językowe: nazwy rzek i regionów o pochodzeniu germańskim lub staroeuropejskim, np. Hawela i Dahme oraz płaskowyż Teltow, przejęte przez przybyszów. Tego rodzaju nazwy, uzupełnione licznymi słowami pochodzenia słowiańskiego, dokumentują nie tylko fizyczne, lecz także językowe przemowienie przestrzeni, którą Słowianie stopniowo zagospodarowywali.

Obszar ten nie stanowił jednak jednolitej całości, lecz był rozproszony, tworząc niewielkie enklawy osadnicze. Ludność mieszała w małych, składających się z kilku domostw osadach. Przykładem może być archeologicznie potwierdzony ośrodek z VII wieku w Dessau-Mosigkau, składający się z kilku półziemianek,

którego położenie nad Łabą wskazuje na trasę migracji przybyszów wzdłuż tej rzeki z Kotliny Praskiej. Archeologicznie zalicza się ich do wczesnosłowiańskiej kultury praskiej (zwanej też Prag-Korčak).

Wspomniane powiązania widoczne są też poprzez bliskość do języka czeskiego słowiańskiej grupy językowej – staroserbołużyckiej – ewoluującej w zakolu Łaby i Soławy oraz dalej na wschód, u północnego podnóża Rudaw. Natomiast nieco dalej na północ, w dorzeczu Haweli i Sprewy, utrwalił się językowo pokrewny polszczyźnie staropolański. Z kolei pod względem klasyfikacji przyjętej w archeologii osiedlający się tutaj – a więc również na obszarze Berlina – Słowianie należeli do archeologicznej kultury

**Brama Brandenburska,
jeden z symboli Berlina**



Fot. Cezary Piwowarski na licencji CC BY-SA 3.0

Sukow-Dziedzice, która czasowo jest umiejscawiana pod koniec VII wieku. Spektakularnym znaleziskiem okazała się datowana na VIII wiek studnia z Berlina-Marzahn. Została ona wybudowana na starszej konstrukcji, wykonanej jeszcze przez Germanów – co nie dowodzi jednak bezpośrednich kontaktów między Germanami a Słowianami.

HAWELANIE I SPREWIANIE

Wraz z napływem Słowian w przestrzeni późniejszego Berlina powstały osady o różnej formie – częściowo zwarte, częściowo rozproszone na dużych obszarach, których lokalizacja sprzyjała prostym metodom wykorzystania okolicznych wód, lasów i gruntów rolnych. Analizując ich archeologiczne pozostałości z najwcześniejszego okresu, trudno dokładnie prześledzić stopniowe kształtowanie się hierarchii społecznej. Staje się ona wyraźna dopiero od połowy IX wieku, wraz z budową obronnych umocnień oraz z wyłanianiem się struktur plemiennych. Jednym z takich plemion byli Hawelanie (Helfeldi), nazwani od rzeki Haweli, wzmiankowani już w IX wieku w spisie ludów tzw. Geografa Bawarskiego, innym – Sprewianie (wzmiankowani w 948 roku jako Zpriauuani), nazwani od rzeki Sprewy. Głównym grodem Hawelan była Brenna (niem. Brandenburg). Natomiast na obszarze przyszłego Berlina, zamieszkanym przez oba plemiona, istniały od drugiej połowy IX stulecia niewielkie grodziska: Spandawa (niem. Spandau) nad Hawelą na zachodzie oraz Kopnika (niem. Köpenick) nad Sprewą na wschodzie. W latach dwudziestych i trzydziestych X wieku oba tereny znalazły się w wyniku zbrojnego podboju pod panowaniem królestwa wschodniofrankijskiego rządzonego przez saskich Ottonów i w 948 roku zostały podporządkowane nowo utworzonemu biskupstwu w Brennie-Brandenburgu.

Narzucone siłą dotychczas pogańskim Słowianom chrześcijaństwo utrzymało się nad Hawelą i Sprewą jedynie przez nieco ponad trzy dekady, które można traktować jako

wczesną fazę *Germania Slavica*. Termin ten został wprowadzony do niemieckiej historiografii w latach siedemdziesiątych XX wieku w ramach programu badawczego realizowanego w ówczesnym Berlinie Zachodnim. Zakładał on interdyscyplinarne badania nad źródłami pisanymi, materialnymi i językowymi, z uwzględnieniem metod historii archeologii i językoznawstwa w celu odtworzenia jak najpełniejszego obrazu interakcji między ludnością germańską i słowiańską w średniowieczu.

Wzrastające od X wieku polityczne, kulturowe i gospodarcze wpływy z obszarów niemieckich na wschodnich słowiańskich sąsiadów miały długofalowo doprowadzić do językowej i etnicznej asymilacji ludności słowiańskiej (często nazywanej też w ówczesnej niemczyźnie *Wendami*) z przybyszami z terenów Niemiec, którzy zaczęli się osiedlać na ziemiach zachodnich Słowian w drugiej połowie XII wieku. Intensywny proces osadniczy i połączone z nim zagospodarowywanie pokrytych gęstymi lasami, rzadko zasiedlonych terenów sprzyjało poszerzeniu zasięgu języka niemieckiego. Zarazem jednak zachował się bogaty zasób słownictwa słowiańskiego, które do dziś zauważamy we wschodnich Niemczech w wielu toponimach, wskazujących zasięg *Germania Slavica*. Z kolei termin „zagospodarowanie ziem” (niem. *Landesausbau*) zastępuje dziś w niemieckiej nauce dawniej stosowane pojęcie „kolonizacja”.

NOWY MODEL ROZWOJU

W 983 roku proces ten został przerwany na ok. 150 lat. Wtedy w wyniku wybuchu powstania Słowian połabskich obszary na wschód od Łaby uwolniły się spod zwierzchnictwa cesarstwa i jurysdykcji niemieckiej.

go Kościoła. Natomiast wybór Magdeburga na główną rezydencję Ottonów oraz siedzibę nowej archidiecezji (968), a także utworzenie przez Piastów księstwa na wschód od Odry zwiększyły znaczenie obszaru Haveli i Sprewy jako strefy tranzytowej w komunikacji zachód–wschód. Rozpoczął się też rozwój gospodarczy, który doprowadził do rozbudowy obu grodów w regionie Berlina – Spandawy i Kopnika – w większe ośrodki, mimo iż w XI wieku nie były one siedzibami znanych z imienia słowiańskich książąt.

W XII wieku sytuacja uległa zmianie. W Niemczech wraz z ideą krucjat narastało przekonanie, że za Łabą mieszkają poganie i wrogowie chrześcijaństwa, a ich pokonanie umożliwi również zdobycie ich ziem. Cel ten współgrał z doświadczeniem krajów Europy Zachodniej, w których rozwój



Ballenstedt: statua Albrechta Niedźwiedzia, margrabiego Marchii Północnej

miast sprzyjał też rozwojowi rolnictwa handlu zbożem poprzez planowe zagospodarowanie wcześniej niewykorzystanych gruntów. Już na początku stulecia klasztor benedyktynów w Pegau (ok. 20 km na południe od Lipska) stał się przykładem dla całego procesu osadniczego. Założony przez margrabiego Wiprechta von Groitscha na słowiańskich ziemiach między Soławą a Łabą, które po 983 roku nie zostały objęte powstaniem Słowian połabskich, przy wsparciu sprowadzonych z Frankonii osadników demonstrował, jakie możliwości wynikały z karczowania lasów i przekształcania ich w grunty orne. Kilka dekad później, w XII wieku rozpoczęto też zakładanie miast nowego typu poprzez nadawanie przywilejów miejskich według modelu magdeburskiego, którego geneza sięga już X stulecia. Przywileje „prawa magdeburskiego” – choć po raz pierwszy określenie to spotykamy w dokumencie z 1188 roku – nadano najpierw Stendalowi w 1160, następnie zaś Lipskowi (1156–1170) i Jüterbogowi (1174).

W tym czasie na północy kontakty polityczne między terenami niemieckimi a północnymi ziemiami Słowian połabskich, na których uformowała się książęca elita, stawały się coraz bardziej intensywne. Niektórzy słowiańscy władcy grodów byli gotowi sami przyjąć chrzest, nie ingerując jednak w wierzenia swoich pogańskich pod-

danych. Do tej grupy należał m.in. Przybysław (łac. Pribizlaus), pan grodu Brenna i władca plemienia Hawelan, który władał terytorium aż po Spandau. Nosił także nadane mu na chrzcie imię Henryk (łac. Henricus) i utrzymywał bliskie relacje z margrabią Albrechtem Niedźwiedziem (był ojcem chrzestnym jego syna Ottona). Albrecht, mianowany w 1134 roku przez cesarza Lotara III margrabią Marchii Północnej, której słowiańscy mieszkańcy *de facto* nie byli poddani cesarstwu, wkrótce wysunął roszczenia do rozszerzenia swej władzy, biorąc udział wraz z innymi władcami niemieckimi, duńskimi i czeskimi w słynnej krucjacie połabskiej (niem. *Wendenkreuzzug*) z 1147 roku. Zawarł też porozumienie z bezdzietnym Przybysławem Henrykiem, na mocy którego po jego śmierci (1150) miał przejąć jego dziedzictwo wraz ze Spandawą.

TAJEMNICZY WŁADCA

W grodzie Kopnik, położonym ok. 30 km na wschód od Spandawy, rezydował groźny konkurent Albrechta, wokół którego narosło wiele legend. Jego tożsamości nie udało się historykom w pełni wyjaśnić. Wiadomo, że bił monety z inskrypcją „Iacza de Copnic”, utrzymywał kontakty z Polską, rościł sobie prawa do dziedzictwa Przybysłwa Henryka

(co chwilowo doprowadziło do zajęcia przezeń Brenny-Brandenburgii) oraz że po zdobyciu Brandenburgii przez Albrechta w 1157 roku musiał się wycofać z ziem Hawelan. W niemieckiej tradycji znany jest jako Jaxa von Köpenick, a część polskiej historiografii identyfikuje go jako Jakse z Kopanicy albo Jakse z Miechowa.

Po jego śmierci (ok. 1176) Kopnik-Köpenick przechodził kolejno pod władzę książąt pomorskich, następnie margrabiów łużyckich z dynastii Wettynów, którzy rozbudowali gród, oraz arcybiskupów magdeburskich. Wśród tych ostatnich wyróżnia się postać arcybiskupa Wichmanna, aktywnego zwłaszcza w procesach osadniczych. Podczas nadania prawa magdeburskiego Jüterbogowi w 1174 roku Wichmann podkreślił zamiar wspierania zagospodarowania ziem – *ku pożytkowi mieszkańców kraju, a zwłaszcza nowych osadników* – na obszarach, gdzie dotąd panowały praktyki pogańskie (łac. *ritus paganorum*).

MARGRABIOWIE BRANDENBURGII

Podobne cele mieli margrabia Albrecht i jego następcy z dynastii askańskiej, którzy zaczęli się posługiwać tytułem margrabiów Brandenburgii. We wschodniej części ziem Hawelan – w tym terenach dzisiej-

Panorama Miasta we współczesnej dzielnicy Berlin-Köpenick, czyli dawnej Kopanicy



szego Berlina – po 1157 roku istniały sprzyjające warunki do rozpoczęcia procesu zagospodarowania tych obszarów. W ten sposób miały stać się one częścią *Germania Slavica*. Zakładano na nich nowe wsie o planowych układach, podczas gdy wiele starszych słowiańskich osiedli przestało istnieć. Ich mieszkańcy musieli przystosować się do nowych realiów oraz nowocześniejszych metod gospodarowania (melioracja, pomiary gruntów, trójpółowka, budowa młynów itp.) wprowadzonych przez osadników niemieckich, niderlandzkich i flamandzkich.

Jedna z najstarszych wsi powstałych (ok. 1200) w wyniku akcji osadniczej (jej nazwa się nie zachorowała) została tak dobrze przebadana archeologicznie, że dziś funkcjonuje jako wieś muzealna w berlińskiej dzielnicy Zehlendorf. Była to niewielka osada w kształcie podkowy – ten typ wkrótce ustąpił miejsca dużym ulicówkom i wsiom rzędownym, których układ widoczny jest do dziś w krajobrazie Berlina, m.in. w Karow, Rosenthal, Pankow i Lübars (założonych ok. 1230 roku). Równie dobrze zachowały się średniowieczne centra innych części Berlina: Tempelhof, Marienfelde, Mariendorf i Rixdorf – fundacji komandorii zakonu templariuszy, działających ok. 1200 roku na płaskowyżu Teltow, prawdopodobnie z polecenia arcybiskupów magdeburskich. Teltow oraz leżący na północ od Spre-

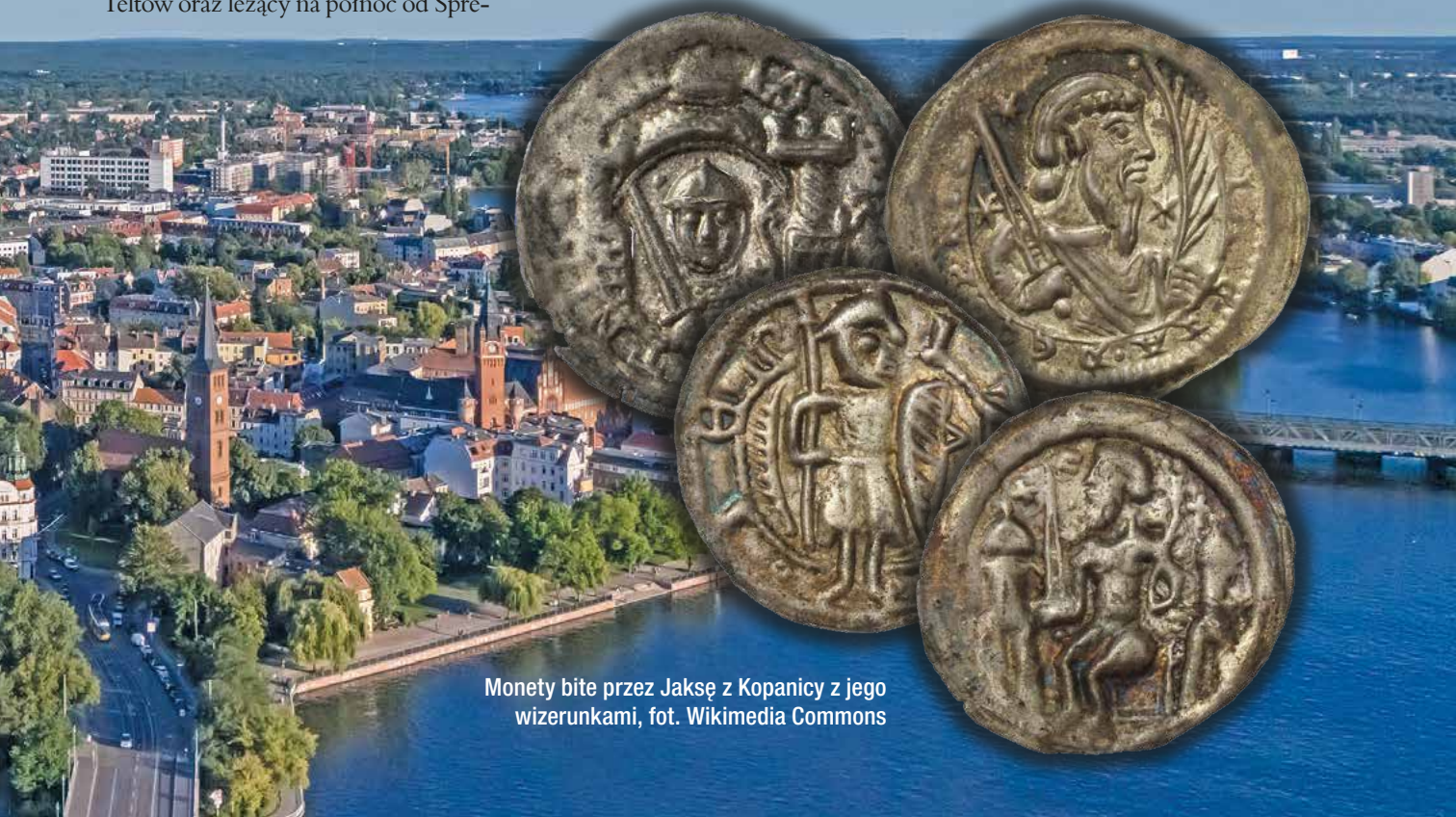
wy Barnim Askańczycy nabyli dopiero ok. 1230 roku od słowiańskiego księcia szczecińskiego i pomorskiego Barnima I z dynastii Gryfitów.

BERLIN I CÖLLN

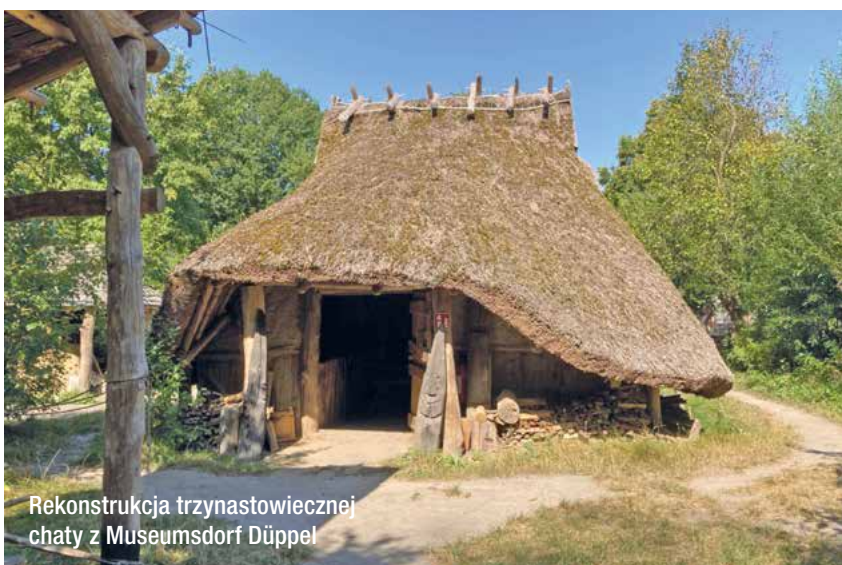
Równoległe z przemianami w rolnictwie postępował rozwój miast – kluczowy element procesu zagospodarowania ziem. Powstawały ośrodki planowe albo zupełnie nowe, zakładane od podstaw w korzystnych miejscach komunikacyjnych lub w pobliżu istniejących grodów, jak w przypadku Spandawy-Spandau i Kopnika-Köpenick. Margrabia Albrecht rozumiał znaczenie miast nowego typu, nadając w 1160 roku Stendalowi prawo zwane później magdeburskim. Jego następcy wspierali rozwój dawnej Brenny, teraz Brandenburga, gdzie krótko przed 1200 rokiem założyli Nowe Miasto. W późnym XII wieku w Spandau na miejscu starego słowiańskiego grodu powstał nowy zamek Askańczyków oraz kościół św. Maurycego, wokół których rozwinęło się miasto. Po raz pierwszy zostało wzmiankowane w 1232 roku, choć prawa miejskie uzyskało zapewne wcześniej. Podobny rozwój przechodził Köpenick do 1245 roku, kiedy po sześcioletniej wojnie o Teltow Askańczycy zdobyli gród, miasto i okolicę, włączając je do

Marchii Brandenburskiej. Obok miasta powstał *Kietz* (od słów *chyža* lub *chyca* oznaczającego chatę) – odrębna osada, której słowiańscy mieszkańcy byli zobowiązani do świadczenia usług rybackich na rzecz margrabiowskiego zamku. Choć geneza tego typu rybackich osiedli może sięgać czasów przed osadnictwem niemieckim, to właśnie tzw. kietze stały się charakterystycznym elementem *Germania Slavica* – w samej Brandenburgii istniały cztery takie osady. W dzisiejszym Berlinie słowo *Kietz* oznacza potocznie najbliższe otoczenie miejsca zamieszkania.

Jednak większe znaczenie niż Spandau i Köpenick zyskał obszar między nimi, gdzie stosunki władzy nie były jeszcze ustalone. Tutaj, przy brodzie oraz na wyspie między dwoma ramionami Sprewy (tzw. Wyspa Sprewy, której południowa część nosi dziś nazwę Fischerinsel, czyli dosłownie: Wyspa Rybaków), istniały dogodne warunki do przekraczania rzeki oraz zakładania osad kupieckich na skrzyżowaniu szlaków handlowych: jednego prowadzącego z Magdeburga do Wielkopolski (Poznań) i na Śląsk (Wrocław) oraz drugiego z Miśni przez Łużycę do rosnących w siłę ośrodków handlowych na wybrzeżu Bałtyku. Krótko przed 1200 rokiem powstały tu dwa centra targowe. Osadę na wyspie być może określano ła-



Monety bite przez Jaksę z Kopanicy z jego wizerunkami, fot. Wikimedia Commons



Rekonstrukcja trzynastowiecznej chaty z Museumsdorf Düppel

cińskim słowem *colonia*, od którego mogła się wywodzić jej późniejsza nazwa – Cölln, podczas gdy osada położona na północ od Sprewy otrzymała nazwę Berlin zapewne od słowiańskiego określenia *brlo* – „suchy teren pośród mokradeł”.

Obie osady zostały wzmiankowane po raz pierwszy dopiero w latach 1237 roku (Cölln) i 1244 (Berlin), jednak od 1245 znajdowały się już pod panowaniem margrabiów brandenburskich, tworząc podwójne miasto – każde z własną radą miejską, burmistrzem, fortyfikacjami, siłami zbrojnymi, rynkiem, ratuszem, pieczęcią i herbem, parafią, szpitalem i klasztorem zakonu żebrzącego św. Franciszka. Ich mieszkańcy pochodzili głównie z macierzystych ziem Askańczyków na przedpolu gór Harzu oraz z Nadrenii i Westfalii. Przejawiało się to m.in. w używaniu przez nich języka dolnoniemieckiego, choć źródła notują także imiona i nazwiska świadczące o pochodzeniu górnoniemieckim. Z XIII wieku zachowało się jednak niewiele świadectw językowych, ponieważ wszystkie dokumenty spisywano po łacinie. Współistnienie słowiańskiego i niemieckiego potwierdzają jedynie nieliczne nazwy miejscowe przytoczone w dokumentach.

DROGA DO ZJEDNOCZENIA MIASTA

Już w pierwszej połowie XIII wieku powstał planowy układ przestrzenny obu ośrodków, który możemy do-

strzec jeszcze na najstarszych planach z XVII wieku. Na wschodnim skraju miasta spiętrzone Sprewę za pomocą specjalnej drewnianej tamy Mühlendamm – nazwę tę nosi jedna z głównych ulic w dzisiejszym centrum Berlina – podnosząc poziom wody w górnym biegu rzeki o ok. 1,7 m. Poniżej tamy zbudowano młyn, które stały się kluczowym elementem gospodarki, wiążąc oba miasta z ich rolniczym zapleczem. Tzw. żyto berlińskie pochodziło najpierw z pól otaczających Teltow i Barnim, gdzie ok. 40 zamożnych rodzin mieszczańskich z Berlina i Cölln posiadało majątki w blisko 90 wsiach.

Produkty rolne, transportowane drogą wodną również w kierunku Hamburga, oraz handel dalekosiężny stanowiły podstawę dobrobytu mieszkańców Berlina i Cölln, które w połowie XIV wieku stały się członkami Hanzy. Aby rozwiązywać wspólne problemy, oba miasta zawierały między sobą porozumienia i zbudowały wspólny ratusz (po raz pierwszy wzmiankowany w 1324 roku) na Lange Brücke (dzisiaj Rathausbrücke), który wraz z Mühlendamm był jednym z dwóch mostów przez Sprewę.

Kolejne próby połączenia obu miast nie powiodły się z powodu sprzecznych interesów rad i cechów. Nie zmieniły tego także wydarzenia związane z budową na Cöllner Spreeinsel zamku Hohenzollernów, którzy od 1415 roku posiadali dziedziczny tytuł margrabiów i elektorski Marchii Brandenburskiej (godność księcia elektora była związana z Marchą Brandenburską

już od 1356 roku). Wcześniej, podobnie jak ich poprzednicy, preferowali oni rezydencje w zachodnich częściach marchii – w Tangermünde i Brandenburgii, a w Berlinie korzystali z tzw. Hohes Haus (czyli Wysokiego Domu), jednego z nielicznych murowanych budynków wśród dominujących drewnianych i szachulcowych domów. Już Fryderyk I (1415–1440) zmierzał do wzmocnienia władzy elektorskiej kosztem miast. Rady miejskie, zaniepokojone zagrożeniem dla swojej autonomii, w 1432 roku zgodziły się na połączenie Berlina i Cölln. Jednak w 1440 roku pod naciskiem elektora i w obliczu zamieszek odwołały tę decyzję. Budowa berlińskiego zamku, wymuszona przez elektora Fryderyka II Żelaznego, który w 1442 roku zmusił radę Cölln do przekazania dużego obszaru na Spreeinsel, zaogniła konflikt i wywołała bunt mieszkańców (tzw. *Berliner Unwille*), czego konsekwencją było m.in. zalanie wykopu pod budowę zamku w 1448 roku.

Ostateczne zwycięstwo elektora miało poważne konsekwencje dla przywilejów podwójnego miasta, nadanych niegdyś w procesie zagospodarowania ziem typowym dla terenów Germania Slavica. Jeszcze w tym samym roku przedstawiciele obu ośrodków miejskich musieli stać się przed sądem i przyjąć wyrok, który oznaczał utratę kluczowych dochodów i wstrząsnął mieszkańcami. Wyrok obejmował kary osobiste dla mieszczan, kontrolę nad obsadą rady miejskiej przez elektora, przekształcenie wspólnego ratusza na Lange Brücke w siedzibę urzędnika elektorskiego, zakaz zawierania sojuszy oraz odebranie podstawowych praw miejskich (jurysdykcji, prawa składu, prawa mennicznego, młynnego i celnego). Ostateczne zjednoczenie Berlina i Cölln nastąpiło jednak dopiero w 1709 roku za panowania elektora Fryderyka III, który od 1701 roku nosił również jako Fryderyk I tytuł króla w Prusach. ■

CHRISTIAN LÜBKE, emerytowany profesor historii na Uniwersytecie Lipskim, mediewista specjalizujący się w dziejach Europy Wschodniej, wieloletni dyrektor Leibniz-Institut für Geschichte und Kultur des Östlichen Europa w Lipsku

Berlin wielojęzyczny i wielokulturowy

Nazwa „Berlin”, po raz pierwszy wspomniana w dokumentach w XIII wieku, pochodzi z języka słowiańsko-połabskiego i oznacza „suchy teren pośród mokradeł”. Słowianie mieszkali tu długo przed przybyciem pierwszych osadników niemieckojęzycznych. Podwójne miasto Berlin i Cölln – jako miejsce handlu i punkt, w którym można było przekroczyć Sprewę – od dawna było tygłem kultur i języków. Od przełomu XVII i XVIII wieku wielokulturowość i wielojęzyczność Berlina były szczególnie widoczne.

Po znacznych stratach ludnościowych w XVII wieku spowodowanych wojnami elektorzy brandenburscy z rodu Hohenzollernów w ramach polityki osadniczej (tzw. *Peuplierung*) postanowili przyjąć w Brandenburii ok. 20 tys. francuskich hugenotów (kalwinistów), którzy uciekli z Francji przed prześladowaniami religijnymi. Podstawę prawną statusu uchodźców tworzył wydany w 1685 roku edykt poczdamski, w którym przyznano im przywileje oraz swobodny dostęp do cechów rzemieślniczych. Edykt gwarantował społeczności hugenockiej m.in. tolerancję religijną, w tym prawo do mianowania własnych duchownych i sprawowania nabożeństw reformowanych w języku francuskim. Większość hugenockich *refugiés* (uchodźców) osiedliła się w Berlinie.

Pod koniec XVII wieku społeczność hugenocka liczyła ok. 5 tys. członków, co stanowiło mniej więcej 20 proc. całkowitej populacji Berlina. 100 lat później 10 proc. z ok. 150 tys. mieszkańców stolicy Królestwa Prus posługiwało się językiem francuskim jako pierwszym. Dopiero w ciągu na-

stępnego stulecia w pełni zasymilowali się oni z niemieckim otoczeniem. Do dziś niektórzy berlińczycy noszą nazwiska pochodzące od francuskich uchodźców religijnych.

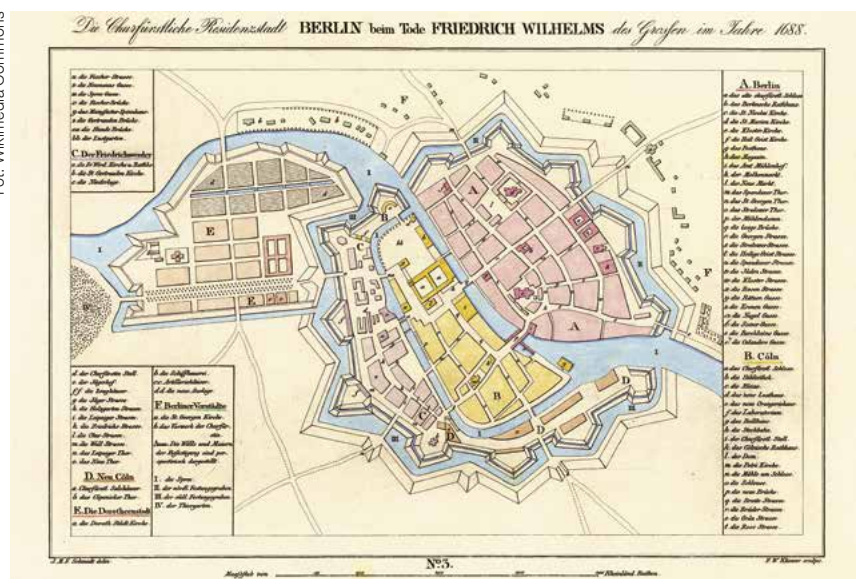
JĘZYK FRANCUSKI W BERLINIE

Zachowaniu języka francuskiego przez kolejne pokolenia sprzyjała postawa berlińskich hugenotów, dystansujących się od reszty niemieckojęzycznej ludności. Wiązało się to m.in. z ich polityką małżeńską – mariaże zawierano głównie między członka-

mi francuskojęzycznych rodzin imigranckich. W XVIII wieku francuscy uchodźcy religijni tworzyli stosunkowo zamkniętą kolonię w ówczesnych dystryktach Dorotheenstadt i Friedrichstadt, tj. w okolicy, gdzie do dziś istnieją związane z nimi nazwy ulic i placów, np. Französische Straße (oficjalnie nazwana tak w 1706 roku). W 1701 roku król Fryderyk I zezwolił hugenockiej społeczności na budowę kościoła znanego dziś jako Katedra Francuska (Französischer Dom). Do początku XIX wieku kazania wygłaszano tam wyłącznie po francusku, a księgi kościelne prowadzono w tym języku aż do 1898 roku. Utrzymanie

Fot. Wikimedia Commons

Berlin i Cölln w 1688 roku, mapa z atlasu J.M.F. Schmidta *Historischer Atlas von Berlin in VI Grundrissen nach gleichem Maßstabe von 1415 bis 1800*





Fot. Wikimedia Commons

Elektor brandenburski Fryderyk Wilhelm, mal. Mathias Czwiczek. W 1685 roku wydał tzw. edykt poczdamski przyznający przywileje oraz swobodny dostęp do cechów rzemieślniczych hugenotom, którzy uciekli z Francji przed prześladowaniami

języka francuskiego przez tak długi czas byłoby nie do pomyślenia bez niezależnego systemu szkolnictwa. Już w 1689 roku dla dzieci hugenockich uciekinierów założono Collège Français, które od 1701 roku znajdowało się w bezpośrednim sąsiedztwie Französische Straße. Dzisiaj wyrosło z niego Gimnazjum Francuskie jest najstarszą szkołą publiczną w Berlinie.

Dla utrzymania języka francuskiego wśród hugenockich uchodźców w Berlinie nie bez znaczenia było to, że od XVII wieku w Brandenburgii, a potem Prusach – podobnie jak w innych krajach europejskich – język francuski był uważany za modny w arystokratycznych elitach, a z upływem czasu zamożniejszych grupach społeczeństwa. Francuskie słowa

i zwroty przyjęły się również w niemieckim języku urzędowym. Do rozpowszechnienia francuskiego słownictwa również w języku potocznym, tj. w dialekcie berlińskim lub tzw. *Berliner Schnauze*, przyczyniła się także krótkotrwała okupacja Berlina przez wojska napoleońskie w latach 1806 i 1812/1813. W ten sposób wiele francuskich słów związanych z kuchnią i modą weszło do codziennego języka berlińczyków. Były one i do dziś są powszechnie używane w języku niemieckim (podobnie zresztą jak w polskim) oraz berlińskiej gwarze, np. *purée* (ziemniaczane), *eklerka*, *omlet*, *rolada*, *bluzka*, *kostium*, *peleryna*, *toaleta* czy *talia*.

BERLIN ŻYDOWSKI

Berlińska gwara została również wzbogacona o słownictwo pochodzące z języka jidysz. Nieprzerwana obecność społeczności żydowskiej w Berlinie wiąże się z listem protekcyjnym elektora Fryderyka Wilhelma wydanym w 1671 roku. Na jego podstawie rodziny żydowskie musiały płacić roczny podatek za swój ograniczony czasowo pobyt w Berlinie i możliwość prowadzenia działalności kupieckiej. Prawa, z których korzystali Żydzi pod koniec XVII i w XVIII wieku, były więc z zasady

bardziej ograniczone niż prawa chrześcijańskich imigrantów.

W latach siedemdziesiątych XVIII wieku z wykształconych kręgów berlińskiej społeczności żydowskiej wyszły pierwsze impulsy haskali – żydowskiego ruchu oświeceniowego głoszącego hasła tolerancji i równouprawnienia Żydów. Główną postacią tego nurtu w Berlinie był Moses Mendelssohn (1729–1786), który większość życia spędził w tym mieście. Jego językami ojczystymi – podobnie jak innych Niemców i berlińskich Żydów – były jidysz, a także hebrajski i język Talmudu, czyli aramejski. Do jego najważniejszych osiągnięć należało tłumaczenie Tory, które ukazało się w wersji dwujęzycznej – hebrajskiej i niemieckiej. Filozoficzne dzieła Mendelssohna napisane w języku niemieckim zyskały duże uznanie w kręgach oświeceniowych Niemiec. Jego postać stała się wzorem dla tytułowego *Natana Mędrca*, głośnego poematu dramatycznego Gottholda Ephraima Lessinga (1779). Mimo to wniosek Mendelssohna o członkostwo w królewskiej Pruskiej Akademii Nauk został odrzucony ze względu na jego żydowską wiarę.

Pierwszym krokiem na długiej drodze do prawnego zrównania Żydów z resztą ludności był królewski tzw. edykt żydowski z 1812 roku. For-

Fot. Berthold Werner na licencji CC BY-SA 3.0

Katedra Francuska (Französischer Dom) w Berlinie



malnie uznawał on wyznawców judaizmu za poddanych pruskich, jednak zobowiązywał ich do używania w działalności gospodarczej wyłącznie niemieckiego lub innego „żywego” języka oraz do składania podpisów alfabetem łacińskim. Na pełne równouprawnienie berlińscy i pruscy Żydzi musieli czekać jeszcze dłużej. Dopiero ustawa z 1869 roku przyznała im – podobnie jak wszystkim innym obywatelom pruskim niezależnie od wyznania – prawo do *uczestnictwa w przedstawicielstwie gminnym i krajowym oraz do sprawowania urzędów publicznych*.

Już w pierwszej połowie XIX wieku coraz więcej Żydów integrowało się z niemiecką burżuazją. Wielu z nich pozostało wiernych judaizmowi, ale przejęło język i wiele zwyczajów swoich chrześcijańskich niemieckich sąsiadów. Ważnym wydarzeniem w historii gminy żydowskiej w Berlinie było otwarcie Nowej Synagogi przy Oranienburger StraÙe w 1866 roku. W uroczystym nabożeństwie z tej okazji uczestniczył premier Prus Otto von Bismarck, na którym duże wrażenie wywarła muzyka liturgiczna wielkiego żydowskiego kompozytora polskiego pochodzenia Louisa Lewandowskiego, który zreformował muzykę synagogałną. Zreformowana liturgia wprowadzona w Nowej Synagodze, w której ważną rolę odgrywała muzyka chóralna w języku niemieckim, wywołała jednak sprzeciw zwolenników konserwatywnego judaizmu. Reformę liturgiczną można również uznać za ważną część procesu integracji większości niemieckich Żydów z większością niemieckiego społeczeństwa.

MIĘDZY ASYMILACJĄ A ANTYSEMITYZMEM

Równoległe z postępami asymilacji niemieckich Żydów narastały nastroje antysemityczne. Ich przejawem była tzw. berlińska afera antysemitka (1879–1881), w której wybitni niemieccy intelektualiści wyrazili swoje poparcie lub sprzeciw wobec krystalizującego się w tym czasie nowoczesnego antysemityzmu.

W 1867 roku w Berlinie mieszkało ok. 28 tys. Żydów, co stano-

wiło 3,5 proc. z liczącego wówczas nieco ponad 800 tys. mieszkańców Berlina. Pod koniec XIX wieku liczba berlińskich Żydów wzrosła do ok. 108 tys., co stanowiło mniej więcej 4 proc. dynamicznie wzrastającej populacji stolicy Cesarstwa Niemieckiego, która na początku następnego stulecia osiągnęła prawie 2 mln mieszkańców. Wzrost liczby ludności żydowskiej wynikał w dużej mierze z imigracji wyznawców judaizmu z terenów dawnej Rzeczypospolitej – ziem pod zaborem austriackim i rosyjskim. Napływ żydowskich emigrantów zwłaszcza z carskiej Rosji nasilił się wraz z falami pogromów organizowanych od lat osiemdziesiątych XIX wieku przez władze w Petersburgu. „Żydzi wschodni” (*Ostjuden*), jak zaczęto ich nazywać w Niemczech, różnili się od zasymilowanych berlińskich Żydów zarówno językiem (z reguły posługiwali się wschodnią odmianą jidysz, podczas gdy zasymilowani posługiwali się niemieckim jako pierwszym językiem), jak i stro-

Nowa Synagoga przy Oranienburger StraÙe, otwarta w 1866 roku, mal. Emile Pierre Joseph De Cauwer



jem (nosili długie kaftany charakterystyczne dla ortodoksyjnych Żydów w Europie Wschodniej, a zasymilowani ubierali się tak samo jak reszta ich nieżydowskich sąsiadów). Różnice kulturowe między Żydami „wschodnimi” i „zachodnimi” (te terminy zaczęto stosować częściej po 1900 roku) wywoływały również poczucie obcości między tymi dwiema grupami, która była odczuwalna jeszcze w okresie międzywojennym.

W Berlinie żydowscy ortodoksi ze Wschodu często osiedlali się w dzielnicy biedoty, nazywanej Scheunenviertel (dzielnica stodoł) ze względu na dominującą w niej ubogą zabudowę. Już od XVIII wieku mieszkali tam Żydzi, którzy nie posiadali własnych domów i mogli wchodzić na teren miasta w obrębie murów (zburzonych dopiero pod koniec lat sześćdziesiątych XIX wieku) tylko przez dwie wyznaczone do tego bramy miejskie – Rosenthaler Tor, a później także Prenzlauer Tor. Ze względu na gęstość osadnictwa ortodoksyjnych Żydów główna

ulica przebiegająca przez tę dzielnicę była znana jako „getto z otwartymi bramami”. W okresie kryzysu gospodarczego i rosnącego antysemityzmu po pierwszej wojnie światowej stali się oni celem antyżydowskich zamieszek, jak pogrom w dzielnicy Scheunenviertel w 1923 roku.

Ponieważ większość żydowskich imigrantów, a także ich dzieci urodzone w Niemczech, nie posiadała niemieckiego obywatelstwa, zwłaszcza od przejęcia władzy przez Hitlera w 1933 roku byli oni często deportowani z Berlina i innych miast Trzeciej Rzeszy do kraju pochodzenia. Największa masowa akcja deportacyjna polskich Żydów miała miejsce w ramach tzw. akcji polskiej (*Polenaktion*) pod koniec października 1938 roku. Wówczas wydano z Rzeszy ok. 17 tys. Żydów polskiego pochodzenia, w tym dzieci, osoby starsze i chore.

Tylko niewielka część z ok. 160 tys. Żydów mieszkających w Berlinie w 1933 roku przeżyła drugą wojnę światową. Krótko po jej zakończeniu społeczność żydowska zaczęła się stopniowo odradzać, częściowo dzięki imigracji ocalałych polskich Żydów. Największa fala imigracji miała jednak miejsce po upadku Związku Radzieckiego w 1991 roku. Obecnie społeczność żydowska w stolicy Niemiec liczy ok. 12 tys. zarejestrowanych członków.

POLSKI BERLIN

Oprócz polskich arystokratów, studentów i emigrantów politycznych, którzy opuścili ojczyznę w okresie zaborów, m.in. po przegranych powstaniach narodowych, Polacy z zaboru pruskiego lub ludność polskojęzyczna, jednak bez określonej polskiej świadomości narodowej, zaczęła licznie napływać do Berlina od schyłku XIX wieku. Według różnych szacunków w 1900 roku w Berlinie mieszkało ok. 100 tys. osób pochodzenia polskiego lub polskojęzycznego. To rozróżnienie jest istotne, ponieważ tożsamość części osób posługujących się językiem polskim (lub którymś z jego dialektów) była raczej regionalna (np. górnośląska) niż narodowa

polska, choć niektórzy z nich zdecydowanie opowiadali się za polskością – np. Wojciech Korfanty, poseł do niemieckiego Reichstagu (1903–1912 i 1918) oraz pruskiego Landtagu (1903–1918). Niezależnie jednak od poczucia narodowości mieli oni pruskie obywatelstwo, a cechą odróżniającą ich od większości protestanckiego środowiska niemieckiego – oprócz języka – było ich przywiązanie do Kościoła rzymskokatolickiego.

W Berlinie, który na początku XX wieku stał się jedną z największych europejskich metropolii przemysłowych, naukowych i kulturalnych, można było spotkać polskich imigrantów z różnych warstw społecznych. Chociaż wielu polskojęzycznych berlińczyków stosunkowo szybko się zasymilowało, na przełomie XIX i XX stulecia w stolicy Cesarstwa Niemieckiego wydawano polską prasę, np. „Dziennik Berliński” (1896–1923), prężnie działały też różnego rodzaju polskie stowarzyszenia, co zresztą budziło podziw niemieckiego otoczenia. Mimo to w Berlinie nie doszło w tym czasie do powstania polskiej subkultury, takiej jak np. wśród polskojęzycznych imigrantów w Zagłębiu Ruhry.

Po dojściu do władzy nazistów, a szczególnie wyraźnie od 1938 roku, nastąpił czas jawnej dyskryminacji mniejszości polskiej w Niemczech, która nie miała już możliwości pielęgnowania swojego języka i kultury. Kolejny rozdział w historii Polaków w Berlinie był związany z wydarzeniami drugiej wojny światowej i okupacją Polski oraz innych krajów europejskich, z których do Trzeciej Rzeszy sprowadzono miliony robotników przymusowych. Według różnych szacunków we wrześniu 1944 roku 28–35 tys. Polaków w Berlinie stanowiło drugą co do wielkości grupę po tzw. robotnikach wschodnich z okupowanych przez nazistów terytoriów ZSRR.

Dopiero kilkadziesiąt lat później, po wprowadzeniu stanu wojennego w PRL i delegalizacji Solidarności w 1981 roku, rozpoczęła się kolejna większa fala napływu Polaków do Berlina Zachodniego, stanowiącego zdefiniowaną wzniesionym 20 lat

wcześniej murem berlińskim enklawę wolnego Zachodu. Proces ten trwał po upadku komunizmu w Polsce i w trudnych latach transformacji. Obecnie Polacy, których liczba przekracza 100 tys. (ok. połowy z nich posiada niemieckie obywatelstwo), stanowią drugą co do wielkości grupę mieszkańców Berlina o pochodzeniu imigranckim. Pod względem liczebności przeważają oni nad przybyszami z byłych republik Związku Radzieckiego, zwłaszcza Rosjanami i Ukraincami, którzy po upadku ZSRR w 1991 roku wyemigrowali do RFN. Ważną rolę w utrzymaniu języka polskiego i kultury polskiej odgrywają nie tylko polskie instytucje naukowe i kulturalne czy intensywna wymiana między dwoma sąsiadującymi krajami UE, lecz także liczne polskie i polsko-niemieckie stowarzyszenia, czasopiśma, a także pięć kościołów rzymskokatolickich, w których odprawiane są nabożeństwa w języku polskim, oraz kilka szkół z nauką języka polskiego w Berlinie.

BERLIN PODZIELONY I WIELOJĘZyczny

Na to, że Berlin jest miastem wielokulturowym i wieloetnicznym, w niemalym stopniu wpłynął jego podział na cztery strefy okupacyjne (sowiecką, amerykańską, brytyjską i francuską) w latach 1945–1949. W dwumilionowej metropolii, jaką był Berlin Zachodni, liczba żołnierzy alianckich, pracowników cywilnych i ich rodzin z biegiem czasu ulegała znacznym wahaniom. Jeszcze pod koniec lat osiemdziesiątych XX wieku stacjonowało tam ok. 2,9 tys. żołnierzy francuskich, 3,2 tys. brytyjskich i 5,8 tys. amerykańskich. Do tego należy dodać członków ich rodzin i innych pracowników (np. w przypadku Amerykanów było to ok. 7,5 tys. osób oraz dodatkowo 6 tys. pracowników cywilnych). Chociaż garnizony aliantów zachodnich tworzyły własne społeczności wraz z instytucjami kulturalnymi, szkołami czy klubami, to wpływ języka angielskiego i kultury amerykańskiej na kulturę masową mieszkańców Berlina Zachodniego był znaczący. Szczególnie po wznie-



Uroczystość z okazji Dnia Zwycięstwa zorganizowana w sowieckich koszarach w Karlshorst, 9 maja 1982 roku

sieniu muru berlińskiego w 1961 roku nabrała ona polityczno-symbolicznego wymiaru, wyrażającego ideę wolnego, demokratycznego świata sprzeciwiającego się ideologii sowieckiej.

Siły sowieckie stacjonujące w Berlinie Wschodnim, stolicy NRD liczącej 1,5 mln mieszkańców, były znacznie liczniejsze. Liczebność Armii Czerwonej w Niemczech Wschodnich wahała się od 350 tys. do 500 tys. żołnierzy, sowieckie oddziały opuściły Berlin latem 1994 roku. Dziś o tym okresie w południowo-wschodniej części Berlina przypomina Niemiecko-Rosyjskie Muzeum Berlin-Karlshorst. Chociaż nauka języka rosyjskiego była w NRD obowiązkowa, nieoficjalne kontakty i prywatne zbliżenia między obywatelami Niemiec Wschodnich a członkami rodzin żołnierzy Armii Czerwonej były rzadkością. Nawet jednak w izolowanych od reszty miasta sowieckich koszarach w Karlshorst istniały problemy językowe, nie wszyscy żołnierze Armii Czerwonej, pochodzący z różnych republik wielonarodowego ZSRR, znali bowiem wystarczająco dobrze język rosyjski. Dlatego np. aby utrzymać podstawowe zasady higieny wśród

żołnierzy, używano plakatów ukazujących sposoby utrzymania czystości osobistej i najbliższego otoczenia.

BERLIN TURECKI I NIE TYLKO

Największą grupę mieszkańców Berlina o pochodzeniu imigranckim stanowi obecnie ok. 190 tys. Turków (w tym ponad 80 tys. obywateli niemieckich). Tym samym w stolicy Niemiec, liczącej 3,6 mln mieszkańców, żyje największa społeczność turecka w Europie poza Turcją. Europejczycy, często nieorientowani w podziałach etnicznych na Bliskim Wschodzie, popełniają błąd, nie odróżniając Turków od Kurdów, których ok. 90 tys. przybyło do Niemiec jako emigranci zarobkowi lub uchodźcy z Turcji, Syrii, Iranu lub Iraku. Zarówno Turcy (w większości sunniti), jak i Kurdowie (w większości jazydzi) wyznają islam, jednak język kurdyjski należy do rodziny języków irańskich, a nie tureckich.

Liczba imigrantów z imperium osmańskiego w Berlinie (2 tys. zarejestrowanych Turków w 1917 roku) pozostawała niewielka aż do pierwszej połowy XX wieku. Sytuacja ule-

gła zdecydowanej zmianie dopiero w 1961 roku, po podpisaniu przez rząd RFN umowy z Turcją o rekrutacji najemnych pracowników. Zaczęli oni wówczas napływać do Niemiec Zachodnich, początkowo chcąc tam pozostać tylko na krótszy lub dłuższy okres pracy. W wyniku podobnych umów zawartych z Włochami, Grecją i Hiszpanią w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych XX wieku w kolejnych dekadach do RFN i Berlina Zachodniego przybyło wielu gasterbeiterów, do których z czasem zaczęły dołączać ich rodziny.

Dzisiaj trudno sobie wyobrazić berlińską wielokulturowość, zwłaszcza w takich dzielnicach jak Kreuzberg lub Wedding, z ich muzułmańskimi społecznościami i różnego rodzaju stowarzyszeniami, bez tureckiego języka i kultury. Podobnie jak bez dialektu, którym posługuje się często niemiecka młodzież pochodzenia tureckiego w drugim lub trzecim pokoleniu imigrantów i który określa się niekiedy jako „turecki niemiecki” (*Türkendeutsch*). ■

IGOR KĄKOLEWSKI, profesor Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego, pracuje w Centrum Badań Historycznych PAN w Berlinie

Ponad granicami latem 1773 roku

Francuskojęzyczny dziennik podróży
Daniela Chodowieckiego

3 czerwca 1773 roku Daniel Chodowiecki wyruszył z Berlina, w którym osiedlił się ok. 1743 roku, do rodzinnego Gdańska. Do stolicy Królestwa Prus powrócił po ośmiu tygodniach, 18 sierpnia. Na pytanie, kim jest, musiał odpowiadać raz po raz podczas całej podróży, o czym z żalem wspomina już na pierwszej stronie swego francuskojęzycznego dziennika.

Jeszcze przed wyjazdem, kiedy Chodowiecki udał się do berlińskiego dyrektora policji Philipiego po odbiór paszportu i musiał przeliterować swoje polsko brzmiące nazwisko, zanotował *difficultés levées par l'articulation de mon nom* – trudności wynikające z wymowy jego nazwiska. Podkreślał również, że formalności się przeciągały i należy uzbroić się w cierpliwość, aby uzyskać ważny dokument. Jak pisał, odpowiednich urzędników nigdy nie było tam, gdzie powinno się ich zastać.

W trakcie tych skomplikowanych procedur Chodowiecki musiał wyjaśnić powód swojej podróży. Były nią sprawy rodzinne – Polak urodził się w Gdańsku, jego matka i siostra nadal tam mieszkały, a on nie widział ich od prawie 30 lat.

O napiętej sytuacji politycznej między Rzeczpospolitą a Prusami na początku dziennika wspominał eufemistycznie: *Les affaires de Danzig étaient terminées* (sprawy gdańskie zostały zakończone). Podróż przypadła na czasy pierwszego rozbioru Polski, który znany francuski ilustrator Moreau le Jeune (Jean-Michel Moreau) przedstawił jako *Le gâteau des rois – Tort dzielony przez europejskich władców*. W 1772 roku znaczną część tego „tortu” zagarnęły Prusy. Rozmowy o przyszłości Gdańska tym-

Fot. Wikimedia Commons

Portret Daniela Chodowieckiego,
mal. Anton Graff



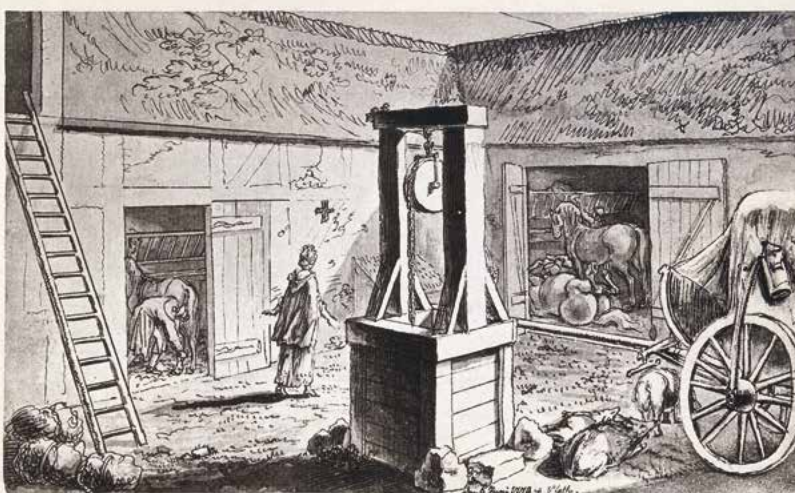
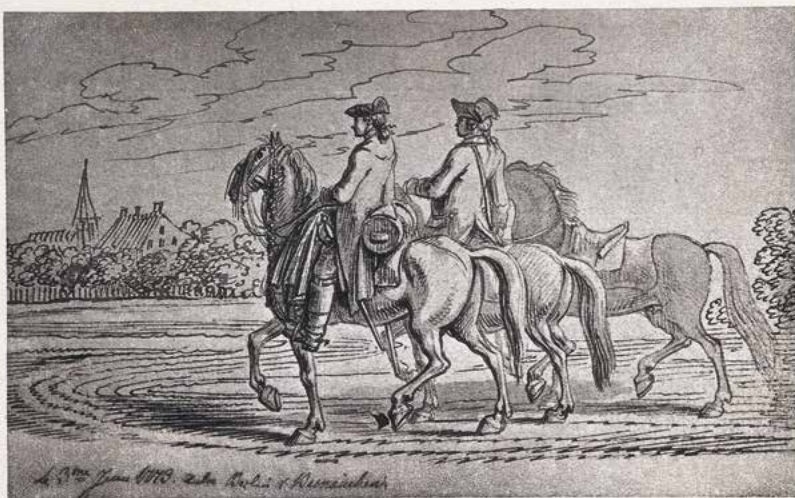
czasowo zakończono. Zapadła decyzja, że pozostanie on w granicach Rzeczypospolitej. Ponieważ miasto otaczały terytoria pruskie, jego położenie polityczne i gospodarcze było trudne.

Fot. polona.pl

RĘKOPIS CHODOWIECKIEGO

Co pozostało z notatek z podróży Chodowieckiego, których tytuł dodano później i które – zależnie od edycji – wielokrotnie zmieniano? Od 1976 roku odpis dziennika znajduje się w dziale rękopisów Staatsbibliothek zu Berlin jako depozyt rodziny. Oryginał zaginął, a raczej – jak twierdzi biograf Chodowieckiego Willy Geismeyer – „zawieruszył się”, co nadaje sprawie tajemniczości. Czy po 1945 roku jak wiele innych archiwaliów trafił do Związku Radzieckiego? Czy znajduje się w którejś z rosyjskich bibliotek prowincjonalnych? Nie można tego wykluczyć. Kopia pochodzi z XIX wieku – przetrwała drugą wojnę światową w archiwum rodziny Runge w Ulm. Przepisywało ją kilka osób, jeden z odpisów sporządził naukowiec Emil du Bois-Reymond, prawnuk Daniela Chodowieckiego. 55 luźnych podwójnych kart w czerwono-brązowej marmurkowej okładce, ok. 120 stron notatek po francusku, z kilkoma fragmentami po niemiecku i polsku. Z językowego punktu widzenia to niezwykle interesujący dokument. Odpis jest – o ile można ocenić – bardzo dokładny. Obejmuje kilka systemów pisma: francuską rękę okrągłą oraz pojedyncze słowa i frazy zapisane niemiecką kursywą (*Kurrent*). Chodowiecki pisze językiem ówczesnej społeczności hugenockiej, lecz nazywa go własnymi cechami. W jego tekstach widoczne są konstrukcje składniowe świadczące o kontakcie językowym z niemieczyzną.

Dziennik nigdy nie został opublikowany w oryginale, po francusku. W różnych edycjach tłumaczono go fragmentarycznie i redagowano po niemiecku jako tekst do książek ilustrowanych, m.in. w wydaniu *Von Berlin nach Danzig. Eine Künstlerfahrt im Jahre 1773* z 1883 roku oraz w *Eine Künstlerfahrt nach Danzig im Jahre 1773* z roku 1911. Ostatnia edycja ukazała się w 2001 roku z wprowadzeniem Do-



Ilustracje z dziennika Chodowieckiego *Von Berlin nach Danzig. Eine Künstlerfahrt im Jahre 1773*, wyd. z 1895 roku

nalda Tuska, wówczas wicemarszałka Senatu RP. Jedyną edycją, która nadała tekstowi właściwe znaczenie, jest ta z 1994 roku – niemieckie tłumaczenie Claude'a Keischa. Tłumacz interesował się językiem Chodowieckiego i starał się oddać go jak najwierniej.

ŚWIADECTWO

Dziennik pisany przez Chodowieckiego podczas podróży ma charakter prywatny, autor zapisuje swoje obserwacje bez upiększania. Raz gubi go, co wzbudza jego zaniepokojenie

z powodu krytycznych uwag wobec Gabriela Podoskiego, prymasa Polski. Chodowiecki pisze zapewne przede wszystkim dla siebie. Notuje wydatki: ile kosztuje chleb, piwo czy kawa, co i gdzie je, czy jego konie otrzymały dość siana lub owsa. Zapisuje także, gdzie był, kogo spotkał, kogo sportretował i ile żądał za swoje ryciny. Dziennik wiele mówi o codziennym funkcjonowaniu artysty. Chodowiecki trzykrotnie wspomina o *porte-feuille* – teczce z rysunkami, również powstałej w trakcie podróży. Wrócił po ośmiu tygodniach ze 108 szkicami. Najprawdopodobniej zamierzał stworzyć opowieść obrazową, tzw. *récit pittoresque*, bardzo popularną wówczas formę, być może liczył nawet na publikację w serii Augusta Myliussa „Sammlung der besten ausführlichsten Reisebeschreibungen” („Zbiór najlepszych, najbardziej szczegółowych opisów podróży”).

Jego dziennik jest naznaczony perspektywą malarza: Chodowiecki patrzy na świat estetycznie, rejestruje wiele konkretnych detali dotyczących osób, miast, krajobrazów. Precyzyjnie opisuje spotykanych po drodze rzemieślników, karczmarza, fryzjera, krawca, handlarzy oraz ich społeczno-ekonomiczną rzeczywistość. Kaszubskie wsie, przez które przejeżdżał, ukazują nędzę i trud losu ludności wiejskiej. Są słabo połączone z traktami; kiedy z trudem do nich dociera, niemal nie ma tam co jeść, a jego koń dostaje marną paszę. Również relacje międzyludzkie w tych małych społecznościach wydają się surowe: kobieta oferuje mu kupno dziecka, twierdząc, że je znalazła; karczmarz, u którego przebywa, ma krzywe nogi i jest sparaliżowany; po okolicy krąży pogłoski o gwałtach i rabunkach.

Chodowiecki szeroko opisuje także miasteczko Płoty (Plathe), punkt tranzytowy dla żołnierzy, poczty i podróżnych. Na próżno próbuje wysłać stamtąd listy do Gdańska – nowe granice spowalniają ruch pocztowy w obu kierunkach. Jego koń wpada w bagno i Chodowiecki martwi się o zwierzę. Miasto zwiedza pieszo – najładniejsze zakątki odkrywa przy młynie, nad niewielką rzeką Regą oraz przy zamkowych ruinach, które drobiazgowo opi-

suje z punktu widzenia historii sztuki.

Interesują go również ludzie przybývający do miasteczka: ich wygląd, język, to, z czego żyją. Tu widzi podróżnego zmierzającego w kierunku Królewca, tam parę zakochanych uciekinierów, ale przede wszystkim „urlopowanych żołnierzy”, jak zapisuje po niemiecku. Fascynuje go uroda młodego mężczyzny o szlachetnej fizjonomii: ma nadzieję, że ten nie będzie mówił tym samym pomorskim dialektem co towarzysz, lecz okazuje się ona płonna. Chodowiecki zwraca uwagę również na karczmarza, jego żonę i kuchnię, ceny oraz na niebezpieczeństwa, na jakie jest narażona para. Strach przed rabunkiem nie pozwala mu w nocy spać.

Jeśli pominiemy relację z ponownego spotkania z matką i siostrami, to w dzienniku Chodowieckiego na pierwszy plan wysuwa się przede wszystkim jego działalność jako malarza. Z opisu miasta bije zainteresowanie architekturą sakralną i muzeami, które ocenia okiem znawcy. Już w pierwszych dniach pobytu w Gdańsku odwiedza muzeum Junkerhof i pozostawia szczegółowe opisy znajdujących się tam obrazów. Wyraża opinie i ocenia dzieła według własnych kryteriów estetycznych. Najwyraźniej preferuje obrazy, które uznaje za realistyczne. Wydaje się, że realizm przedstawienia jest dla niego najważniejszy. Często ubolewa, że obraz nie oddaje wiernie natury, i cieszy się, gdy jego portrety uznaje się za realistyczne – *Il disait*: Bardzo dobrze, Bardoso podowna, co znaczy: to jest zupełnie dobrze, zupełnie podobne.

NIGDY U SIEBIE

Kwestia, czy Chodowieckiego należy postrzegać jako Polaka czy jako niemieckiego artystę, zawsze wzbudzała tyle samo emocji co w przypadku Chopina czy Kopernika. W XIX i XX wieku Polska i Niemcy rościły sobie prawo do tego znanego ilustratora książek, miniaturzysty i rysownika. Sam artysta unikał jednoznacznego określenia przynależności narodowej. Jego tożsamości nie wykluczają się wzajemnie. Po przybyciu do Gdańska wikła się w debaty, w których stanowczo przeciwstawia się antypru-

skim postawom. Oburza się na jednego z rozmówców za zniewagi wobec króla Prus: *Il se mit à parler du roy avec tant d'animosité & de grossièreté du gouvernement prussien que j'en fus indigné* (Zaczął mówić o królu z taką zjadłością i tak ordynarnie o pruskim rządzie, że poczułem oburzenie). Staje po stronie Prus i zarzuca swojemu rozmówcy „bezdusność” (*peu de cœur*). To jednak nie stoi w sprzeczności z jego późniejszym dystansowaniem się od opinii niemieckiego malarza, *implicite* domaga się polskiej perspektywy estetycznej na Gdańsk. Punktem odniesienia jest jego analiza obrazu niemieckiego malarza gdańskiego Friedricha Antona Lohrmanna, w którym krytykuje brak *goût pittoresque*: *il n'a guère bien imité les bâtiment polonais, ni les Polonais [...] il y a dans leur habitations beaucoup de goût pittoresque qu'il n'y fait entrer* (Nie najlepiej oddał charakter polskich budowli ani samych Polaków [...] w ich siedzibach jest wiele malowniczego uroku, którego on w swoim dziele nie potrafił uchwycić). Malowniczy charakter miast i ich mieszkańców – zwłaszcza gdańszczan – jest w jego oczach niemal niewidoczny. Krótko mówiąc: estetyczna wrażliwość Chodowieckiego oscyluje między perspektywą berlińską a gdańską – berlińczyk w Gdańsku, niekiedy także Polak – zawsze w kontraście do niemieckiego malarza. Broni innych, staje po stronie krytykowanych i niedostrzeganych w swojej różnorodności.

Ważniejsze niż identyfikowanie go w kategoriach narodowych jest jednak to, co wyraźnie wynika z wielu fragmentów dziennika: Chodowiecki należał do mniejszości – zarówno w Polsce, jak i w Prusach. W katolickiej Polsce podkreślał swój protestantyzm, w Berlinie, poprzez matkę i żonę, był związany ze środowiskiem francuskich hugenotów, uchodźców (*réfugiés*). W Gdańsku odwiedzał kościoły katolickie, aby oglądać znajdujące się tam obrazy. Zarazem sprawa francuskich protestantów i ochrona ich społeczności leżały mu głęboko na sercu. Dlatego opowiadał się za tolerancją religijną i wspierał ideę oświeceniowego filantropizmu. ■

VANESSA DE SENARCLENS, szwajcarska historyczka działająca w Niemczech, specjalizuje się w epoce oświecenia oraz studiach bibliograficznych, związana z Wolnym Uniwersytetem w Berlinie i Bard College Berlin

Marcin Joachim Wiatr

Pociąg do Korfantego

Literackie narracje współtworzą naszą wyobraźnię historyczną. Jednak mimo zmiany paradygmatu polityki pamięci po 1989 roku biografia Wojciecha Korfantego, którą ukształtowało wielojęzyczne i wielokulturowe środowisko, nie stała się inspirującym tematem ani dla polskiej, ani tym bardziej niemieckiej literatury, także tej historycznej. Jej śladów próżno szukać nawet w wydany ostatnio przewodniku po prozie lat 1976–2020 *Rozbieżne emancypacje* Przemysława Czaplińskiego. Właściwie nikt poza śląskimi autorami nie zainteresował się tą wyjątkową i kontrowersyjną postacią ani nie podjął w sposób autentyczny refleksji na jej temat. Uczynił to dopiero śląski Niemiec – Horst Bienek.

Korfanty, utalentowany polityk związany z chrześcijańską demokracją, któremu nieraz przyszło drzeć koty z Kościołem katolickim, nie pasuje do obiegowych polskich (a także niemieckich) wyobrażeń. Przede wszystkim do dziś wymyka się jednoznacznym narodowym ocenom, a przyczyny takiego stanu rzeczy są wielorakie i tkwią zarówno w biografii, jak i w światopoglądzie oraz poglądach politycznych Korfantego.

Niemiecki był językiem jego edukacji i pierwszych politycznych aspiracji – Korfanty uczęszczał do niemieckiego gimnazjum w Katowicach, później podjął studia w Berlinie i niemieckim Wrocławiu. W latach 1903–1912 oraz ponownie w 1918 roku był posłem do Reichstagu wybranym z okręgu Kattowitz-Zabrze. Przez cały ten czas pełnił także funkcję posła do pruskiego Landtagu, gdzie stał w obronie interesów polskojęzycznych Górnolązaków. A jednak dla konserwatywnych wielbicieli idei narodowej nawet ten okres jego biografii jest pełen kłopotliwych pułapek. Poglądy młodego Korfantego przypominały bowiem poglądy młodego Marksa. Polityk znajdował poparcie nawet wśród niemieckich socjaldemokratów, którzy doceniali jego parlamentarną krasomówczość. Korfanty wiedział bowiem, jak powiązać niedostatki w sferze socjalnej – których

Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Wojciech Korfanty, fotografia z 1905 roku



Rodzice Korfantego Józef i Karolina z domu Klecha



w jego rodzinnych, uprzemysłowionych stronach nie brakowało – z roszczeniami o charakterze narodowym.

MEANDRY TOŻSAMOŚCI NARODOWEJ

Przede wszystkim jednak we wczesnej młodości Korfanty – za sprawą swoich niemieckich nauczycieli – zmagał się z niemiecką częścią własnej tożsamości, którą w pierwszym odruchu postanowił odrzucić. W 1901 roku przyjął imię Wojciech, zastąpiwszy nim to, które otrzymał na chrzcie – Adalbert. W tym okresie życia Korfanty chciał zostać Polakiem i pragnął, by ten wybór zaakceptowano. Był pewien, że pomoże mu to zejść dalej i osiągnąć więcej niż jego rodzicom. Ale jego charakter, wychowanie i wykształcenie, a także doświadczenia parlamentarne, pozostały pod wpływem kultury niemieckiej. Trudno się temu dziwić. W końcu był to człowiek, który wyrósł w świecie wielokulturowym.

Korfanty urodził się w 1873 roku w osadzie Sadowa niedaleko Siemianowicz/Laurahütte (dziś to Siemianowice), w pobliżu tzw. Trójkąta Trzech Cesarzy. Jeśli jako chłopak chodził w okolice, które graniczyły z cesarstwem austriackim i carską Rosją, to z pewnością słyszał też języki rosyjski i jidysz, w którym komunikowali się uchodźcy – poddani cara, którzy w drodze do Hamburga czy Ameryki

nielegalnie przekraczali granicę z Prusami. Jako Górnoślązak wychowywał się dwujęzycznie i wzrastał w środowisku, w którym na co dzień nie łamano sobie głowy nad tożsamością narodową.

Sytuacja zmieniła się diametralnie pod koniec 1918 roku, gdy wraz z zakończeniem pierwszej wojny światowej wobec rozwiniętego gospodarczo Górnego Śląska roszczenia polityczne zaczęły wysuwać odrodzone Rzeczpospolitą oraz Czechosłowacja. W zmaganiach o przyszłość bogatego w surowce regionu Korfanty odegrał kluczową rolę. Walka o Górny Śląsk była zacięta i niepozbawiona przemocy. Doszło tu do trzech bratobójczych konfliktów (powstań śląskich), a w 1921 roku zorganizowano plebiscyt mający przesądzić o państwowości przynależności regionu. Rok później Rada Ambasadorów zdecydowała o podziale Górnego Śląska.

BECZKA PROCHU

Bez Korfantego i jego dyplomatycznych zabiegów zakończenie polsko-niemieckiego konfliktu, w wyniku którego Polska odniosła spore korzyści, byłoby wysoce niepewne. Rzecz jasna wynik plebiscytu przyczynił się do głębokich podziałów, utrwalając wrogość między sąsiadami na nowym polsko-czechosłowacko-niemieckim pograniczu. Polsce przypadło niemal 30 proc. obszaru plebiscytowego wraz z 46 proc. jego

mieszkańców. Niemcy musieli zrezygnować z najważniejszych miejskich ośrodków przemysłowych, w tym Katowic (Kattowitz) i Chorzowa (Königshütte), choć akurat tam mieszkańcy w zdecydowanej większości opowiedzieli się za pozostaniem ich miast w Niemczech.

Klucz do zrozumienia biografii Korfantego leży właśnie w tym wysoce złożonym, a jednocześnie tak łatwo zapalnym splocie świata polityki i walki narodowej, a także w doświadczeniach granicznych, pełnych niepewności i przełomów. Nie dziwi więc, że zarówno w publicystyce, jak i literaturze tamtego czasu Korfanty awansował do miana jednej z najbardziej kontrowersyjnych postaci z okresu walki o kształt polsko-niemieckiej granicy na Górnym Śląsku. Jednak podczas gdy w Polsce jego niejednoznaczny życiorys przesłania dym patriotycznego kadzidła, w Niemczech jest postacią już zupełnie zapomnianą. Tym bardziej że podróż po kartach historii górnośląskiego krajobrazu i biografii, które ten krajobraz współkształtował, nie należy do łatwych, szczególnie jeśli prowadzi w zakamarki krwawych zmagających obrosłych sprzecznymi sądami czy też narodowych racji i aberracji. Może się bowiem okazać, że nagle znajdziemy się na jakiejś starej, zapomnianej stacji kolejowej z labiryntem zwrotnic i torów, gdzie łatwo się pogubić. Którą drogę obrać? W który pociąg wskoczyć?

Chcąc poznać tego typu losy, wokół których wciąż tłą się mniejsze czy większe ogniska sporu o to, czyja interpretacja jest bliższa mitycznej „obiektywnej prawdzie”, trzeba poruszać się po różnych torach. I czasami zawrócić, by w tym gąszczu faktów i argumentów nie zgubić orientacji. Należy przy tym zderzać ze sobą różne racje i doświadczenia historyczne, bo to one w swojej różnorodności są jak mapa tego przedziwnego miejsca: nie tylko się nie wykluczają, lecz często wręcz uzupełniają, dając szerszy obraz rzeczywistości.

A więc wybierzmy cel naszej podróży. Kierunek – plebiscyt i powstania śląskie, pociąg – „Korfanty” relacji Katowice–Berlin–Warszawa.

POTRZEBA IDEI

Wsiadamy. Ale do którego wagonu? Wybierzmy najpierw ten, w którym podróżują niemieccy literaci, każdy w innym przedziale (także tym czasowym). Jeszcze tylko szybko spoglądam w notatki, by przypomnieć sobie, o co pytać. Interesują mnie literackie portrety Wojciecha Korfanteo, jednego z najwybitniejszych, a zarazem najbardziej kontrowersyjnych górnośląskich polityków okresu przed- i międzywojennego. Ciekawią mnie obrazy, wyobrażenia i interpretacje tej postaci w niemieckich i polskich dziełach literackich. Wydaje mi się, że znając je, odnajdę tropy pamięci historycznej wokół ważnych wydarzeń z historii Górnego Śląska. Jeszcze raz patrzę na zanotowane pytania; te najważniejsze brzmią: na ile literackie obrazy Korfanteo, który w okresie polsko-niemieckich napięć wokół przynależności państwowej Górnego Śląska po zakończeniu pierwszej wojny światowej budził tak wielkie emocje i kontrowersje, miały charakter fikcyjny? Jakim celom służyły owe obrazy? Czy były tylko materiałem dla konkurujących ze sobą polityk pamięci? Na ile okazały się trwałe, kształtując wyobrażenia Polaków i Niemców, a przede wszystkim samych Górnoślązaków, na temat Korfanteo i sprawy, w którą zaangażował cały swój autorytet i siły? Czy te literackie teksty odbiły się echem nie tylko wśród zainteresowanej literaturą opinii publicznej, lecz także w szerszych kręgach społecznych czy politycznych i w ten sposób wpłynęły na ukształtowanie wyobrażeń o tym polityku?

Wchodzę do pierwszego przedziału i siadam naprzeciw niespełna czterdziestolatka o wysoko zarysowanym czole. Od razu go rozpoznaję – to Arnold Bronnen. W 1929 roku opublikował w Berlinie powieść *O.S.*, która w środowisku literackim Republiki Weimarskiej wywołała olbrzymie zainteresowanie, bo w istocie było to dzieło skandaliczne. Przedstawiając wydarzenia wokół militarnej rebelii na Górnym Śląsku (jak określał powstania śląskie z lat 1919–1921), Bronnen oskarżał demokratyczne eli-

ty osłabionych powojennych Niemiec o zdradę narodowych celów. Przenosząc akcję powieści na pograżony w chaosie, pozostawiony własnemu losowi Górny Śląsk, poddał krytyce cały system republikański, starając się przekonać swych czytelników (a tych nie brakowało), że nie był on w stanie zapewnić Niemcom należnego im miejsca w Europie. Ci bowiem, jak przekonywał na kartach powieści, potrzebowali nowej idei.

Wdaje się z Bronnenem w rozmowę.

– Kreśląc w powieści los Górnego Śląska – mówi – miałem przed oczami swoją pisarską powinność. Chciałem zmienić Niemcy. Pragnąłem, by z tego ludzkiego konglomeratu, pogrążonego w chaosie i rozkładzie, na powrót wyłonił się silny, świadomy swego potencjału naród. Sam Korfanty i Górny Śląsk właściwie wcale mnie nie interesowali, dostarczyli mi tylko potrzebnej scenerii. Żeby obnażyć słabość naszych elit, pokazałem Korfantego jako sprytnego, przebiegłego lisa, który nie cofnie się przed niczym, żeby tylko osiągnąć swój cel – wykraść złote jajo, jakim był ten uprzemysłowiony region, z naszego niemieckiego kurnika. Ten człowiek przewyższał inteligencją naszych polityków, był więc niebezpieczny.

Tak. Rzeczywiście wielu niemieckich pisarzy (nie tylko o przekonaniach antyrepublikańskich, lecz także lewicowych) postrzegało Korfante go w taki sposób. Jawił im się jako

człowiek impulsywny, świetny mówca i propagandzista, zdolny do wykorzystania społecznych nierówności na rzecz sprawy polskiej i oderwania Górnego Śląska od Niemiec. Taki obraz znajdziemy nawet w wydanych w 1961 roku wspomnieniach Maxa Taua *Das Land, das ich verlassen mußte* (*Kraina, którą musiałem opuścić*). Ten niemiecki pisarz żydowskiego pochodzenia, urodzony w 1897 roku w Beuthen (Bytom), opisuje m.in. atmosferę przedplebiscytową w swoim mieście. To jeden z nielicznych tekstów, które przybliżają nam żydowsko-górnośląską perspektywę oceny plebiscytu z 1921 roku. Trzeba pamiętać, że w rodzinie Taua silne były wpływy haskali, czyli oświeceniowego nurtu, popularnego wśród tych europejskich Żydów, którzy opowiadali się za zbliżeniem, wręcz asymilacją ze społecznościami nieżydowskimi poprzez podniesienie poziomu edukacji własnego środowiska, zaangażowanie obywatelskie itp. Można więc powiedzieć, że Max Tau wręcz symbolizuje tę przeważającą część społeczności górnośląskich Żydów, którzy świadomie i autentycznie pielęgnowali niemiecką część swej tożsamości. Dlatego nie dziwi, iż nazywa Korfantego fanatykiem angażującym się na rzecz polskich interesów na Górnym Śląsku, który *jako sprawny mówca tak głośno wrzeszczał, że słyszeć go było na pół miasta*. Pisarz relacjonuje, w jaki sposób jako młody człowiek, niemiecki patriota, świadomy swych żydowskich



Katowice (Kattowitz), ul. Pocztowa, pocztówka z 1903 roku

korzeni, zaangażował się w propagandę plebiscytową, współpracując z pisarzami, takimi jak Arnold Zweig, Arnold Ulitz, Max Herrmann-Neiße, Hermann Stehr czy Josef Wiessalla. Jednocześnie wspomina słowa ojca, że na pograniczu łatwo podburzyć ludzi przeciwko sobie na tle narodowościowym, w tym antysemickim.

WALKA PROPAGANDOWA

Żegnam się z Bronnenem i przechodzę do kolejnego przedziału. Tu spotykam Augusta Scholtisa, autora wydanej w 1932 roku powieści *Ostwind (Wiatr od wschodu)*. W odróżnieniu od Bronnena Scholtis był Górnoślązakiem. Urodził się w 1901 roku w Bolaticach w Kraiku Hulczyńskim, a więc tej części niemieckiego Górnego Śląska, która już w 1920 roku przypadła Czechosłowacji. *Ostwind* to powieść na wskroś sowizdrzałska. Jej główny bohater Kaschpar Theophil Kaczmarek – przenikliwy błazen, któremu obca jest wszelka forma nacjonalizmu – przemierza Górny Śląsk w okresie plebiscytowym, natykając się na wiece z udziałem „Woicecha”. W książce widzimy niesamowicie przejmujący obraz bratobójczych walk w trakcie powstań śląskich, w tym krytyczno-ironiczną ocenę polskich i niemieckich zabiegów o przecignięcie duszy Górnoślązaków na własną stronę.

Witamy się i zaczynamy rozmowę.

– Rzeczywiście – mówi pisarz – i ja przedstawiłem Korfantego w barwach nad wyraz jaskrawych. Ale nie czyniłem tego w celach propagandowych. Chyba nawet mogę powiedzieć, że w jakimś stopniu solidaryzowałem się ze społecznymi postulatami Korfantego, ale dostrzegałem w nim wiele sprzeczności. Był utalentowanym mówcą, a także typowym karierowiczem i spekulantem, otaczającym się ludźmi o wątpliwej kondycji moralnej. Ale w końcu cel uświęca środki. Korfanty jest w mojej powieści na tyle istotny, że dzięki tej wyrazistej postaci mogłem pokazać, jak w okresie plebiscytu i powstań zarówno Niemcy, jak i polscy politycy oszukiwali i wykorzystywali prostych ludzi,

nieuświadomionych i labilnych narodowo Górnoślązaków, do własnych, partykularnych celów politycznych.

Odnoszę wrażenie, że Scholtisa naprawdę przejmuje to, o czym mówi.

– Wie pan – pyta mnie wprost – na czym polegała przewaga polskiej propagandy nad niemiecką? Na tym, że Polacy, mając po swojej stronie Korfantego, trafiali w sedno sprawy, obiecując zniewolonym górnośląskim chłopom kawałek własnego pola i wyzwolenie spod władzy feudalnej. My, Niemcy, nie mieliśmy po swojej strony kogoś na miarę Korfantego. Niestety – kończy.

MÓWIĆ PO POLSKU, CZUĆ SIĘ NIEMCEM; MÓWIĆ PO NIEMIECKU, CZUĆ SIĘ POLAKIEM

Opuszczając przedział, dochodzę do wniosku, że większość tekstów literackich, które powstały w języku niemieckim w latach dwudziestych i trzydziestych XX wieku, przedstawia stereotypowy wizerunek Korfantego demonizujący cechy jego charakteru i motywety postępowania. W kreowanej przez niemieckich pisarzy semantyce pojęć wokół Korfantego jak w zwierciadle odbijają się argumenty obecne w dyskursie o Górnym Śląsku, zdeterminowane ówczesną sytuacją polityczną, narodowościową czy gospodarczą.

Ale czy na literackiej scenie Niemiec nie było kogoś, kto wyzwolił się z tej stereotypowej logiki? Owszem, był. Widzę go samotnie siedzącego w przedziale i zapatrzonego w dal za oknem. W rękę trzyma kawałek czarnego węgla z gliwickiej ziemi, różaniec z Góry św. Anny i małego, posrebrzanego lwa – na wzór Śpiącego lwa śląskiego rzeźbiarza Theodora Kalidego, który do dziś stoi w gliwickim Parku Miejskim. Trzyma te przedmioty i chyba wspomina. Gdy uprzejmie pukam i przesuwam drzwi, wita mnie z entuzjazmem i jest nad wyraz rozmowny. W 1975 roku, gdy przyszedłem na świat w jego rodzinnych Gliwicach, Horst Bienek wydał powieść *Die erste Polka (Pierwsza polka)*, która w niemal rewolucyjny sposób – patrząc z niemieckiej perspektywy – wskrzesiła specyfikę Górnego

Śląska i mentalność jego mieszkańców z okresu międzywojnia. Także portret Korfantego, jaki kreśli w niej Bienek, nie ma nic wspólnego z wcześniejszymi literackimi kreacjami i wyobrażeniami.

– Ta moja opowieść – wspomina pisarz – wywołała falę krytyki wśród moich rodaków, szczególnie tych związanych ze stowarzyszeniami wypędzonych. Dla wielu z nich moje literackie Gliwice były nie dość niemieckie – ludzie mieli słowiańsko brzmiące nazwiska, przeklinali i modelili się po polsku, a jednym z najcieplej przedstawionych bohaterów był niemiecki Żyd Georg Montag, zafascynowany właśnie Wojciechem Korfantym i pracujący nad jego biografią. A ja chciałem pokazać tragiczny wymiar tej historycznej postaci, w której odkryłem klucz do zrozumienia Górnego Śląska. Korfanty – ciągnie Bienek – był na początku tak samo polski, jak i niemiecki. Albo odwrotnie. Nikt, kto nie wychował się w tym regionie lub nie żył tu przez dłuższy czas, nie pojmie tego, co to oznacza: mówić po polsku, a czuć się Niemcem. Albo odwrotnie. A mnie interesują właśnie te wewnętrzne sytuacje graniczne, zakotwiczone w ludzkiej naturze i wdzierające się w naszą osobowość. Nie tylko nas, Górnoślązaków. Każdy z nas, niezależnie od tego, gdzie żyje na co dzień, w gruncie rzeczy jest człowiekiem pogranicza, bo każdy z nas dokonuje wyborów. Nie zawsze trafnych. Tak było przecież z Korfantym, wyrosłym w dobie *Kulturkampf* między Polską i Niemcami i poszukującym swej tożsamości. To był człowiek, który po klęsce Niemiec w 1918 roku chciał przynieść dobrobyt Górnemu Śląskowi, któremu Polska obiecała autonomię. Dokonał swego i za to zapłacił – aresztowaniami, wygnaniem, niezrozumieniem. Nie mam wątpliwości, że jeśli opowiedziałby się po stronie niemieckiej, spotkałby go podobny los, jeśli nie gorszy. Bo tragedia Górnoślązaka polega właśnie na tym, że czasem nie jest on ani Polakiem, ani Niemcem, ale właśnie Górnoślązakiem, i że w każdym wypadku robi mu się krzywdę, gdy wbrew niemu samemu zalicza się go do Polski albo do Niemiec.

POLSKIE SPORY

Pora przenieść się do wagonu z polskimi pisarzami. Wybieram dwa przedziały. W pierwszym siedzą Zofia Kossak-Szczucka, autorka eseju z 1932 roku pt. *Przywódcy*, oraz Ksawery Pruszyński, który dwa tygodnie po śmierci Korfanteo, na początku września 1939 roku, opublikował na łamach „Wiadomości Literackich” portret polityka pt. *Korfanty*. Siedzą i kłócą się, a ja szybko się orientuję, o co toczy się spór.

– Korfanty rządził jak samowładny arystokrata, nie znosząc niczych uwag, nie zdając nikomu sprawy – wykrzykuje Kossak-Szczucka. – Po trupach dobił się znaczenia i wpływów. Dobrze, przynajmniej, że w okresie walki plebiscytowej takie cechy rzeczywiście były niezbędne. Ale już w trzecim powstaniu zawiódł całkowicie. Zamiast przeć do przodu, zaczął lawirować, naiwnie wierząc w sens dyplomatycznych negocjacji. Nie dał się przekonać Michałowi Grażyńskiemu, który w zdecydowanym czynnie powstańczym widział jedyną drogę do sukcesu Polski na Śląsku. Ale Korfanty nie wierzył w powodzenie powstania! A przede wszystkim lękał się, tak – lękał! Gniewu aliantów, nagany rządu polskiego i czego tam jeszcze. I zlikwidował powstanie, wstrzymał zwycięski pochód. Powstanie dogasło, stłumione przez jego własnego dyktatora. Właśnie w tym momencie linia tego, przyznam, wybitnego człowieka całkowicie się załamała.

– Co pani wygaduje?! – pieni się Pruszyński. – Korfanty nie znał lęku i nie dał się wyprowadzić z równowagi. Zachował stanowisko katolicko poprawne, narodowo wierne i zwyciężył. A jego zwycięstwem było obudzenie politycznej polskości na Śląsku, to, że robotnik śląski począł głosować na posłów Polaków i uświadomił sobie, że między nim a inteligencją śląską, niemiecką lub ziemczą istnieje przedział nie tylko majątkowy, nie tylko społeczny. Powiem coś pani, droga koleżanko: kto wie – gdyby Korfanty urodził się i działał nie na Śląsku, ale na Warmii, to może zamiast Katowic mielibyśmy Szczytno, Elbląg i Malbork. Kto wie – gdyby Korfanty nie działał na Śląsku przez dziesiątki lat,

Fot. Wikimedia Commons



Głosuj za Polską, będziesz wolny – polski plakat propagandowy z okresu plebiscytu na Górnym Śląsku

może dziś tylko byśmy marzyli o polskich Katowicach. Tamtych ziem nie odzyskał, te – owszem. Te ziemie są polskim województwem, na tamtych wznosi się mauzoleum Hindenburga, a swoje mowy wygłasza Hitler. Można o tych sprawach mówić dziennikarskie sofizmaty, można zaplawać się tu niewczesną nienawiścią, a jednak każdy Polak wie, że o losie Śląska zdecydował właśnie Korfanty, a o losie pruskich Warmii i Mazur to – niestety – że nie urodził się tam człowiek z nieugiętością Korfanteo, z zażartością Korfanteo, z uporem Korfanteo, nawet z chytrą Korfanteo!

– Tak?! A gdy gwiazda Korfanteo zgasła w Polsce i na Śląsku, a w miejscach spodziewanych wpływów, zaszczytów, władzy i całego tego splendoru spotykał go zawód za zawodem, to co zrobił?! – zaperzyła się Kossak-Szczucka. – Nie tak wyobrażał sobie współzycie z Polską, co?! Jego krzywda – krzywda Śląska, bo Śląsk – to tylko on, tak?! I co z tego wyszło? To, że z całym przekonaniem zaczął walczyć o ten uosobiony w nim Śląsk – i to z Polską! I przyszła chwila, gdy ten stary bojownik polskości zatrul życie polityczne na Śląsku, wywołał rozłam i zaczął się solidaryzować z Niemcami



Pamiętkowy akt przyłączenia Górnego Śląska do Polski

mi. Jego przemówienia na trybunie Sejmu Śląskiego były witane salwą niemieckich oklasków!

– Ach tak? To dlatego współczesna historiografia polska powstań śląskich obniża zasługi i rolę Korfanteo, czyż nie? – odparł Pruszyński. – Niemcom się nie dziwię, bo to zrozumiałe. Im zależy na tym, żeby pokazać, że powstania śląskie wychodziły z inicjatywy pozaśląskiej, z „intrygi” polskiej, że w najlepszym razie miały śląskich wykonawców, subalternów, a wodzowie i oficerowie przyszli z zewnątrz, spoza Śląska. Ale dziwię się Polakom, którzy umniejszają lub zupełnie pomijają rolę Korfanteo. Co za krótkowzroczność! Przecież pani wie, że Korfanty był daleki od separatyzmu. Ten rdzenny Ślązak był przede wszystkim zwolennikiem oddania władzy na Śląsku w ręce Ślązaków. Za czasów niemieckich sam przecież ich uświadamiał, że na wła-

snej ziemi są rządzani przez niemiecki element napływowy. W pierwszych latach Polski dożył swego tryumfu, ale później wszystko wzięło w łeb! Przyszłość zresztą pokaże, czy takie pojmowanie autonomii nie było dla Rzeczypospolitej szczęśliwsze i korzystniejsze od pojęć późniejszych, wniesionych przez ludzi spoza Śląska.

– Tak pan mówi, bo zawsze pan nienawidził Piłsudskiego!

– O nie, droga pani, nie dlatego. Zresztą przestałmy wyrzucać sobie nasze osobiste motywy, bo i ja zapytam, jakim cudem zadłużona posiadłość pani ojca w Górkach Wielkich stała się beskidzką siedzibą śląskiego harcerstwa. Co, Grażyński pomógł?

Niezauważony wycofuję się z przedziału i zaglądam do drugiego. Trafiam z deszczu pod rynnę. Oto śląski pisarz Albin Siekierski, autor powieści *Nastaje zmierzch* z 1987 roku, sie-

dzi naprzeciw Konrada T. Lewandowskiego i mocno gestykuluje.

– Wie pan, ten pański kryminal o Katowicach okresu międzywojennego z 2010 roku – *Śląskie Dziękczynienie*, zgadza się? – to, proszę mi wybaczyć, jakaś okropna szmira! Jak pan mógł tak płytko potraktować Korfanteo?! Przecież w pańskiej książce to jakiś skorumpowany karierowicz i zwykły kryminalista, cynik bez żadnych hamulców moralnych. Jakby Korfanty był szefem jakiejś katowickiej mafii! Nic, tylko zwykły bandyta bez czci, wiary i sumienia, który z zimną krwią wykorzystuje bezgraniczną lojalność swoich Ślązaków. Tak przecież nie można! Ja wiem, u mnie Korfanty też nie jest święty, ale w mojej książce to nie jest postać czarno-biała, to człowiek jednak wątpliwy w słusność niektórych swoich wyborów, czasem żałujący takich momentów w swoim życiu, gdy zapominał o swoich bliskich, poświęcając się raczej swej idei... Tak, również dla wpływów i pieniędzy, ale to nie one stanowiły główny motyw jego działań. Ostatecznie to postać tragiczna, człowiek wygnany, prześladowany i zdradzony, i to przez swoich.

– Z całym szacunkiem, ale moja powieść to kryminal, a ten gatunek potrzebuje krwistej, ciemnej postaci. Co się pan tak denerwuje? Ja nie pisałem tej książki ani dla jakichś tam sentymentów, ani obrony jakichś narodowych racji, tylko po to, żeby akcja była wartka, trup siał się gęsto, rosło napięcie, a wraz z nim nakład. Niech pan się nie dziwi, takie czasy!

Pociąg się zatrzymuje. Wsiadam na jakiejś stacji i idę, nie oglądając się za siebie. Pograżam się w myślach. Z tej mojej podróży dowiaduję się jednego: literackie teksty często okazywały się nośnikami sporu o politykę historyczną na Górnym Śląsku. Były kodami wykładni danej pamięci historycznej. Można, a nawet należy, je rekonstruować. Odpowiedź na pytanie, do jakich skojarzeń i pojęć odwoływały się literackie portrety Korfanteo, wciąż jest ważna i niesamowicie pouczająca. Bo większość jego wizerunków – zarówno tych polskich, jak i niemieckich – była niebywale selektywna, fragmentaryczna, czasem fałszywa – często w zależności od danej wykładni polity-

ki kulturalnej. W ten sposób społeczna i polityczna działalność górnośląskiego polityka stała się przedmiotem zabiegów obliczonych na potrzeby danej polityki historycznej. Zabiegi te zawężyły, wyolbrzymiały albo wręcz ośmieszały dzieło tej nietuzinkowej osobowości i najczęściej redukowały je do tych jej aspektów, które pokrywały się z obowiązującą wykładnią polityki pamięci. Tak było w dziełach okresu między- i powojennego, które kreowały i wykorzystywały postać Korfantego na potrzeby zarówno polsko-niemieckiego, jak i wewnątrzpolskiego sporu wokół specyfiki kulturowej Górnego Śląska. Te kreacje przybierały postać albo mityczno-heroicznych inscenizacji, albo wręcz pamfletów, tworząc i utrwalając czarną albo złotą legendę polityka.

Tak jest dziś, a jak będzie jutro? Czy Korfanty jeszcze kogoś zainspirowuje? Mam taką nadzieję, bo wiem, że literatura – tak jak tworzący ją człowiek – może zarówno wzmacniać stereotypy, jak i osłabiać siłę ich oddzia-

ływania. Może pokazać, iż tej wybitnej i tragicznej postaci, wymykającej się zbyt powierzchownej ocenie, nie da się sprowadzić do jednowymiarowego symbolu na mapie polskiej, niemieckiej czy śląskiej pamięci historycznej. Dla historii i tożsamości Górnego Śląska Korfanty pozostaje osobowością niebywale intrygującą, która dla polskiej literatury wciąż jest dużym wyzwaniem.

Być może kiedyś – a może już wkrótce – ktoś jednak podejmie to wyzwanie. Oby tak się stało. Potrzebne są bowiem opowieści konfrontujące nas z losem postaci, bez których historia albo potoczyłaby się inaczej, albo w ogóle. Życiorys Korfantego i jego polityczna działalność pozostaną pełne zadziwiających sprzeczności. Od tej konstatacji nie są w stanie uwolnić się ani Niemcy, ani Polacy – ci ostatni może nawet w jeszcze większym stopniu. W polskiej zbiorowej pamięci Korfanty zajmuje trwałe miejsce tylko wówczas, gdy jest stylizowany na jedną z najbardziej wzo-

rowych postaci niepodległej Polski po 1918 roku. Wspomina się go jako Polaka o niezachwianym poczuciu patriotyzmu, człowieka, bez którego zaangażowania i dyplomatycznego zmysłu wschodnia część Górnego Śląska – ten ekonomiczny kąsek Niemców – najprawdopodobniej nigdy nie znalazłaby się w granicach Drugiej Rzeczypospolitej. A jednak Korfanty pozostaje postacią w najwyższym stopniu kłopotliwą. Jest tak dlatego, że wciąż jest niczym ładunek wybuchowy, zdolny rozsądzić inne granice – narracji „narodowej”, uznającej tylko jedną możliwą opcję „prawdy historycznej”. ■

MARCIN JOACHIM WIATR, literaturoznawca, historyk i tłumacz, pracuje w Instytucie im. Georga Eckerta ds. Międzynarodowych Badań nad Podręcznikami w Brunshwiku, gdzie po stronie niemieckiej opiekuje się pracami Wspólnej Polsko-Niemieckiej Komisji Podręcznikowej i koordynuje projekt wspólnego polsko-niemieckiego podręcznika do historii *Europa – Nasza historia*. W wypowiedziach przywołanych pisarzy autor zacytował wybrane fragmenty ich wspomnień, zapisków, esejów i powieści

R E K L A M A

PODCASTY MUZEUM HISTORII POLSKI

historia z pewnego źródła

MUZHP.PL/ YOUTUBE/ SPOTIFY/ APPLE PODCASTS/
INNE PLATFORMY PODCASTOWE



Aleksander Brückner

Galicjanin z urodzenia, berlińczyk z wyboru,
odkrywca *Kazań świętokrzyskich*

Jeden z najwybitniejszych polskich slawistów oraz historyków języka i kultury polskiej urodził się 29 stycznia 1856 roku w Tarnopolu. Tam bowiem jego pochodzący z Brzeżan rodzice – urzędnik skarbowy Aleksander Marian (1829–1898) i Emma z Kilianów – krótko mieszkali przed przeprowadzką do Lwowa. Rodzina Brücknerów wywodziła się z Austrii. Jego pradziadowie Piotr Brückner i Elżbieta z Wagnerów osiedlili się w Stryju jeszcze pod koniec XVIII wieku. W Galicji urodził się ich syn Piotr (1799–1871), późniejszy urzędnik skarbowy w Brzeżanach i tamtejszy wieloletni burmistrz. To u niego Aleksander spędzał wakacje, a same Brzeżany darzył wielkim sentymentem. *Do dziadków nieraz jeździłem na wakacje; jako młody chłopak kąpałem się w stawie brzeżańskim i biegałem aleją lipową do raję. Dziadek miał tam swoją kamienicę, proszę zapytać w Brzeżanach o kamienice Brücknerów, a zaraz panu pokażą – wspominał podczas spotkania z Józefem Widajewiczem (1889–1954) w 1930 roku w Berlinie.*

Aleksander Brückner spędził pierwsze lata życia i wczesną młodość w wielokulturowym środowisku monarchii habsburskiej, w jej części zwanej Galicją Wschodnią, gdzie zgodnie ze spisem ludności w 1910 roku 61,7 proc. ludności stanowili grekokatolicy, 25,3 proc. – rzymscy katolicy, a 12,4 proc. – Żydzi. Z kolei w spisie ludności z 1931 roku (a zatem pod koniec życia Brücknera) język polski jako ojczysty zadeklarowało 39,31 proc. mieszkańców tych terenów, ukraiński lub ruski – 52,75 proc., a jidysz i hebrajski – 7,13 proc.

PROFESOR W BERLINIE

Aleksander z rodzicami i braćmi Karolem i Gustawem mieszkał we Lwowie, gdzie w 1872 roku zdał maturę z odznaczeniem w II Państwowym Gimnazjum z językiem niemieckim i na tamtejszym uniwersytecie rozpoczął studia filologiczne (filologia klasyczna, sanskryt, język gocki, staro-cerkiewny). W 1876 roku obronił

w Wiedniu doktorat na temat slawizmów w języku litewskim (*Die slavischen Fremdwörter im Litauischen*). Dzięki stypendium Wydziału Krajowego we Lwowie kontynuował studia slawistyczne w Lipsku oraz Berlinie u jednego z najwybitniejszych językoznawców tamtych czasów Vartoslava Jagicia (1838–1923). W 1878 roku habilitował się w Wiedniu u Franza Miklosicha (1813–1891) – napisał pracę o osadnictwie w rejonie Altmarku i Magdeburga (*Die slavischen Ansiedlungen in der Altmark und im Magdeburgischen*). W tym samym roku zaczął prowadzić – jako docent prywatny – wykłady z gramatyki staro-cerkiewno-słowiańskiej na Uniwersytecie Lwowskim. Wykładał także w Wiedniu.

W 1880 roku niespełna 25-letni naukowiec uzyskał nominację na profesora nadzwyczajnego w Katedrze Języków i Literatur Słowiańskich na Uniwersytecie Berlińskim. Zawdzięczał to Jagiciowi, który, przenosząc się do Petersburga, zaproponował jako następcę swego ucznia. Brückner obejmował

stanowisko w trudnym momencie, w okresie *Kulturkampfu* i nasilenia tendencji nacjonalistycznych w Niemczech. Przed objęciem profesury władze uniwersyteckie wyraźnie zaznaczyły, że młody naukowiec – co prawda austriacki poddany i wywodzący się z niemieckiej rodziny, ale Polak – ma się powstrzymać od wygłaszania w czasie zajęć dydaktycznych poglądów politycznych, a same zajęcia ma prowadzić w języku niemieckim (nie po łacinie).

Wiosną 1881 roku Brückner rozpoczął pracę dydaktyczną i kontynuował ją (od 1892 roku jako profesor zwyczajny) do emerytury w 1924 roku. Pod jego kierunkiem powstało 14 doktoratów oraz dwie habilitacje. Przez większość czasu pracował na katedrze sam. Wsparcie w pracy dydaktycznej dawały jedynie lektorstwa rosyjskiego (od 1894 roku), ukraińskiego (od 1919 roku) oraz polskiego i serbskiego (od 1921 roku), były one jednak związane z Seminarium Języków Orientalnych lub Seminarium Historii Europy Wschodniej. Instytut Sławistyki w Ber-

linie założył dopiero następca Brücknera Max Vasmer (1886–1962).

SKARBY Z PETERSBURGA

Objęcie profesury stało się punktem zwrotnym w karierze naukowej Brücknera, który zwrócił się ku badaniom nad językiem i kulturą polską.

Dostrzegłszy brak wiedzy na te tematy w kręgach niemieckich, podjął się napisania po niemiecku podręcznika literatury polskiej. Od sierpnia 1889 do maja 1890 roku dzięki subwencji Pruskiej Akademii Nauk prowadził poszukiwania w bibliotekach Warszawy, Krakowa, Lwowa, Gdańska, Królewca i Petersburga w celu pozyskania nowego materiału rękopiśmiennego. Zwłaszcza kwerenda w Cesarskiej Bibliotece Publicznej w Petersburgu, w której zgromadzono zrbowane przez Rosjan starodruki i archiwa z terenów dawnej Rzeczypospolitej, przyniosła spektakularne odkrycia. Świadek tej pracy, językoznawca i twórca gramatyki historycznej języka polskiego Jan Łoś (1860–1928), wspominał: *W Petersburgu ledwie otwarto rano gmach Biblioteki, już Brückner siedział przy swoim warsztacie, rano w Sali rękopisów, a gdy się ściemniało, przechodził do czytelní, gdzie wertował stare, rzadkie druki. Znoszono mu je stosami, a i rękopisów wyjątkowo jemu nie wydzielano według codziennej recepty, lecz mu ich dostarczano tyle, ile tego zażądał. Tak mu schodziły niezmiennie dni za dniami od rana do późnego wieczora, [...] ledwie pozwalał sobie na krótką przerwę obiadową.*

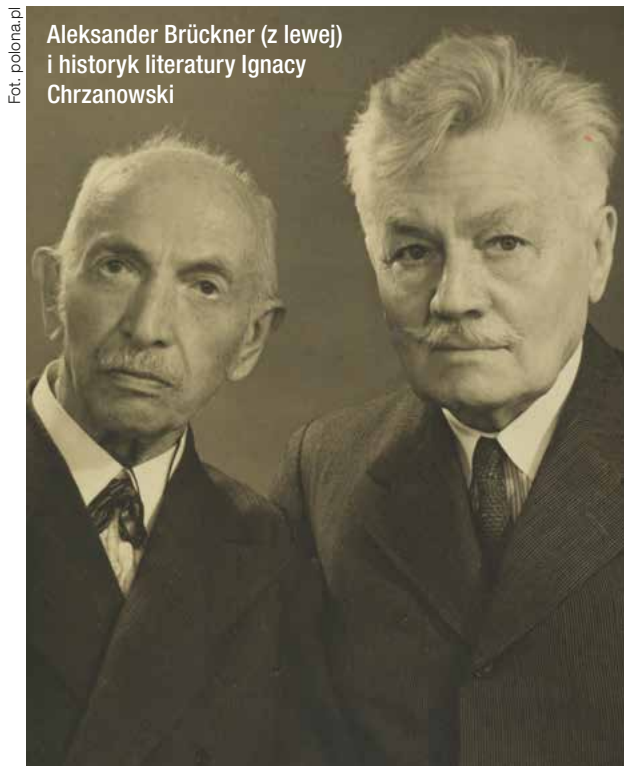
Pod koniec pobytu w Petersburgu Brückner zwrócił uwagę na skrawki pergaminu wszyte w oprawę jednego z rękopisów. Te fragmenty, nazwane przez odkrywcę *Kazaniami świętokrzyskimi*, okazały się najstarszym zachowanym zabytkiem języka polskiego (XIV wiek). Z podróży naukowej profesor przywiózł także inne skarby, m.in. wiersz Słoty *O zachowaniu się przy stole* (najstarszy utwór świecki w języku polskim, napi-

sany po 1400 roku), słowniki, łacińskie kazania, utwory kaznodziejskie zaopatrzone w polskie glosa, nieznane utwory Jana Kochanowskiego i Mikołaja Sępa Szarzyńskiego, ogromną część spuścizny poetyckiej Wacława Potockiego. W 1901 roku ukazała się *Geschichte der polnischen Literatur* („Historia literatury polskiej”) – pierwszy przegląd literatury

wych, nowości wydawniczych [...] rzucił się wprost na stosy książek przyniesionych mu z magazynów biblioteki. Przerzucał foliały dzienników, notował coś na kartkach, to znów w swoich już zapisanych skreślał. Tom za tomem wertował, niektóre otwierał od razu na upatrzonych stronach. [...] Później Brückner pyta jeszcze ossolińczyków o różne szczegóły literackie, o płoteczki miejscowe, o ludzi, o stosunki w redakcjach. Okazuje się, że słyszał już niejedno i tylko chce dowiedzieć się ciągu dalszego. Wszystko go zajmuje, ale spieszy, bo musi odwiedzić i Bibliotekę Baworowskich, i zbiory Pawlikowskich (wtedy jeszcze nie złączone z Ossolineum), tam pogawędzić z Ludwikiem Kubalą i jeszcze „coś zobaczyć” w Bibliotece Uniwersyteckiej. Idzie szybko długim korytarzem z teką wyladowaną pod pachą, aż w oddali ginie jego drobna sylwetka.

W latach 1914–1918 Brückner poświęcił się publicystyce politycznej. Wpierał ideę niepodległości Polski, nawiązując współpracę z Wilhelmem Feldmanem, reprezentującym w Berlinie Józefa Piłsudskiego. Współpracował też z takimi czasopismami, jak „Polnische Blätter” i „Weltwirtschaftliches Archiv”. Swoje artykuły ogłosił w osobnym zbiorze po niemiecku (*Die Slaven und der Weltkrieg*, 1916), a następnie w wersji poszerzonej po polsku (*Słowianie i wojna*, 1918).

Stanowisko Brücknera w kwestii niepodległości Polski było proniemieckie, odrzucał jednak koncepcję *cordon sanitaire*, w której nie znalazł miejsca na niepodległą Polskę. Podkreślał konieczność sojuszu z Rzeszą Niemiecką w ramach idei Mitteleuropy, w której państwa leżące między Niemcami i Rosją miały uzyskać półniezależny status, Polska zaś – jako sojusznik Niemiec – pozycja *primus inter pares*. W tym kontekście warto też przypomnieć jego ambiwalentne oceny polsko-niemieckich związków kulturowych formułowane długo przed wybuchem pierwszej wojny światowej. W eseju *Słowianie i Niemcy* (1900) pisał: [...] obje jednostki etniczne, każda z wyrobionym już typem fizycznym i moralnym, z osobnym temperamentem i ustrojem, językiem, obok siebie



Aleksander Brückner (z lewej)
i historyk literatury Ignacy
Chrzanowski

polskiej od 1242 roku do czasów współczesnych autorowi napisany w języku niemieckim. Dwa lata później ukazała się po polsku wersja rozszerzona (*Dzieje literatury polskiej w zarysie*).

SŁOWIANIE I WOJNA

Do 1914 roku Brückner każde wakacje spędzał we Lwowie, pracując w tamtejszych bibliotekach. Wydawca i historyk literatury Stanisław Lam (1891–1965) we wspomnieniu pośmiertnym zamieszczonym w „Nowej Książce” w 1939 roku tak opisuje te wizyty: *Jakież życie wnosil on sobą w te szacowne i spokojne mury [Ossolineum – przyp. aut.]. Witai go z atencją nalezną świetnemu Gościowi dyrektor Wojciech Kętrzyński, nieśmiało się zbliżał Bronisław Czerniak, a na dłuższy dyskurs wyciągał żyw, znający pełno faceryj Tadeusz Czapelski. [...] Brückner odcity w Berlinie od całego bogactwa polskich czasopism krajo-*

stały; od kiedy zadzierzgnęły się po raz pierwszy węzły owej, jedynej w dziejach, dziwnej wzajemności, z której się i dziś jeszcze po części wypłatać nie zdołaliśmy istni bracia siamscy, skazani na nierozłączność, a mimo to najzawziętsi jedni drugich wrogowie.

NIE TYLKO NAUKA

Brücknerowi proponowano objęcie katedr w Krakowie i Wiedniu (1888 i 1900), a także w Warszawie i Poznaniu (1918/1919). Odmawiał, powołując się na potrzebę utrzymania katedry w Berlinie ze względu na interes studentów polskich, a później także z powodów zdrowotnych. Nie bez znaczenia mógł być też aspekt rodzinny. W 1897 roku profesor ożenił się z Emmą Henriettą Hinkelberg (1855–1940), wdową, która wcześniej była jego służącą. Związek ten był postrzegany jako mezalians, a w kobiecie widziano jedynie wzorową gospodynię domową, pozostającą poza intelektualną sferą męża. Przenosiny do Polski wiązałyby się z wyrwaniem jej z Berlina. Emma była osobą wartościową i nienarzucającą się – jak pisał historyk literatury Tadeusz Ulewicz (1917–2012), ale jednocześnie nie nadawała się do niego [środowiska uniwersyteckiego w Polsce – przyp. aut.] stanowczo i, co gorsza, przestawić się ani



Fragment *Kazań świętokrzyskich* odnalezionych przez Brücknera w Cesarskiej Bibliotece Publicznej w Petersburgu

przystosować by się nie umiała. Ta trzeźwa ocena szła w parze z dużą życzliwością Ulewicza dla Emmy, bez której wsparcia – jego zdaniem – imponująca działalność naukowa Aleksandra nie byłaby możliwa. Małżonkowie nie doczekali się potomstwa.

Brückner utrzymywał jedynie nieliczne kontakty z uczonymi niemieckimi. Max Vasmer w liście z 15 sierpnia 1948 roku do Jana Otrębskiego pisał, że unikał towarzystwa i bywał tylko w seminarium słowiańskim, gdzie chętnie rozmawiał zwłaszcza z moją asystentką p. [Margarete] Woltnier [1897–1985, następczyni Vasmera na katedrze – przyp. aut.]; poza tym by-

wał w Bibliotece Państwowej, a czasami chodził też do kawiarni. Na Wydziale rozwiązał tylko z [Wilhelmem] Schultze [1863–1935, językoznawca, indogermanista i filolog klasyczny – przyp. aut.] i ze mną, poza tym z nikim. Pamiętam, jak ś.p. germanista [Gustav] Roethe [1856–1926 – przyp. aut.] kiedyś mi mówił: „Schodził nam zawsze z drogi, ale nie my jemu”. Brückner miał jednak przyjaciół wśród berlińskiej Polonii, do których należeli matematyk Władysław Bortkiewicz (1968–1931) oraz z kustosz w Bibliotece Królewskiej i lektor historii Polski Józef Paczkowski (1861–1933). Ten ostatni w 1919 roku przeniósł się jednak do Poznania. Brückner utrzymywał również ożywione kontakty z uczonymi z kraju. Jednym z jego najbliższych przyjaciół był historyk literatury Ignacy Chrzanowski (1866–1940).

Z czasem stało się wręcz tradycją składanie wizyt profesorowi przez przyjeżdżających do Berlina. Niezwykle rzadko przyjmował gości w domu, za to chętnie spotykał się z nimi w kawiarniach, np. w Café Bauer (Unter den Linden/Friedrichstrasse), która była popularnym miejscem spotkań w kołach polskich, a także w Romanisches Café (Kurfürsterdamm/Tauenzienstrasse), gdzie siadywał przy zarezerwowanym dla siebie stoliku, czytując „Kuriera Warszawskiego” oraz berlińskie i monachijskie pisma humorystyczne.

SPUŚCIZNA

Dorobek Aleksandra Brücknera liczy znacznie ponad 1500 prac. W swoich badaniach skupiał się na języku, w którym widział nie tylko narzędzie komunikacji, lecz przede wszystkim instrument tworzący wspólnoty kulturowe i narodowe. Tak o tym pisał w *Dziejach języka polskiego*: [...] język wyodrębnia nas od innych, a łączy między nami; ziomkiem moim nie jest ten, co go ta sama ziemia wydała, lecz raczej ten, co się do mnie w mo-

W 2009 roku w ramach przygotowań do wystawy „My berlińscy!” organizowanej przez Centrum Badań Historycznych PAN w Berlinie został odnaleziony – dzięki staraniom Ewy Marii Slaskiej i Anny Kuzio – grób Aleksandra Brücknera i jego żony na cmentarzu Tempelhofer Parkfriedhof. Berlińska Polonia przez lata otaczała mogiłę opieką, jej staraniem został przedłużony status grobu honorowego. Sam cmentarz był jednak przeznaczony do likwidacji, co zagrażało istnieniu mogiły. Dopiero w 2022 roku na szczęblu rządowym zapadła decyzja, że groby sławnych Polaków będą przenoszone do kraju. 29 września 2023 roku urna z prochami Aleksandra i Emmy Brücknerów spoczęła w Alei Zasłużonych na cmentarzu Rakowickim w Krakowie.

im języku odżywa. Jeżeli stan społeczny, wyznaczenie, przynależność polityczna dzielą nas czy różnią, język ponownie nas łączy. Plemiona skazane na zagładę odżyły, pielęgnując najpierw sam język: przyjąwszy tę postawę, dobiły się później i reszty, np. Czesi. W ujęciu Brücknera badanie języka, jego zabytków i rozwoju miało na celu poznanie dziejów ludzi nim władających i ich kultury. Opublikował i opracowywał ogromny materiał rękopiśmienny z okresu średniowiecza (m.in. *Kazanie świętokrzyskie*, „Prace Filologiczne” 1891, *Średniowieczna poezja łacińska w Polsce*, Kraków 1892–1894; *Kazania średniowieczne*, Kraków 1895–1896; *Apokryfy średniowieczne*, Kraków 1900–1904) oraz epok późniejszych, m.in. odkrywając twórczość Wacława Potockiego (m.in. Wacław z Potocka Potocki, *Ogród fraszek*, t. I–II, Lwów 1907; Wacław Potocki, *Wojna Chocimska*, Kraków 1924). Cenne są jego prace dotyczące protestantów (m.in. *Mikołaj Rej. Studium krytyczne*, Kraków 1905; *Różnowiercy polscy. Szkice obyczajowe i literackie*, Warszawa 1905), mitologii (*Starożytna Litwa. Ludy i bogi*, Warszawa 1904; *Mitologia słowiańska*, Warszawa 1918), a na szczególne wyróżnienie zasługują syntezy: *Słownik etymologiczny języka polskiego* (Kraków 1927), *Dzieje kultury polskiej* (t. I–III, Kraków 1930–1932, wyd. II zmienione i rozszerzone, t. I–IV, Warszawa–Kraków 1939–1946) oraz *Encyklopedia staropolska* (t. I–II, Warszawa 1937–1939), przy której pracowało także wielu innych badaczy (m.in. Karol Estreicher, autor wyboru ilustracji oraz haseł z dziedziny historii sztuki).

Słynął z szybkiego pióra i polemicznego temperamentu, co czasem ściągało nań kłopoty. Do długoletniego sporu, który przerodził się w niechęć, doszło pomiędzy Brücknerem i Kazimierzem Nischem (1874–1958) oraz innymi językoznawcami krakowskimi. Jego podstawą były nie zawsze fortunne sformułowania samego Brücknera, a także głębsze różnice poglądów na niektóre kwestie (np. dialektologię, którą Nitsch ogromnie po-

ważał, a Brückner lekceważył, kwestię badań nad fonetyką i skupienie się na badaniach języka mówionego lub zabytków pisanych, czemu hołdował Brückner, sprawę miejsca powstania literackiej polszczyzny: Nitsch optował za Wielkopolską, podczas gdy Brückner wskazywał na Małopolskę). Ta niechęć doprowadziła nawet do storpedowania w 1926 roku przez Nitscha i innych językoznawców projektu nadania Brücknerowi doktoratu *honoris causa* Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Aleksander Brückner zmarł 24 maja 1939 roku. Z powodu sprzeciwu krewnych żony, mieszkających z nimi ze względu na zły stan zdrowia małżonków, jego ciała nie przewieziono do Polski. Uroczystości pogrzebowe odbyły się 30 maja w Berlinie. ■

Aleksander Brückner zmarł 24 maja 1939 roku. Z powodu sprzeciwu krewnych żony, mieszkających z nimi ze względu na zły stan zdrowia małżonków, jego ciała nie przewieziono do Polski. Uroczystości pogrzebowe odbyły się 30 maja w Berlinie. ■

MONIKA SACZYŃSKA-VERCAMER, historyczka zajmująca się kulturą materialną i prywatną pobożnością późnego średniowiecza, pracuje w Instytucie Archeologii i Etnologii PAN w Warszawie oraz Centrum Badań Historycznych PAN w Berlinie

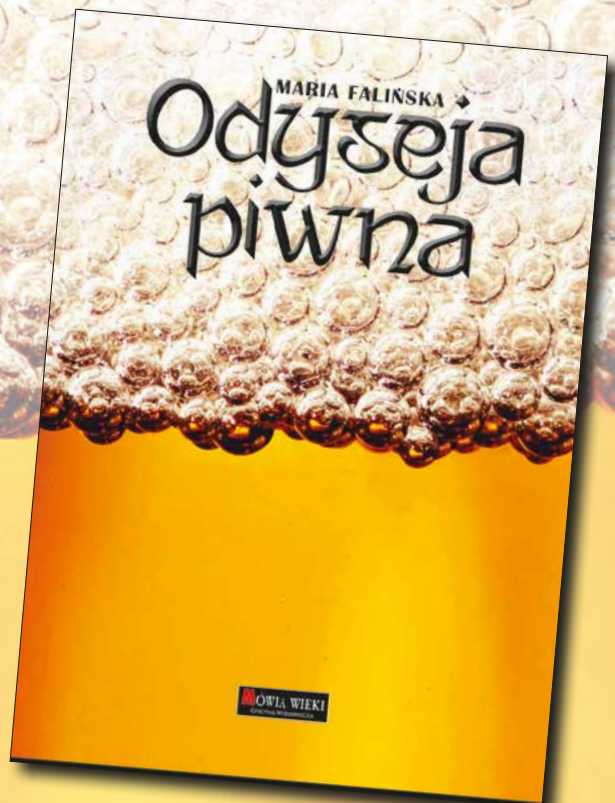
R E K L A M A

Odyseja piwna

Autorka – doktor historii kultury (UAM w Poznaniu) – w sposób barwny i przystępny dla każdego czytelnika pisze o historii piwa, a zwłaszcza o obyczajach towarzyszących konsumpcji tego napoju. Od starożytności po pierwszą połowę XX wieku, od wierzeń dawnych Greków, przez biesiady polskich Sarmatów, aż do knajp czasów najnowszych. Prześledzimy tu dzieje cywilizacji w tym specyficznym aspekcie. U biednych i bogatych. W dworze szlacheckim, w mieście i na wsi. W Polsce i na świecie.

Format: 145 x 205 mm, 168 stron, okładka ze skrzydełkami.

Książka dostępna w dystrybucji przez sieci księgarskie i salony prasowe od połowy października.



Miejsce pamięci i spotkań z Polską

Z Peterem Oliverem Loewem, dyrektorem Niemieckiego Instytutu Spraw Polskich w Darmstadt, rozmawia Igor Kąkolewski

Na temat niemieckich inicjatyw, które w przestrzeni publicznej funkcjonują pod skrótowymi hasłami Polen-Denkmal (Pomnik Polski) oraz Deutsch-Polnisches Haus (Dom Polsko-Niemiecki), panuje w Polsce wiele nieporozumień. Wynikają one głównie z braku dokładnych informacji na temat genezy i realizacji projektu, który ewoluował od Pomnika Polskiego do Domu Polsko-Niemieckiego. Czy mógłby pan krótko naszkicować jego historię i główne cele?

Ponad dziesięć lat temu Władysław Bartoszewski, wtedy jeszcze pełnomocnik rządu RP do spraw stosunków polsko-niemieckich, zaproponował budowę pomnika upamiętniającego polskie ofiary drugiej wojny światowej. W 2017 roku pięć osobistości niemieckiego życia publicznego podchwyciło pomysł. Mój instytut – Niemiecki Instytut Spraw Polskich (DPI) – przyjął projekt i rozszerzył go: miał to być więcej niż tylko niemiecki gest wobec Polski, a mianowicie miejsce informacji o polsko-niemieckiej historii, spotkań i edukacji. W konsekwencji starań o znalezienie poparcia w Bundestagu w październiku 2020 roku niemiecki parlament podjął decyzję, aby stworzyć „miejsce pamięci i spotkań z Polską”. Pierwsza koncepcja powstała pod przewodnictwem niemieckiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Po wyborach do Bundestagu jesienią 2021 roku projekt przeszedł do urzędu Pełnomocnika Związkowego do spraw Kultury i Mediów (BKM), federal-

nego niby-ministerstwa kultury, bo w zasadzie kultura w Niemczech to sprawa poszczególnych krajów związkowych. BKM zlecił wykonanie dalszych prac – opracowanie propozycji do realizacji. Stworzona specjalnie w tym celu komórka, powołana przy podporządkowanej BKM Fundacji Pomnik Pomordowanych Żydów Europy, niestety dopiero wiosną 2023 roku mogła rozpocząć prace, wsparte przez DPI. Wiosną 2024 roku kończyły się prace nad obszerną propozycją realizacji. Rząd federalny przegłosował projekt pod koniec czerwca 2024 roku i przekazał do Bundestagu, niestety, z powodu rozpadu koalicji rządzącej jesienią tego roku nie doszło już do obrad parlamentarnych nad projektem.

Jakie instytucje są zaangażowane w ten projekt?

Formalnie rzeczona komórka (Stabsstelle) jest odpowiedzialna za prace koncepcyjne. Wspiera ją DPI, odpowiadający m.in. za część oświatową. Partnerami po polskiej stronie był i jest Instytut Historii Polskiej Akademii Nauk oraz Polsko-Niemiecka Współpraca Młodzi.

Czy projekt był konsultowany również ze środowiskami polskich historyków?

Podczas przygotowań do realizacji koncepcji – a także podczas wcześniejszych prac – w różnych grupach eksperckich obradowało kilkadziesiąt historyczek i historyków polskich i niemieckich. Ich bardzo cenne komentarze pomogły w pracach nad ostatecznym kształtem projektu.

Czy projekt zjednał sobie niemieckich polityków ponad podziałami partyjnymi?

Główne linie podziału nie przebiegały po liniach partyjnych, lecz zależały od tego, czy dany polityk zajmował się polityką zagraniczną lub kulturalną. Z perspektywy polityki zagranicznej nie ulegało – i nie ulega – wątpliwości, że projekt jest bardzo ważny i na pewno poprawi relacje między Polską a Niemcami. Natomiast z perspektywy kultury i – ogólniej – z perspektywy kultury pamięci sprawy nie są tak łatwe. Sprzeciw był głównie wywołany argumentem, że jeżeli Polsce postawi się pomnik i dom, to inne państwa, które również cierpiały pod niemiecką okupacją, także wysuną podobne żądania. Obawiano się też, że projekt można interpretować jako relatywizację Holokaustu. W nowym Bundestagu, wybranym podczas wyborów 23 lutego 2025 roku, decydujący głos ma chadecja, a kanclerz Merz już wcześniej zapowiedział nowe otwarcie wobec Polski, co dotyczy także konstruktywnego podejścia do projektu pomnika i Domu Niemiecko-Polskiego. Wprawdzie minęło już wiele miesięcy, ale nadal jesteśmy dobrej myśli.

Negocjacje na temat lokalizacji domu i pomnika trwały długo. Dlaczego zdecydowano się na dawną Krolloper w Großen Tiergarten w pobliżu Bundestagu? Czy jest to decyzja ostateczna? Jaka jest symboliczna wymowa tego miejsca?

W 2017 roku inicjatorzy projektu zaproponowali pl. Askański przy byłym Dworcu Anhalter Bahnhof, bo urbanistycznie pomnik by tam pasował. Podczas obrad eksperckich w 2021 roku pojawiła się jednak propozycja, aby zrealizować projekt na terenie byłej Opery Krolla. To rzeczywiście świetne miejsce. W tym budynku od wiosny 1933 roku – po pożarze Reichstagu – obradował niemiecki parlament, przed którym Adolf Hitler 1 września 1939 roku ogłosił atak na Polskę. Oto bezpośredni odnośnik do tragicznej historii. Ruiny budynku rozebrano po wojnie – teraz jest tu pusty plac z trawnikiem i paroma drzewami, zaraz obok Urzędu Kancelerskiego, oraz naprzeciwko budynku niemieckiego parlamentu. Nie ma lepszego i bardziej centralnego miejsca w Berlinie na budowę pomnika i – najlepiej – także Domu Polsko-Niemieckiego. Ale działka należy do kraju związkowego Berlin, dokładniej do dzielnicy Mitte, więc potrzebna by była skomplikowana wymiana działek, zmiana planu zagospodarowania, zmiana terenu zielonego na zabudowany i bez wyraźnej politycznej woli nie uda się tego zrealizować. Mam nadzieję, że niebawem sytuacja się wyklaruje.

Czy uważa pan, że można by było nieco zmienić koncepcję domu z projektu niemieckiego na bilateralny projekt polsko-niemiecki? Trochę na wzór polsko-niemieckiego podręcznika do historii *Europa. Nasza historia*. Jeśli potrafiliśmy stworzyć wspólny podręcznik – przypomnijmy, drugi po francusko-niemieckim ponadnarodowy podręcznik do nauczania historii w Unii Europejskiej – to dlaczego nie mielibyśmy stworzyć pierwszego w Europie dwunarodowego muzeum oraz miejsca edukacyjnego dla Polaków i Niemców poświęcone go historii naszego sąsiedztwa?

Niejednokrotnie spotkałem się z takim pomysłem. W zasadzie mogę sobie to tak wyobrażać, chociaż decyzja Bundestagu z 2020 roku jasno mówi, że to Republika Federalna jest odpowiedzialna za projekt. Trzeba

Peter Oliver Loew, dyrektor Niemieckiego Instytutu Spraw Polskich w Darmstadt



by znaleźć formę organizacyjną, która prawnie pozwoli na wspólne prowadzenie i sfinansowanie takiej instytucji, oraz zadbać o to, aby polski i niemiecki punkty widzenia współgrały ze sobą. Udało się w przypadku podręcznika, ale dom w sercu Berlina to inna sprawa.

Ogólnie rzecz biorąc i patrząc na napiętą sytuację budżetową w Niemczech, trzeba mieć nadzieję, że teraz rozpisanie konkursu na pomnik naprawdę szybko ruszy. Natomiast koncepcja Domu Polsko-Niemieckiego może ewentualnie ulec pewnym zmianom. ■

Maciej Krawczyk

Jak Niemcy Polaków z kazamatów uwolnili

Rewolucja berlińska w czasie Wiosny Ludów jest ważnym wydarzeniem w historii Niemiec – przyniosła im m.in. konstytucję. Punktem zapalnym tych wydarzeń było uwolnienie polskich więźniów, niedoszłych powstańców 1846 roku, z Ludwikiem Mierosławskim na czele.

Tak już jest, że główny nurt potocznej pamięci Polaków dotyczącej powstań narodowych skupiał się właściwie wyłącznie na działaniach w zaborze rosyjskim. Z tego powodu często na boczny tor odstawia się postaci naprawdę wybitne i fascynujące. Taką na pewno był Ludwik Mierosławski.

Nie tylko przywódca powstania wielkopolskiego, lecz także „latający” rewolucjonista, który niejednym legionem dowodził, kolega Garibaldiiego i bohater walki o wolność Niemców.

Historia pierwszej części życia Mierosławskiego jest ciekawa, ale, cóż, nie tak bardzo wyjątkowa. Uro-

dził się co prawda z matki Francuzki (i miał francuskie obywatelstwo), a do chrztu trzymał go napoleoński marszałek Louis Nicolas Davout, którego adiutantem był Mierosławski senior. Wychował się jednak i odebrał edukację w porzoborowej Rzeczypospolitej, w zaborze – a jakże – rosyjskim,

Rewolucja marcowa w Berlinie



zwanym wtedy szumnie Królestwem Polskim. Uczył się w szkole pijarskiej w Łomży, a później wstąpił do utworzonego przez Fryderyka Wilhelma III korpusu kadetów w Kaliszu. Tam na iście pruską modłę otrzymał bardzo porządne wykształcenie z teorii wojskowości.

W 1830 roku jako świeżo upieczony 16-letni podchorąży przystąpił wraz ze swoim 5. Pułkiem Piechoty Liniowej do powstania listopadowego. Zdobywał warszawski arsenał, walczył pod Olszynką Grochowską, a po klęsce insurekcji w stopniu podporucznika wraz z korpusem gen. Różyckiego przedarł się do Galicji, stamtąd zaś przedostał się do Francji. Możliwe, że podczas tej podróży – przebiegającej prawdopodobnie przez Niemcy – po raz pierwszy doświadczył *Polenbegeisterung* (zachwytu Polakami).

O ile austriackie i pruskie władze widziały w powstańcach listopadowych element wywrotowy, w oczach niemieckiego ludu większości stanów byli oni *Sturmvoegel der Revolution* (w wolnym tłumaczeniu – jaskółkami rewolucji). Opowieści podróżujących przez Niemcy wygnańców 1831 roku są pełne opisów nie tyle gościnności, ile graniczącego z szałem entuzjazmu. Polski zryw był dla miejscowych dowodem, że już za chwilę wiatr historii zmieni kierunek, przynosząc Wiosnę Ludów. Nie mylili się wiele.

Na razie jednak Mierosławski osiadł w kraju matki. Wiodło mu się dobrze. Dzięki wydaniu pracy o powstaniu listopadowym zaczęto go uważać – mimo młodego wieku – za doskonałego teoretyka wojskowości. Wykładał we Francuskim Instytucie Historycznym i wstąpił w szeregi Towarzystwa Demokratycznego Polskiego i Młodej Polski, ba, kontaktował się nawet z samym Giuseppem Mazzinim, który powierzał mu całkiem odpowiedzialne funkcje.

WIELKA WSYPA

Mierosławski zaczął przygotowywać powstanie wielkopolskie 1846 roku (planowane oczywiście jako zryw ponadzaborowy), na którego czele miał stanąć. Niestety, tuż

Ludwik Mierosławski,
rycina z książki Wilhelma
Blosa *Die deutsche
Revolution*, 1893



Fot. Wikimedia Commons

po przybyciu do Prus został – jak wielu innych – zadenuncjowany przez Henryka Ponińskiego. Dziwna to była historia, bo niewykluczone, że zdrajca wyspał niemal całą organizację z pobudek patriotycznych, widząc w zbrojnym zrywie ostateczną klęskę ograniczonych swobód Polaków w zaborze pruskim. Powstanie wybuchło jednak mimo jego wysiłków i dało pretekst do zlikwidowania Rzeczypospolitej Krakowskiej. Mierosławski znalazł się za to w Berlinie, gdzie wraz z ćwierć tysiącem innych zadenuncjowanych oczekiwał na proces.

Później wspominał o tym Aleksander Guttry, adiutant Mierosławskiego: *Forteca poznańska i wszystkie więzienia powiatowe przepełnione były aresztowanymi; a cała ludność Wielkopolski i Prus Zachodnich była pod śledztwem sądowym. Powiedzieć można bez przesady, że nie było prawie wioski, ani zakątka, w których by wysłańcy komisji śledczej nie odbyli rewizyj, lub nie pociągali służebnych do indagacji, celem wykrycia i stwierdzenia winy uwięzionych. Smutek i cisza zaległy całą krainę i trwogą napędlły pozostałe rodziny o los braci, mężów lub synów pod śledztwem zostających.*

PIERWSZY TAKI PROCES

Co ciekawe, mimo tysięcy aresztowanych *Berliner Polenprozess*, jak nasi zachodni sąsiedzi nazywają sąd nad niedoszłymi powstańcami 1846 roku, jest dużo ważniejszym wydarzeniem w historii Niemiec niż Polski. Był to pierwszy publiczny proces w sprawie o zbrodnie polityczne i doprowadził do głębokich zmian w pruskim prawie karnym. Przede wszystkim po raz pierwszy występowali w nim ławnicy, prokuratorzy, obrońcy, a sprawa była relacjonowana przez prasę. Szczegóły nowego typu postępowania ustalała specjalna ustawa z 1846 roku.

Nie był to jednak zbyt szczęśliwy ruch ze strony władz zaborczych, bo trudno dopatrywać się tu intencji innych niż wprzeżenie *Berliner Polenprozess* w maszynę antypolskiej propagandy. Prusacy chybili jednak cel. Jak zanotował Henryk Szuman, jeden z młodych prawników broniących polskich spiskowców: *Zainteresowanie się procesem przeciwko Polakom pomiędzy publicznością niemiecką w Berlinie było niepoślednie, już to z tego powo-*



Fot. Wikimedia Commons

**Powstanie wielkopolskie: bitwa pod Miłosławiem (30 kwietnia 1848 roku).
Mierosławski dowodził wtedy siłami polskimi**

du, że proces ten, chociaż przed trybunałem wyjątkowym, po największej części z radców kamergerychtu złożonym, się toczył, był jawnym, w formach zewnętrznych do sądu przysięgłych zbliżonym, co niezwykłe na szeroką publiczność sprawiało wrażenie, już też i dla tego, że pomimo ciężkiego oskarżenia, w szerokiej publiczności niemieckiej nie były jeszcze ostygły sympatie, z jakimi przed 17 laty zwracała się opinia powszechna do powstania listopadowego i z jakimi przyjmowała uczestników jego, po stłumieniu imprezy wojennej.

Proces rozpoczął się 2 sierpnia 1847 roku. W sprawie 254 oskarżonych, wśród których znalazł się również Henryk Poniński, zeznawało ponad 1 tys. świadków. Sąd składał się z przewodniczącego – sędziego Kocha – i ośmiu asesorów. Przed nimi, a przeciwko dwóm prokuratorom, stanęło aż 20 obrońców. Ze względu na tak ogromną skalę rozprawa odbyła się nie w budynku sądu, lecz w kościele więzienia Moabit. Proces trwał cztery miesiące. To, jak wielkim błędem – z punktu widzenia pruskich władz – było uczynienie *Berliner Polenprozess* publicznym, okazało się, gdy Ludwik Mierosławski wygłosił mowę w swojej obronie. Przyniosła mu ona dużą popularność wśród coraz bardziej rozpolitykowanego ludu berlińskiego, choć

trzeba przyznać, że nie tak wielką, jaką cieszył się bardziej znany Karol Libelt.

Wyrok zapadł 2 grudnia 1847 roku. Był bardzo zamiennym dla tamtych czasów połączeniem barbarzyństwa i łagodności: Mierosławski i siedmiu innych oskarżonych zostało skazanych na ścięcie toporem jako sprawcy pierwszej klasy zdrady narodu, 22 – na dożywotnią lub wieloletnią „twierdzę”. Dla 28 przewidziano łagodniejsze kary, resztę uniewinniono.

Wyrok ten nie spodobał się berlińskiej ulicy. Co więcej, jak pisał Szuman, 26 lutego 1848 roku wybuchła w Paryżu rewolucja, która zmiotła z tronu króla Ludwika Filipa i całą jego dynastię i zakończyła się za wprowadzeniem republiki. Wiadomości o tem udręczającym zdarzeniu, i to zrazu jeszcze niedokładne, dopiero dnia 29 lutego (rok ten był przestępnym) rozeszły się w Berlinie. Poruszenie nastąpiło także w Wiedniu. Rewolucja berlińska rozkręcała się powoli i wybuchła tak naprawdę 18 marca, gdy na ulicach wyrosły barykady, a z okien strzelano i rzucano kamieniami w żołnierzy.

SZTURM MOABITU

Szuman, naoczny świadek wydarzeń, a także autor petycji o amnestię dla Polaków przedłożonej królowi,

nie do końca rozumiał, co się działo w tamtych dniach. Na przykład nie potrafił pojąć, dlaczego po zaledwie 12 godzinach walk, w których najczęściej wojsko było górą, Fryderyk Wilhelm IV wycofał swe oddziały ze stolicy. Zauważył jednak: *W kołach najwyższych, jak się zdaje, zaczęto się zatem liczyć z prawdopodobieństwem wojny z Rosją, wypowiedzianem prawie bez ogródki przez księcia Radziwiłła do deputacyi naszej, a nie miano też powodu do odmawiania amnestyi dla spiskowych.* Na nastrój króla nie wpłynęła też zbyt dobrze niedawna dymisja Metternicha. Wycofał więc wojska i udzielił zgody na amnestię.

20 marca do pozbawionego strąży więzienia wdarł się tłum, chcąc przekazać osadzonym tę radosną wieść i od razu ich uwolnić. Szuman opisuje to w następujący sposób: *Przybył albowiem do więzienia nadprokurator Wenzel i zwołany na prędko do sali przesłuchań więźniom w krótkich słowach obwieścił akt łaski królewskiej. [...] Niebawem Mierosławskiego i Libelta wsadzono do otwartej doróżki, czy innego pojazdu, do którego, zda mi się, wsiadł także jakiś barykadzista i student w mundurze, dawszy im w rękę obok niemieckiej i polską chorągiew, a za nimi w drugi pojazd usadzono panie Adolfową Malczewską i Gutrową, oraz siostry moje, a od bramy Oranienburskiej wyprężono nawet konie i pojazdy, za którymi szli w szeregu więźniowie, a obok nich i poza nimi wśród nieustających okrzyków: Niech żyje wolność! Niech żyje braterstwo ludów! Niech żyje Polska!, ciżba ludu nieprzejrzana. Szedł pochód przez Fryderykowską ulicę i Lipy przed zamek, by złożyć królowi publiczne podziękowanie za udzieloną amnestią, a potem z powrotem przed uniwersytet, gdzie wysiadłszy, Mierosławski w francuskim, a Libelt w niemieckim języku dziękowali ludowi za okazaną sympatią, wynosili idee wolności i swobód obywatelskich i zbratania się narodów, na co znów tłumy wivatami na wolność i na Polskę odpowiadały. Warto zauważyć, że niemiecka flaga, którą wręczono Mierosławskiemu i Libeltowi, nie była już wrażą, zaborczą białą-czarną banderą z orłem, ale nową, złoto- czerwono-czarną flagą rewolucji.*

Wydarzenia te nieco inaczej opisuje Guttry. Według niego scena przed

pałacem królewskim miała wyglądać następująco: *Tam zaczęto wołać, aby się król pokazał, a gdy to nastąpiło, wtedy obstąpili Libelta i pytali, o co się mają dopominać. Libelt im odpowiedział, że o konstytucję. Zaczęły więc tłumy wrzeszczeć, że lud dopomina się konstytucji. Potem zapytali, czego więcej jeszcze mają żądać? Libelt znowu im podszeptał, że wolności prasy i równo uprawnienia politycznego wszystkich mieszkańców Królestwa. Po wykrzyknięciu tego żądania król w krótkich słowach przemówił i przyrzekł, że zadosyćczyni żądaniom ludu. Czyli, nie przymierzając, Polacy pouczyli Niemców, jak się robi rewolucję.*

FIGA Z MAKIEM

Nie trzeba chyba wskazywać, która z tych dwóch relacji jest bardziej zbliżona do prawdy, szczególnie że Guttry nie odmawia sobie uszczypliwości o rozkradzeniu majątku osadzonych czy horrendalnym rachunku za dorózkę w wysokości 18 talarów, jaki

mał zostać wystawiony Libeltowi. Niemniej te dwie opowieści dobrze ilustrują różnice między dwoma postawami, jakie prezentowały polskie elity. Jedni chcieli iść na noże, drudzy drogą negocjacji powoli budować autonomię.

Guttry i Mierosławski należeli oczywiście do tej pierwszej frakcji. I to ona początkowo osiągnęła przewagę. Na wieść o uwolnieniu skazanych w *Berliner Polenprozess* w całym zaborze wybuchły zamieszki, a siły powstańcze szybko osiągnęły liczbę 20 tys. Dowództwo nad nimi objął Mierosławski. Po kilku udanych potyczkach do głosu doszła jednak druga frakcja i zaczęły się układy. Początkowo były one nawet dość udane, bo ugoda w Jarosławcu rzeczywiście była korzystna dla Polaków (choć nie z punktu widzenia oddziałów chłopskich „kosynierów”, które miały zostać zlikwidowane), jednak gdy tylko oddaliła się groźba wojny prusko-rosyjskiej, Fryderyk Wilhelm IV natych-

miast podeptał ustalenia i zaczęło się rozbrajanie oddziałów powstańczych. Kilka pomniejszych sukcesów nie odwróciło już losów powstania wielkopolskiego 1848 roku, które zgasło w następnych miesiącach. Sam Mierosławski znów znalazł się w pruskim więzieniu – tym razem jednak uratował go francuski paszport.

Opowieść o *Polenbegeisterung*, *Berliner Polenprozess* czy *Sturmvoegel der Revolution* bez wątpienia jest budująca i dowodzi, że hasła ponadnarodowego braterstwa powtarzane podczas Wiosny Ludów nie były pustymi frazesami. Miło też pomyśleć, że Polacy mieli pewien wkład w walkę Niemców o własną wolność. Niestety, jest to słodko-gorzka świadomość. Rewolucja marcową przyniosła Niemcom konstytucję i nową flagę, Mierosławskiemu i innym spiskowcom wolność, Polsce – figę z makiem. ■

MACIEJ KRAWCZYK, sekretarz redakcji „Mówią wieki”

R E K L A M A

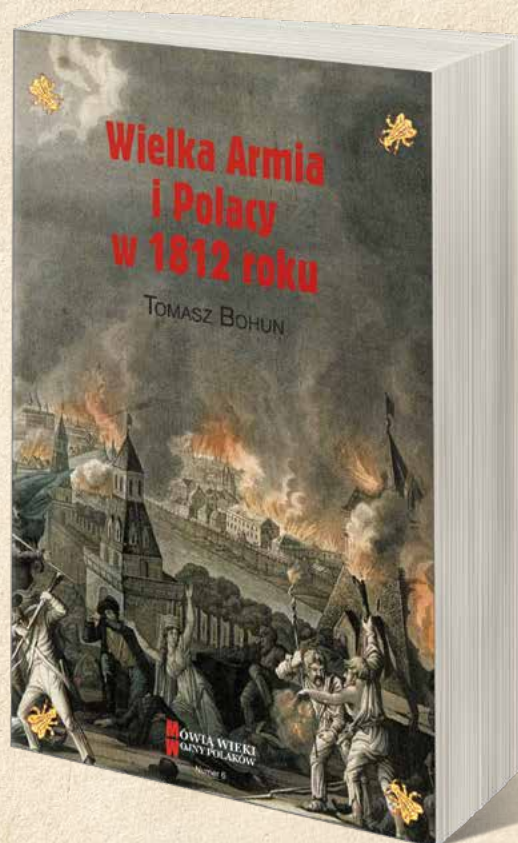
POLACY W WALKACH Z ROSJANAMI W 1812 ROKU

Tomasz Bohun, historyk od wielu lat związany z redakcją „Mówią wieki” w swej pracy stara się prześledzić działania Polaków podczas tej kampanii armii dwudziestu narodów. Zweryfikować utarte poglądy, przedstawić mniej znane wydarzenia i postacie, również na podstawie mało u nas znanych rosyjskich materiałów źródłowych. Autor prezentując własną wizję tej wojny nie formułuje pchopnych ocen, pozostawiając czytelnikowi wyciągnięcie wniosków. Dużo miejsca poświęca przyczynom i skutkom pożaru Moskwy, na podstawie materiałów źródłowych i wielu mało znanych relacji pamiętnikarzy.

Wydanie pierwsze poprawione.
Książka w formacie B5,
liczba stron: 187, indeks osobowy.

Cena 49 zł (w tym 5% VAT)
Do kupienia w salonach EMPIK w dziale PRASA

oraz wysyłkowo przez:
prenumeratamw@gmail.com



Stephan Theilig, Mieste Hotopp-Riecke

Tatarzy w Berlinie

Mozaika eurazjatyckiej historii transkulturowej

Poza Polską muzułmańscy Tatarzy są mało znani. A przecież nie zawsze tak było. W stolicy Prus tatarsko-pruskie sojusze wielokrotnie pozostawały ważnym tematem, a Tatarzy byli tu mile widziani nie tylko jako wyśmienici hodowcy koni i żołnierze elitarnych formacji. Tatarscy dyplomaci, artyści i uczeni prowadzili stąd działalność sięgającą aż po Tokio, Stambuł i Paryż.

Berlin XVIII wieku nie był światową metropolią, lecz stolicą młodego królestwa, które dopiero za panowania Fryderyka II dzięki wojnom i ekspansji terytorialnej awansowało do rangi europejskiej potęgi. Egzotyczni goście z odległych krajów budzili w mieście sensację. Gdy w Berlinie pojawiali się Tatarzy, było to wydarzenie wzbudzające ciekawość mieszkańców, na dworze zaś rozpoczynała się polityczna gra. Znano bowiem zależności i różnice między tatarskimi grupami etnicznymi i odpowiednio wykorzystywano je w geopolitycznych kalkulacjach środkowo-europejskich potęg, takich jak Polska, Litwa czy Prusy. Podczas gdy Tatarzy syberyjscy oraz tatarskie ludy nadwołżańskie już od XV wieku były podbite i kolonizowane przez carską Rosję, Tatarzy krymscy aż do końca XVIII stulecia stanowili istotną, autonomiczną siłę.

Dlatego już w XVI i XVII wieku także Brandenburgia – podobnie jak państwo zakonu krzyżackiego i późniejsze Prusy – utrzymywała kontakty z chanatem krymskim. Wiadomo też, że regularnie organizowano wyprawy na Krym w celu zakupu koni. W 1721 roku król Fryderyk Wilhelm I wysłał tam swego tajnego Johanesa Jurgowskiego, by nabył wierzchowce dla kawalerii. Jurgowsky wiozł jednak także list władcy do sułtana Ahmeda III. Tym samym Berlin po raz

pierwszy nawiązał dyplomatyczny kontakt z Wysoką Portą. To, że pośredniczył w tym dwór chana krymskiego, nie było przypadkiem – jako stosunkowo autonomiczny wasal sułtana był on zarazem pośrednikiem w kontaktach z europejskimi mocarstwami. Dla Berlina oznaczało to, że kto kupował tatarskie konie, ten zarazem uprawiał politykę. Ten ciągły dyplomatyczny dialog pozostał utrwalony w archiwach. Wiadomo również, że kilku Tatarów nadwołżańskich służyło w królewskiej gwardii Lange Kerls; wśród nich był znany z imienia Schwerid Rediwanoff.

EGZOTYCZNI GOŚCIE

Około 30 lat później obecność Tatarów w Berlinie stała się o wiele bardziej widoczna. Latem 1750 roku do miasta przybyła delegacja z Krymu z tatarskim pułkownikiem Mustafą Agą na czele. Poseł miał przekazać Fryderykowi II ofertę wsparcia ze strony chana Arslana Gereja na wypadek wojny z Rosją. Już jego przyjazd był w Berlinie bacznie obserwowany: człowiek w orientalnym stroju, otoczony świtą, był w mieście absolutną rzadkością. Fryderyk II przy-

Fot. Wikimedia Commons



Baszkir, rys. Carl Ludwig Kuhbeil, 1813

Fot. Wikimedia Commons



Fot. Wikimedia Commons



Fryderyk Wilhelm I i Ahmed III. Fryderyk był pierwszym pruskim władcą, który nawiązał kontakt z sułtanem; uczynił to za pośrednictwem chana krymskiego

jął gościa z pełnymi honorami. Dla berlińczyków było to widowisko. Ludzie widzieli w przybyszu nie tylko „Turka”, jak wówczas mówiono, lecz także przedstawiciela świata, który od wieków był obecny w opowieściach o stepowych jeźdźcach i tatarskim najeździe. Od najazdów mongolsko-tatarskich w XIII wieku, a szczególnie od wtargnięcia czambułów do Prus Wschodnich w 1656 roku, nazwa „Tatar” stanowiła synonim spustoszenia, grabieży i okrucieństwa. W Europie owo stereotypowe wyobrażenie utrzymywało się przez stulecia, podsyćane przez kronikarzy, kazania i ludową tradycję, które przedstawiały Tatarów jako groźne hordy jeźdźców. Ich pojawienie się kojarzono w zbiorowej pamięci z ogniem, niewolą i uprowadzeniami.

Fryderyk II realizował cele polityczne. Rosja i Austria miały się zaniepokoić – i faktycznie, kilku posłów w proteście opuściło miasto. Wystąpienie Mustafy Agi w Berlinie było starannie wyreżyserowaną inscenizacją, dla berlińskiej publiczności była to zaś barwna migawka z odległego świata. Gdy egzotyczny gość opuszczał Berlin, otrzymał cenne dary: sukno, broń, okazała derkę na konia i 1 tys. reichstalarów w gotówce. Kon-

takty z Tatarami krymskimi miały dla Fryderyka jednak także praktyczny wymiar: podczas wojny siedmioletniej kilkakrotnie próbował skłonić ich do otwarcia trzeciego frontu przeciw Austrii, Węgrom i Rosji.

Czasem Berlin widywał także wojska tatarskie. W 1745 roku oddział muzułmańskich jeźdźców z armii sasko-polskiej przeszedł na stronę Prus – powstał z nich słynny korpus Bośniaków stacjonujący w Prusach Wschodnich. Król sprowadzał ich do stolicy z okazji różnych uroczystości. W turbanach, z kopiami i w barwnych strojach prezentowali się efektownie na tle surowo umundurowanej pruskiej armii. Dla publiczności nad Sprewą było to widowisko. Również „Haude’sche Zeitung”, berliński dziennik z tamtych czasów, wielokrotnie o nich pisał. Tak więc w osiemnastowiecznym Berlinie Tatarzy byli gośćmi rzadkimi, lecz gdy się pojawiali, stawali się tematem całego miasta.

TATARZY I BASZKIRZY W BERLINIE

W trakcie wojen wyzwoleniczych przeciw Napoleonowi w lutym 1813 roku pierwsze rosyjskie straże

przednie pojawiły się pod Berlinem. Oprócz Kozaków byli to również Tatarzy nadwołżańscy i krymscy, Kałmucy, Kazachowie, Baszkirzy i Kirgizi, którzy w źródłach niemal zawsze występują zbiorczo jako Kozacy.

20 lutego 1813 roku oddział kawalerii dowodzony przez gen. Aleksandra Czernyszowa podszedł pod berlińską Bramę Królewską, znajdującą się nieopodal dzisiejszego Alexanderplatz. W ówczesnych kronikach można znaleźć relacje o próbie zajęcia jej zaskoczenia. W potyczce poległ pruski rotmistrz Alexander Freiherr von Blomberg, którego do dziś upamiętnia tablica pamiątkowa. Uchodzi on za pierwszą ofiarę wojen wyzwoleniczych na berlińskiej ziemi. Kroniki odnotowują również, że tego dnia *azjatyccy jeźdźcy z lukami* byli widziani na przedmieściach miasta. Niedługo później, 4 marca 1813 roku, wojska francuskie opuściły Berlin. Tego samego ranka przez Bramę Oranienburską wkroczyły rosyjskie oddziały pod dowództwem gen. Repnina w towarzystwie kilkuset Kozaków, Baszkirów i Tatarów, owacyjnie witane przez ludność.

Szczególnie sugestywnym świadectwem tych dni jest miedzioryt Carla Ludwiga Kuhbeila z 1813 roku,

przedstawiający Baszkira podczas wjazdu wojsk rosyjskich do Berlina. Jego niezwykle uzbrojenie – łuk i strzały – oraz egzotyczny strój zostały przez ówczesnych skrupulatnie odnotowane i do dziś kształtują wizualną pamięć o wojnach wyzwoleniczych w stolicy.

Entuzjazm pierwszych dni szybko ustąpił jednak rzeczywistości. Ciężary kwaterunkowe i żądania aprowizacyjne wojsk rosyjskich zdominowały codzienność. W grudniu 1813 roku jeden z berlińskich burmistrzów zanotował: *Jutro minie rok, odkąd Rosjanie wkroczyli, i każdy chciałby się ich wreszcie pozbyć*. Gazety donosiły o baszkirskich i tatarskich strzałach tkwiących w domach, przechowywanych jako pamiątki. Dziś o dawnej obecności oddziałów konnych w Berlinie-Zehlendorf przypominają nazwy topograficzne: Tattarenfenn, Tatarenteich i Tatarengaben.

W XIX wieku tatarscy kupcy, uczeni i podróżnicy jedynie sporadycznie przybywali do Berlina. Sytuacja zmieniła się po rosyjskiej rewolucji 1905 roku – wspomnijmy przede wszystkim historię rodziny tatarskiego kupca znad Wołgi Abdulhamita Kazakowa (Kasakoffa). Po zesłaniu przez władze carskie przybył on w 1908 roku do Berlina, gdzie stworzył podwaliny pod handel skórą i futrami, po czym w 1910 roku wrócił do Kazania. Jego rodzina utrzymywała jednak bliskie więzi z pruską stolicą. Brat Abdulhamita Muhammed pozostał tu na stałe z rodziną i podczas pierwszej wojny światowej pracował we Wschodniej Służbie Informacyjnej. Ta instytucja, założona w 1914 roku z inicjatywy Maxa von Oppenheima, służyła niemieckiej propagandzie wojennej, której celem było pozyskanie muzułmańskich jeńców (w tym Tatarów).

MIĘDZY WOJNAMI

W latach 1914–1918 w obozach jeńców pod Wünsdorfem na południe od Berlina internowano ok. 12



Wielki chan albo król Tatarów, niemiecka rycina z 1688 roku

tys. tatarskich i baszkirskich żołnierzy armii carskiej. Aby pozyskać ich przychylność, w 1915 roku wzniesiono meczet – pierwszą taką świątynię w Niemczech. Niemieckie władze wojskowe publikowały propagandowe czasopisma, np. „El Dschihad”. Duchowni, tacy jak Alim Idris i Abdurreszid Ibrahim, opiekowali się jeńcami, wygłaszali kazania i wydawali pisma. Ten ostatni odgrywał wybitną rolę wśród eurazjatyckich intelektualistów muzułmańskich, działając od Tokio po Berlin. Po wojnie ok. 80 Tatarów i Baszkirów pozostało w regionie, wielu osiedliło się w Berlinie. Jednym z nich był Baszkir Muhammed Dawletschurin, który pracował w Berlinie jako robotnik, poślubił Niemkę i zagrał epizodyczną rolę w filmie *Münchhausen* (1943).

W latach dwudziestych XX wieku Berlin stał się najważniejszym europejskim centrum tatarskiej emigracji po rewolucji październikowej.

Czołowe postacie życia emigracyjnego, jak Ayaz İshaki, organizowały tu czasopismo emigracyjne „Milli Yol”, informujące o sytuacji w Tatarstanie. Córka İshakiego Saadet Ça-

gatay przez pewien czas prowadziła redakcję. Dom kupca Abdurrahmana Szafi-Almasa przy Havelstraße był miejscem spotkań emigrantów i studentów. W tym okresie liczni Tatarzy znad Wołgi i z Krymu oraz Baszkirzy studiowali na uniwersytecie berlińskim, a od 1916 roku Seminarium Języków Orientalnych prowadziło kurs języka tatarskiego (kazańskiego). Najpierw jako lektor działał tu student stomatologii Kemaleddin Bedri, później turkolog Reşid Rahmeti Arat, który sam przybył do Berlina jako student, a później stał się jednym z najwybitniejszych turkologów w Turcji. Wśród słuchaczek była także wspomniana Saadet Çağatay, póź-

niejsza profesor w Ankarze. W latach dwudziestych i na początku lat trzydziestych XX wieku Berlin był więc miejscem, w którym tatarscy studenci zdobywali wykształcenie akademickie i równocześnie tworzyli własną kulturę emigracyjną.

Z początkiem drugiej wojny światowej sytuacja uległa dramatycznej zmianie. Od 1941 roku niemieckie komisje inspekcyjne odwiedzały obozy jenieckie, aby werbować Tatarów i Baszkirów do Legionu Idel-Ural oraz do działań dla Ministerstwa Rzeszy ds. Okupowanych Terytoriów Wschodnich i różnych instytucji propagandowych. W Berlinie główną rolę odgrywał Schafi-Almas, który kierował Tatarskim Związkiem Bojowym i wydawał pisma propagandowe, np. „Idel-Ural”. W te działania zaangażował się także młody tatarski turkolog znad Wołgi Ahmet Temir, przebywający w Berlinie od 1936 roku. Celem było osiągnięcie niepodległo-

ści regionu Wołga-Ural, jednak w rzeczywistości chodziło o realizację interesów niemieckich okupantów.

Równocześnie przytłaczająca większość Tatarów i Baszkirów walczyła w szeregach Armii Czerwonej. Wielu z nich zginęło na froncie lub padło ofiarą niemieckiej polityki wobec jeńców wojennych. W Berlinie i okolicach zachowały się ich liczne groby. Symbolem oporu stał się tatarski poeta narodowy znad Wołgi Musa Dżalil, internowany w obozie jenieckim w Radomiu i zmuszony do wstąpienia do legionu, w którym organizował działania sabotażowe. W 1944 roku został stracony w więzieniu Berlin-Plötzensee. Jego *Moabiter Hefte*, czyli pisane w więzieniu wiersze, do dziś należą do najbardziej imponujących świadectw tatarskiego oporu w Berlinie.

OD ZIMNEJ WOJNY PO WSPÓŁCZESNOŚĆ

Ponadczterdziestoletnia konfrontacja Wschodu i Zachodu znalazła odbicie także w odmiennej obecności ludności tatarskiej w Berlinie: podczas gdy w Berlinie Wschodnim największą liczebnie grupę stanowili żołnierze i oficerowie armii sowieckiej pochodzenia tatarskiego znad Wołgi, w Berlinie Zachodnim żyły rodziny o pochodzeniu krymsko-tatarskim, zaliczane do tzw. *Gastarbeiterów* z Turcji.

W NRD – podobnie jak w całym bloku wschodnim – po deportacji Tatarów krymskich w 1944 roku przez stalinowski aparat terroru wszelkie wzmianki o nich zostały usunięte z książek, czasopism i przekazów medialnych. Tatarzy krymscy mieli zostać wymazani z europejskiego pejzażu pamięci.

Od rozpadu Związku Radzieckiego do Berlina zaczęli przybywać Tatarzy znad Wołgi – zarówno z Tatarstanu, jak i republik Azji Centralnej. Powstały stowarzyszenia, takie jak *Tatarlar Deutschland*, *TAMGA* czy *Tatarisch-Baschkirischer Kulturverein*. Migranci pochodzenia krymsko-tatarskiego z Turcji często należeli na-



Ayaz İshaki, jedna z głównych postaci tatarskiej diaspory w Berlinie, założyciel czasopisma „*Milli Yol*”, oraz jego córka Saadet Çagatay, później profesor turkologii



tomiast do organizacji związanych z ruchem *Ülkücü*. Tak zwane Szare Wilki od dziesięcioleci są obserwowane przez niemieckie służby bezpieczeństwa jako środowisko islamskich i nacjonalistycznych ekstremistów. Jednak ta starsza generacja berlińskich Tatarów krymskich z Turcji liczy dziś już nierzadko cztery pokolenia, a nowa konfiguracja geopolityczna zmieniła tatarską mapę Berlina.

Po aneksji Krymu w 2014 roku przez reżim Putina oraz po rosyjskiej agresji na Ukrainę w 2022 roku do Berlina zaczęła napływać nowa grupa Tatarów krymskich, niemająca nic wspólnego ze starszą, zachodnioberlińską diasporą. Wspólnie z ukraińską społecznością migracyjną starają się oni informować berlińczyków o rozmiarach zniszczeń na Krymie i obszarach Ukrainy kontynentalnej, prowadząc działania solidarnościowe w ramach społeczeństwa obywatelskiego.

Nowa w mieście jest m.in. instytucja *Ukrainisches Institut* z siedzibą przy *Friedrichstraße*, która wspiera także krymsko-tatarskie inicjatywy kulturalne. Kilkaset metrów dalej, przy tej samej ulicy, znajduje się *Russisches Haus der Wissenschaft und Kultur*. Podczas gdy dziesiątki tysięcy żołnierzy rosyjskiej armii jest wysyłanych przez Putina na bezsensowną wojnę, część berlińskich Tatarów znad Wołgi świętowała tam tego lata swoje święto *Sabantuj*. Najwyraźniej berlińskie urzędy, a także część tatar-

skiej społeczności, nie widzą problemu w tym, że mogą być w ten sposób wykorzystywane jako rosyjska piąta kolumna nad Sprewą.

Tymczasem krymsko-tatarscy berlińczycy stawiają na wymianę, nadzieję i opór: we wrześniu dwoje z nich, Elnara Nuriieva-Letova oraz Emil İbragimov, zostało wybranych do zarządu młodej europejsko-krymsko-tatarskiej organizacji *Assoziation der Krim-Organisationen* (*Assembly of Crimean Organisations*). Elnara Hanum z Berlina przebywała ostatnio w Trokach i Wilnie, zaproszona tam przez miejscowe wspólnoty tatarskie jako tancerka. Tego rodzaju wymiana kulturalna, intensywny przekaz w mediach społecznościowych oraz akcje polityczne prowadzone przez Tatarów krymskich na Ukrainie, w diasporze, a także w Belgii, Czechach, Polsce, Niemczech i innych krajach mają umożliwić dalszy rozwój kultury krymsko-tatarskiej. Czy jednak w czasach *social mediów* pojawi się tak popularny autor tatarski, jak polsko-tatarski pisarz Jerzy Edigey, jeden z najczęściej sprzedawanych wschodniobierlińskich literatów z Polski po Stanisławie Lemie? Przyszłość pokaże. ■

STEPHAN THEILIG, historyk specjalizujący się w historii Tatarów i Europy Wschodniej, muzealnik, pedagog, wicedyrektor *Institut für Caucasic-, Tatarica- und Turkestan Studien* Magdeburg-Berlin

MIESTE HOTOPP-RIECKE, turkolog, islamolog, publicysta, dyrektor *Institut für Caucasic-, Tatarica- und Turkestan Studien* Magdeburg-Berlin

Pruscy Radziwiłłowie

– *Ona jest bardzo dobra, ta koncepcja, ale dlaczego on ma pruski mundur na sobie?! – Bo to jest dziedzic pruski, mam napisane w scenopisie: „wchodzi dziedzic pruski”. – Pruski, pruski... Bo on nazywa się Pruski!!! Wawrzyniec Pruski, polski dziedzic! – No to go mogę przepasać po prostu.* Ten nieśmiertelny dialog to jeden z moich ulubionych fragmentów *Misia* Stanisława Barei. Abstrahując od zamierzonej absurdalności tej sceny, zresztą rozgrywającej się w czasach sanacji, w państwach zaborczych nie brakowało polskich rodów arystokratycznych, które przeniknęły do elity władzy. Wśród nich byli także Radziwiłłowie. Ich berlińska, bądź – jak kto woli – pruska, gałąź wydała m.in. wielkiego mecenasa sztuki, pruskiego generała, królewskiego adiutanta, niedoszłego biskupa, żarliwego obrońcę polskości i katolicyzmu w parlamencie oraz nieszczęśliwą miłość przyszłego cesarza.

Protoplastą tej linii Radziwiłłów był Antoni (1775–1833), syn wojewody wileńskiego Michała Hieronima. Pojął za żonę poznaną podczas podróży do Wielkiej Brytanii pruską księżniczkę Fryderykę Luizę Hohenzollern, bratanicę króla Fryderyka II. Po ślubie, który odbył się w 1796 roku, młoda para osiadła w Berlinie, gdzie przy Wilhelmstrasse wybudowała rezydencję.

PAN NA ANTONINIE

Antoni był głównym reprezentantem nielicznej wśród wielkopolskiej szlachty opcji propruskiej. W sierpniu 1806 roku, w przeddzień wybuchu wojny francusko-pruskiej, wystosował do króla Fryderyka Wilhelma III memoriał, sugerując, by ten przyjął tytuł króla polskiego i nadał polskim poddanym autonomię. Jeszcze

w styczniu 1807 roku, gdy po klęsce pod Jeną i Auerstädt król schronił się w Prusach Wschodnich, Radziwiłł próbował przekonać go do tego pomysłu. Bezskutecznie.

Nie zniechęciło go to do dalszej działalności politycznej. W 1812 roku, po wybuchu wojny z Rosją, przystąpił do Konfederacji Generalnej. Było to możliwe, gdyż Prusy były formalnie sojusznikiem Napoleona. Po



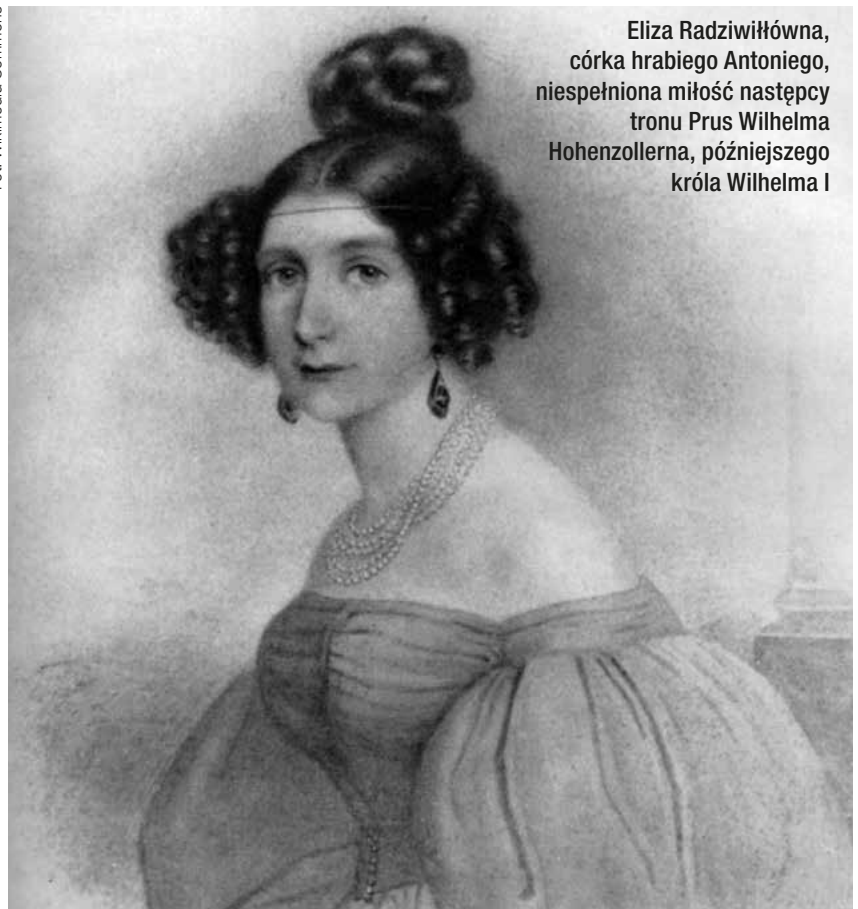
Fryderyk Chopin w salonie Antoniego Radziwiłła. Hrabia kilkakrotnie gościł pianistę w swojej berlińskiej rezydencji, według plotek ten chętnie udzielał lekcji gry na fortepianie jego córkom, Elizie i Wandzie

katastrofie Wielkiej Armii i zajęciu większości Księstwa Warszawskiego przez wojska rosyjskie Radziwiłł w czerwcu 1813 roku przybył z tajną misją do Krakowa, gdzie na czele resztek wojska polskiego przebywał książę Józef Poniatowski. Usiłował nakłonić bratanka ostatniego króla Polski do pozostania na terenie Księstwa i przejścia na stronę koalicji antynapoleońskiej. Nie znalazł jednak zrozumienia. „Zgódźmy się tylko, że jeśli jest Pan Polakiem i konfederatą, nie jest Pan nim bynajmniej na nasz sposób” – odrzekł mu Poniatowski. Jednak, po tym jak poseł francuski nakazał aresztowanie niefortunnego emisariusza, książę Józef wyjednał jego uwolnienie i wyjazd. Po bitwie pod Lipskiem Radziwiłł gościł w swej berlińskiej rezydencji kilku polskich arystokratów wziętych do niewoli przez wojska koalicji. Na rzecz sprawy polskiej działał także podczas obrad kongresu wiedeńskiego.

Ta aktywność spowodowana była, przynajmniej po części, względami materialnymi. Car Aleksander I skonfiskował bowiem rozległe dobra księcia Dominika Radziwiłła, który w 1812 roku przystąpił do Konfederacji Generalnej i walczył z Rosjanami. Wkrótce zresztą zginął. Car zadeklarował, że gotów jest zwrócić majątki rodzinie. O ich przejęcie z sukcesem ubiegał się Antoni. W 1826 roku przekazał mu je następca zmarłego Aleksandra I – Mikołaj I.

W nagrodę za lojalność, a także aby pozyskać zaufanie polskich poddanych, król pruski w 1815 roku mianował Radziwiłła namiestnikiem nowo powstałego Wielkiego Księstwa Poznańskiego. Była to jednak funkcja niemal wyłącznie reprezentacyjna, a książę nie zdołał uzyskać dla Wielkopolan więcej uprawnień. W tym okresie koncentrował się na działalności artystycznej. Był bowiem utalentowanym wiolonczelistą, gitarzystą, kompozytorem i śpiewakiem. Utrzymywał bliskie kontakty z najwybitniejszymi artystami – kilkakrotnie gościł u siebie Fryderyka Chopina, Johann Wolfgang Goethe poprosił go o skomponowanie muzyki do *Fausta*, a Ludwik van Beethoven zadedykował mu jedną z ostatnich uwertur.

Fot. Wikimedia Commons



Eliza Radziwiłłówna,
córka hrabiego Antoniego,
niespełniona miłość następcy
tronu Prus Wilhelma
Hohenzollerna, późniejszego
króla Wilhelma I

Częstym gościem w posiadłości Antoniego był Wilhelm von Humboldt. Ku pamięci zasług księcia na polu kultury do dziś w jego pałacyku myśliwskim w Antoninie odbywają się cyklicznie koncerty chopinowskie.

Po wybuchu powstania listopadowego, w którym aktywny udział wzięło wielu Polaków z zaboru pruskiego, a brat namiestnika Michał Gedeon przez pewien czas był wodzem naczelnym, Antoni musiał złożyć dymisję. Niedługo później zmarł. Jego ciało spoczęło w katedrze poznańskiej.

PRUSKA LOVE STORY

Jak głosi krążąca po rodzinie plotka, Chopin chętnie udzielał lekcji na fortepianie córkom księcia Antoniego, gdyż podczas grania etud na cztery ręce mógł dotykać dłoni pięknych Radziwiłłówn – Elizy i Wandy. Jednak to nie z Chopinem związana była najbardziej romantyczna opowieść tej rodziny. W Elizie zakochał się bowiem młodszy syn króla Prus, książę Wilhelm. Młodzi poznali się w 1820 roku i zapalili do siebie gorącym uczuciem,

planując ślub. Aby dowieść równego Hohenzollernom statusu, Antoni zatrudnił nawet znanego prawnika. Jednak pozytywną ekspertyzę podważali inni specjaliści. Pojawił się nawet pomysł, aby poprosić cara Aleksandra o adopcję Elizy, gdyż bez uznania równości małżonków dzieci pochodzące z takiego związku nie mogłyby dziedziczyć tronu.

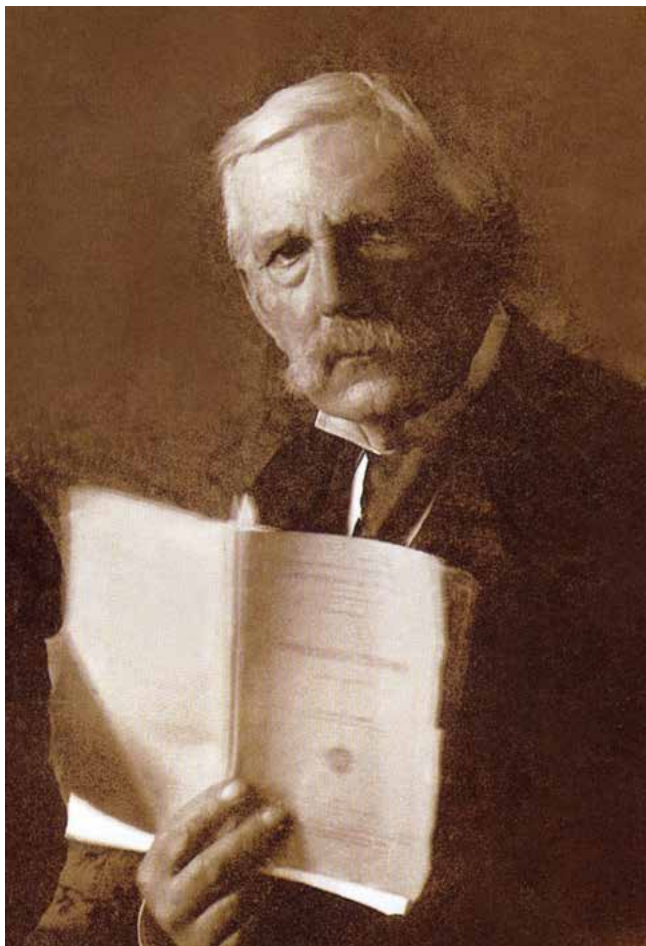
Fryderyk Wilhelm III wysłał syna w wielomiesięczną podróż po zachodnich Niemczech, Holandii i Włoszech, mając nadzieję, że rozłąka osłabi uczucie. Gdy tak się nie stało, w 1826 roku w imię racji stanu zmusił syna do zerwania z Elizą. Trzy lata później, po raz kolejny ustępując woli ojca, zaniepokojonego bezdzietnością starszego syna, książę Wilhelm pojął za żonę księżniczkę sasko-weimarską Augustę. Było to jednak małżeństwo z rozsądku. Porzucona Eliza nie wyszła za mąż i zmarła na gruźlicę w 1833 roku w wieku 31 lat.

Wilhelm nigdy nie zapomniał o swej miłości do pięknej Radziwiłłówny. Aż do końca swych dni, a zmarł dopiero w 1888 roku, na biurku trzymał jej miniaturowy portret,

a w swej podręcznej biblioteczce miał Nowy Testament, który Eliza otrzymała na swoją konfirmację (była protestantką). Po jej śmierci Biblię podarowała księciu matka. Natomiast bratanek Elizy, o którym będzie jeszcze mowa, przez wiele lat był adiutantem i należał do kręgu najbliższych przyjaciół cesarza.

Pamięć o tym romansie przetrwała dekady. W 1938 roku na jej motywach nakręcono nawet film *Preussische Liebesgeschichte* (Pruska opowieść miłosna) z udziałem diwy międzywojennego kina, czeskiej aktorki Lidy Baarovej, prywatnie kochanki ministra propagandy Trzeciej Rzeszy Josepha Goebbelsa. Kilka miesięcy później wybuchła jednak wojna i historia miłości przyszłego króla Prus do półkrwi Polki nie pasowała do nazistowskiej wizji świata. Film trafił na półki, a w kinach RFN można go było zobaczyć dopiero w 1950 roku.

Fot. Wikimedia Commons



Ferdynand Radziwiłł, syn Bogusława Fryderyka, poseł do Reichstagu i przewodniczący Koła Polskiego w latach 1889–1918. Po odzyskaniu niepodległości przez Polskę wrócił do kraju, w 1919 roku był marszałkiem seniosem Sejmu Ustawodawczego

LATOROŚL

Pierwszy syn Antoniego Wilhelm Paweł (1797–1870) wybrał drogę kariery wojskowej. W armii pruskiej walczył jeszcze w czasach napoleońskich, poczynszyszy od 1813 roku. Ukończył je w randze kapitana z Krzyżem Żelaznym na piersi. Później był m.in. dowódcą pułku we Wrocławiu, brygady landwehry w Berlinie. Wziął też udział w kampanii przeciw Danii w 1848 roku. Gdy pełnił funkcję dowódcy korpusu w Magdeburgu, jego szefem sztabu był Helmuth von Moltke, bohater wojen zjednoczeniowych. Stał się on przyjacielem rodziny i często bywał w berlińskiej rezydencji Radziwiłłów. Karierę wojskową Wilhelm Paweł zakończył w randze generała, będąc generalnym inspektorem korpusu inżynierów i twierdz. Według relacji

synowej miał apodyktyczny charakter – w domu rządził żelazną ręką, nie znosząc sprzeciwu, i dbał o każdy, najmniejszy nawet detal.

Jego młodszy brat Bogusław (1809–1873) wybrał karierę prawnika. Podobnie jak brat, po utworzeniu parlamentu pruskiego zasiadał w Izbie Panów, gdzie współtworzył wiele ustaw. Sprzeciwił się włączeniu Wielkiego Księstwa Poznańskiego do Związku Północnoniemieckiego. Obaj bracia do końca życia mieszkali wspólnie w pałacu przy Wilhelmstrasse i nie dzielili majątku odziedziczonego po rodzicach. Pojęli za żony siostry Matyldę i Leontynę Clary et Aldringen, austriackie arystokratki spokrewnione ze szkockimi Stuartami. Wiodły one próżniaczy żywot, oddając się niemal wyłącznie dworskim przyjemnościom. W domu mówiono po niemiecku. Ważne wydarzenie w dziejach rodu sta-

nowił edykt królewski nadający jego członkom nadzwyczaj rzadki przywilej używania tytułu *Durchlaut*, czyli „wasza książęca mość”.

Dopiero po śmierci Wilhelma Pawła i Bogusława na początku lat siedemdziesiątych XIX wieku ich dzieci (łącznie czternaścioro) postanowiły ostatecznie podzielić rodowy majątek. Nieśwież otrzymał syn Wilhelma Pawła, Wilhelm Antoni, a leżącą na Wołyniu Ołykę syn Bogusława Ferdynand. Aby zaspokoić żądania licznego rodzeństwa, sprzedano pałac w Berlinie. Nabył go rząd niemiecki i ulokował w nim Kancelarię Rzeszy. Aż do końca lat trzydziestych XX wieku urzędowali tu kanclerze Niemiec, a więc m.in. Otto von Bismarck i Adolf Hitler. Budynek został doszczętnie zniszczony podczas drugiej wojny światowej w wyniku alianckich nalotów i ostrzału radzieckiej artylerii. Dziś w jego miejscu stoi ponury postenerdowski blok z wielkiej płyty, a o pałacu informuje jedynie tabliczka dla turystów.

NAJBARDZIEJ PRUSKI ZE WSZYSTKICH PRUSAKÓW

Nowy właściciel Nieświeża Wilhelm Antoni (1833–1904) był bodaj najbardziej wpływową postacią rodu w Niemczech. Już w wieku 19 lat przywdział pruski mundur. W służbie czynnej pozostawał aż do 1888 roku, będąc m.in. zaufanym adiutantem Wilhelma I. To w imieniu króla Prus wręczył w 1870 roku francuskiemu posłowi słynną notę emską, która stała się sprowokowaną przez Bismarcka przyczyną wojny francusko-pruskiej. Wziął również aktywny udział w wojnach zjednoczeniowych, walcząc m.in. pod Sadową, Sedanem, Gravelotte i Paryżem.

Wilhelm Antoni miał rozgałęzione stosunki w kołach rządowych,

a jego salon należał do najważniejszych w Berlinie. W jego dobrach w Nieświeżu polował sam cesarz Wilhelm II. Tam w lutym 1886 roku, jeszcze jako książę, podczas polowania na niedźwiedzie poznał znakomitego polskiego akwarelistę Juliana Fałata. Zauroczony jego twórczością, zaprosił go do Berlina, gdzie malarz mieszkał przez prawie dziesięć lat, ciesząc się względami monarchy. Za pośrednictwem Fałata Wilhelm poznał jeszcze jedną sławę polskiego malarstwa – Wojciecha Kossaka.

Olbrzymią rolę w utrzymaniu polskości w tej gałęzi Radziwiłłów odegrała żona Wilhelma Antoniego, francuska arystokratka Maria de Castellane. Zachwyciła się Nieświeżem, gdzie poznała znaczenie i tradycje rodu męża. Szokowało ją, że okoliczni chłopcy niezależnie od narodowości i wyznawanej religii określali się mianem „radziwiłłowskich”. Dzięki jej wysiłkom podupadła w XIX wieku rezydencja w Nieświeżu odzyskała blask. Do wychowania dzieci zatrudniła polskich nauczycieli, a obie córki wydała za Potockich. Zresztą zniemczony Wilhelm Antoni nie był zupełnie obojętny na los Polaków. Kanclerz Bernard Bülow wspominał, że podczas wizyty w Warszawie w 1884 roku, gdy obaj przyglądali się, jak polscy arystokraci składają hołd carowi, Radziwiłł szepnął mu na ucho: „Spośród tej warszawskiej szlachty tylko nieliczni nie mieli na Syberii ojców, dziadów, braci czy krewnych”.

Na pogrzebie zmarłego w 1904 roku Wilhelma Antoniego Wilhelm II określił go mianem „najbardziej pruskiego z Prusaków”. Był on ostatnim Radziwiłłem tak silnie związanym z Hohenzollernami.

CZARNA OWCA

Jego brat Wilhelm Adam (1845–1911) początkowo robił karierę w pruskiej dyplomacji. Jej kontynuowanie uniemożliwił mu jednak zły stan zdrowia i pechowe małżeństwo. W 1874 roku pojął bowiem za żonę córkę rosyjskiego arystokraty Katarzynę Rzewuską. Katarzyna była urodzoną skandalistką. Pod pseudonimami opublikowała kilka książek,

PAMIĘTNIKI FRYDERYKI LUIZY RADZIWIŁŁOWEJ Z D. HOHENZOLLERN Z LAT 1814/15

7 lipiec

Antoni razem z księciem Adamem Czartoryskim jedzie do Londynu, po powrocie ztamtąd zabawi jeszcze kilka dni w Paryżu, a potem przyjedzie tutaj koło 15 czerwca. Obawiam się, że długo z nami nie posiedzi, gdyż sprawa Polski będzie wymagała jego obecności w Warszawie. [...]

11 wrzesień

[...] Antoni, po krótkim z nami pobycie, odjechał do Wiednia i do Warszawy. Nie mam wielkiej nadziei, żeby starania jego uwierczone zostały pomyślnie dla ukochanej jego ojczyzny. Nie chcę wątpliwościami memi odrywać myśli jego od tego, co uważam za święty obowiązek dobrego obywatela kraju. [...]

30 październik

Męża mego jeszcze nie ma. Po powrocie z Warszawy spotkał się z Aleksandrem w Puławach, jest zrozpaczony z powodu, że Polskę znów chcą podzielić. [...]

16 maj

[...] Antoni bawi jeszcze w Wiedniu, z pobytu tam bardzo zadowolony. Dopóki sprawa Polski nie będzie zupełnie skończona, dopóty do domu nie wróci. Jeszcze o nią walczy.

FRAGMENTY PAMIĘTNIKÓW KSIĘŻNEJ KATARZYNY RADZIWIŁŁOWEJ Z D. BRANICKIEJ

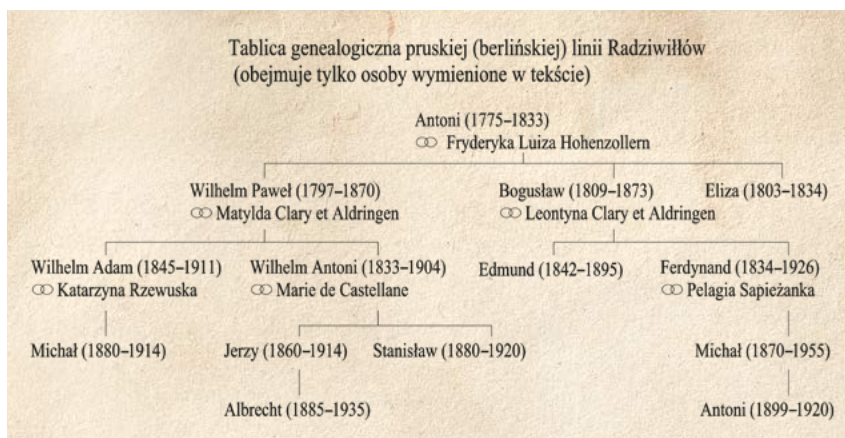
Osobiście nie mam żadnej sympatii dla sprawy polskiej; Obawiam się, że tatarska krew płynąca w mych żyłach zdominowała polską, albo raczej, że poczucie niezależności, jaką charakteryzują się mieszkańcy Małej Rosji [tj. Białorusi – P.S.], skąd wywodzi się ród mego ojca, tworzy nieprzekraczalną barierę między mną a polskimi aspiracjami. Nie mogę ich zrozumieć, a sposób, w jaki wykorzystują oni religię do podsycania politycznych sporów, jest dla mnie dogłębnie odrażający. Nie mogę pojąć mieszanego Boga w czyjeś uczucia nienawiści i pragnienia rewanzu. Jestem do głębi Rosjanką w swych poglądach, ideach i uczuciach; Kocham mój kraj z namiętnym oddaniem i nie będę przynależała do żadnego innego.

przeł. Piotr Szlanta

PRZEMÓWIENIE KS. FERDYNANDA RADZIWIŁŁA NA POSIEDZENIU REICHSTAGU 23 MARCA 1895 ROKU

W imieniu mej frakcji [Koła Polskiego – P.S.] mam do wygłoszenia następujące oświadczenie: Proponowany wniosek [adres dziękczynny parlamentu do byłego kanclerza Bismarcka – P.S.] nosi charakter polityczny i ma na celu dobitne wyrażenie uwielbienia dla politycznych czynów księcia Bismarcka w Rzeszy i Prusach. Na udział w takiej manifestacji jako ugrupowaniu politycznemu nie pozwala nam fakt, że zarówno urzędowe, jak i pozaurzędowe czyny pierwszego kanclerza Rzeszy stały w jaskrawej sprzeczności z prawami, jakich na gruncie narodowym i kościelnym bronimy, oraz te naturalne i powszechnie uznane prawa naruszały. Z tego powodu nie jesteśmy w stanie przyłączyć się do Panów wnioskodawców i będziemy głosować przeciwko wnioskowi.

przeł. Piotr Szlanta



w których bez ogródek i złośliwie opisywała stosunki wśród europejskiej arystokracji i na dworach panujących. Dość szybko odkryto, kto za tym stoi, i Katarzyna stała się *persona non grata* na salonach.

W poszukiwaniu wrażeń wyjechała do południowej Afryki, gdzie związała się z magnatem finansowym i politykiem Cecilem Rhodesem. Po jego niespodziewanej śmierci sfalszowała czeki, za co trafiła do więzienia. Jej mąż, chcąc nie chcąc, wyruszył na krańce Czarnego Łądu, by ratować żonę i reputację rodu.

Temperament Katarzyny odziedziczył ich syn Mikołaj Radziwiłł (1880–1914). Był awanturnikiem i obieżyświatem. Zafascynowany folklorem białoruskich chłopów, uznał się za Białorusina litewskiego pochodzenia i przyjął rosyjskie obywatelstwo. Na ochotnika walczył w wojnie burskiej i wojnach bałkańskich. Zginął w szeregach armii rosyjskiej w pierwszych tygodniach Wielkiej Wojny. Z kolei jego matka osiadła w końcu w Nowym Jorku, gdzie jako żona naftiarza z Alaski i znana pisarka zmarła podczas kolejnej wojny światowej.

W OBRONIE WIARY I POLSKOŚCI

Zasłużeni dla polskości i wiary katolickiej byli synowie Bogusława (1809–1873). Podczas *Kulturkampfu* należeli do przywódców frakcji katolickiej i stali w twardej opozycji wobec polityki Bismarcka. Jedną z córek Bogusława została zakonnicą a dwóch synów księżmi. Jeden z nich Edmund (1842–1895) należał do najbliższych współpracowników arcybiskupa Mieczysława Ledóchowskiego. Podobno

uwięzionemu Ledóchowskiemu dostarczył w lasce nominację kardynalską. W 1873 roku odmówił nauczania religii w języku niemieckim. Był szkanowany przez władze pruskie, na skutek ich sprzeciwu nie został mianowany biskupem. Przez ponad 20 lat był za to posłem do Reichstagu.

Na niwie parlamentarnej bardziej znany był jednak jego brat Ferdynand (1834–1926). Jako oficer ułanów gwardii wziął udział w wojnie z Francją w 1870 roku, podczas której odniósł poważne obrażenia. Ostatecznie wybrał karierę posła. W latach 1874–1918 zasiadał w Reichstagu, gdzie pełnił funkcję prezesa Koła Polskiego. Swoją drogą, takiego stażu w parlamencie pozazdrościłby nie jeden dzisiejszy lokator gmachu przy ul. Wiejskiej, choć być może niektórych ostudzi fakt, że diety poselskie wprowadzono w Rzeszy dopiero w 1906 roku. Z mównicy sejmowej Radziwiłł wielokrotnie bronił polskości i katolicyzmu. Podczas *Kulturkampfu* Ferdynand ukrywał nielegalnie poszukiwanego przez władze księdza Walentego Śmigielskiego. Ożenił się z Pelagią Sapieżanką, zdecydowaną polską patriotką, pragnącą tchnąć polskiego ducha w całą rodzinę. Kilka miesięcy letnich spędzał zazwyczaj w swym majątku w Ołyce, który pod jego zarządem został zmodernizowany. Bodaj jako pierwszy w okolicy objął swoich robotników rolnych ubezpieczeniami zdrowotnymi i emerytalnymi.

MIĘDZY NIEMCAMI I ROSJĄ

Mimo koneksji na dworach europejskich Radziwiłłów dotknęło usta-

wodawstwo rosyjskie z lat osiemdziesiątych XIX wieku, zabraniające obcokrajowcom posiadania majątków ziemskich. Aby nie utracić swych posiadłości, kilku pruskich Radziwiłłów przyjął rosyjskie obywatelstwo. Uczynili to m.in. synowie Wilhelma Antoniego – Jerzy i Stanisław.

Ten ostatni walczył w wojnie z Japonią, podobnie jak syn Ferdynanda – Michał (1870–1955). Po odbyciu służby wojskowej przeniósł się on do Petersburga i przyjął rosyjskie obywatelstwo. Wstąpił do carskiej służby dyplomatycznej, pełniąc m.in. funkcję pierwszego sekretarza ambasady w Londynie. Jego stosunki z ojcem nie układały się zresztą najlepiej. Czuł się skrzywdzony zapisem testamentu, w którym ojciec wydzielił część posiadłości braciom. Z kolei Ferdynand bolał fakt, że jego syn pojął za żonę Rosjanę, a dzieci ochrzcił w cerkwi.

U PROGU NIEPODLEGŁEJ

Większość członków berlińskiej gałęzi Radziwiłłów po 1918 roku opowiedziała się za polskością. Sędziwy, 85-letni Ferdynand jako marszałek senior w lutym 1919 roku przewodniczył obradom Sejmu Ustawodawczego. Jego wnuk Antoni w wieku zaledwie 21 lat zginął śmiercią lotnika w wojnie z bolszewikami. Z kolei najmłodszy syn Wilhelma Antoniego, „tego najbardziej pruskiego ze wszystkich Prusaków” – Stanisław (1880–1920) był adiutantem marszałka Józefa Piłsudskiego. Jednak poprosił o przeniesienie do służby liniowej i poległ w kwietniu 1920 roku pod Malinem. W Wojsku Polskim służył na ochotnika także wnuk Wilhelma Antoniego – Albrecht (1885–1935), i to mimo bezwładu nóg.

Wraz z rozbiorem skończyły się dzieje berlińskich Radziwiłłów, starających się znaleźć równowagę między lojalnością wobec państwa, dynastii, religii i narodu a interesami własnego, jednego z najznamienitszych w naszych dziejach rodu. ■

PIOTR SZLANTA, historyk z Uniwersytetu Warszawskiego, w kadencji 2022–2026 dyrektor Stacji PAN w Wiedniu

Basil Kerski

Polskie motywy berlińskiego palimpsestu

Polacy w Berlinie w XIX wieku

Berlin z dumą prezentuje się jako kosmopolityczna metropolia i odwołuje do swojej wielokulturowej historii. Wprawdzie większość berlińczyków wie, że ich miasto tradycyjnie od stuleci było ważnym celem migracji dla ludzi z Europy Środkowej i Wschodniej, lecz polska historia Berlina stanowi białą plamę w kulturowej świadomości mieszkańców miasta. Jeśli jednak dokładnie zbadamy berliński palimpsest, pod różnymi jego warstwami odkryjemy fascynujące i nieoczekiwane polskie ślady.

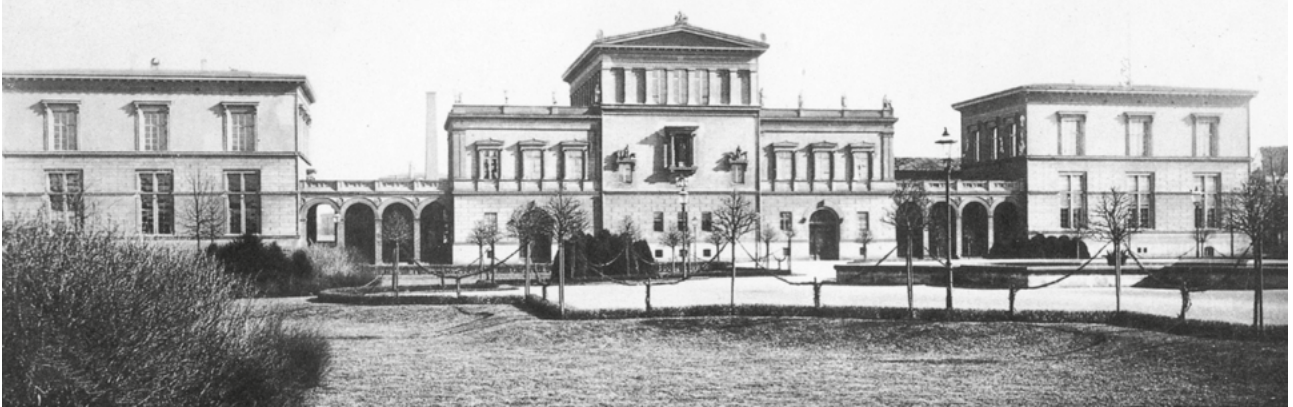
Spójrzmy np. na wczesne zdjęcie kolumny Zwycięstwa z końca XIX wieku. Widok tego symbolu Berlina jest dla dzisiejszego widza podwójnie zaskakujący. Na fotografiach z XIX wieku widać kolumnę upamiętniającą wojny zjednoczeniowe w jej pierwotnej lokalizacji, na ówczesnym pl. Królewskim – dzisiejszym Republicy – w dzielnicy parlamentu, a nie w centrum parku Tiergarten. Naczelnym architekt Adolf Hitlera Albert Speer przeniósł kolumnę z placu przed Reichstagiem do Tiergarten w ramach realizacji totalitarnego projektu Niemiec. Statua miała się stać częścią nowej, potężnej osi wschód–zachód. Uważny obserwator zdziwi się także, że na zdjęciach kolumny Zwycię-

stwa i pl. Królewskiego np. z roku 1878 nie ma budynku Reichstagu. Jednak miejsce, na którym później stanie ten gmach, nie jest puste: po wschodniej stronie placu wznosi się późnoklasycystyczny budynek. Jest to pałac polskiego hrabiego Atanazego Raczyńskiego. Po jego śmierci Rzesza kupiła ten reprezentacyjny gmach, później został on rozebrany, a na jego miejscu wzniesiono siedzibę Reichstagu. Stojący przed kolumną Zwycięstwa pałac Raczyńskich odegrał znaczącą rolę w dziejach kultury Berlina w XIX wieku. W latach 1847–1874 mieściła się w nim prywatna galeria obrazów hrabiego Raczyńskiego, zaliczana do największych publicznych zbiorów sztuki w metropolii nad Sprewą.

Po upadku Rzeczypospolitej Raczyńscy zostali poddanymi króla Prus. Po trzecim rozbiórze Polski ponad połowę terytorium Prus stanowiły ziemie niegdyś polskie, Prusy stały się *de facto* państwem dwunarodowym, Berlin zaś politycznym centrum dla znacznej części dawnej Rzeczypospolitej. Polskie rody magnackie – Raczyńscy czy Radzwiłłowie – osiedlały się nad Sprewą.

Wprawdzie mieszkający w Prusach polscy magnaci w XIX wieku aktywnie działali na rzecz zachowania polskiej tożsamości kulturowej, lecz jako konserwatyści i arystokraci wierni koronie odrzucali wszelkie rewolucyjne zmiany w Europie i podkreślali swą lojalność wobec króla prus-

Nieistniejący już pałac Atanazego Raczyńskiego w Berlinie



skiego. Liczyli na to, że dzięki ścisłej współpracy z Prusami będzie możliwe zdobycie jak największej autonomii dla ziem polskich. Kilku przedstawicieli polskiej magnaterii objęło nawet wysokie urzędy polityczne, sam Atanazy Raczyński w latach 1841–1852 był posłem Prus w Lizbonie i Madrycie. Lecz jego największą namiętnością była nie polityka, lecz sztuka. Zanim zamieszkał w pałacu przy pl. Królewskim, rezydował w pałacu przy Unter den Linden 21. Przy pomocy Karla Friedricha Schinkla przebudował poprzednią siedzibę i stworzył pierwszą dostępną dla publiczności galerię sztuki. Jego zbiory, obok dzieł dawnych mistrzów włoskich i holenderskich, obejmowały przede wszystkim współczesną sztukę niemiecką i szybko stały się znane daleko poza granicami miasta. Po śmierci Raczyńskiego płótna z jego kolekcji zasilły zbiory nowo otwartej Gallerii Narodowej w Berlinie. Ostatecznie w 1903 roku zostały przewieszone do Poznania. W Berlinie pozostał jednak najbardziej znany obraz ze zbiorów Raczyńskich, *Madonna z siedmioma śpiewającymi aniołami* Sandra Botticellego.

BERLIŃSCY RADZIWIŁŁOWIE

Innym rodem magnackim z Polski, który odegrał ważną rolę w hi-



Madonna z siedmioma śpiewającymi aniołami, mal. Sandro Botticelli. Obraz był częścią kolekcji Atanazego Raczyńskiego, który w swojej wcześniejszej rezydencji przy Unter den Linden stworzył pierwszą w Berlinie kolekcję sztuki dostępną publiczności, fot. Wikimedia Commons

storii Berlina, byli Radziwiłłowie. Śledząc ich tropy, można dotrzeć do centralnych punktów miasta i odkryć zapomniane powiązania polsko-niemieckie. Pochodzący z polsko-litewskiego rodu magnackiego książę Antoni Henryk pod koniec XVIII wieku ożenił się z pruską księżniczką Ludwiką. Zamieszkali w Berlinie i w 1796 roku kupili barokowy pałac wzniesiony przez rodzinę Schulenburgów przy Wilhelmstraße 77 (dzisiaj 93). Podobnie jak Atanazy Raczyński, Antoni Radziwiłł interesował się sztuką, był też utalentowanym śpiewakiem i wiolonczelistą. Za czasów księcia Antoniego i księżnej Ludwiki pałac Radziwiłłów stanowił centrum życia kulturalnego Berlina. Po roku 1810, kiedy po śmierci Ludwiki dwór pustoszał, organizowane w nim przyjęcia stały się namiastką dworskiego życia kulturalnego.

W pałacu Radziwiłłów bywał każdy, kto odgrywał lub chciał odgrywać jakąś rolę w kulturalnym życiu miasta. Ponieważ Antoni Radziwiłł był katolikiem, jego dom był także centrum życia katolickiego w protestanckim Ber-

linie. Choć po śmierci królowej Luizy żona księcia była ważną postacią na dworze królewskim, ze względu na polskie pochodzenie księcia i jego wyznanie rodzina traktowana była z pewnym dystansem.

Radziwiłłowie opuścili pałac przy Wilhelmstraße 77 w 1875 roku, lecz przez długi czas ten adres nadal był jednym z najważniejszych w Berlinie. Budynek kupiła od Radziwiłłów Rzesza Niemiecka, by przebudować go na siedzibę kanclerza. Do 1890 roku w pałacu mieszkał i pracował Otto von Bismarck, a w latach 1934–1939 Adolf Hitler. Podczas wojny w ogrodzie dawnego pałacu Radziwiłłów powstał wielki podziemny labirynt bunkrów dla Führera. Dzisiaj na miejscu dawnej Kancelarii Rzeszy i byłej siedziby rodu Radziwiłłów stoją eneradowskie bloki z wielkiej płyty, wzniesione krótko przed upadkiem muru berlińskiego.

Wprawdzie berlińskie dzieje rodów Raczyńskich i Radziwiłłów są przykładami znaczących związków kulturalnych i politycznych między Polską i Prusami w Berlinie, lecz przez ponad 100 lat rozbiorów pruskie władze nie były w stanie trwale przekonać do siebie większości Polaków. Nie oznacza to, że wśród pruskich elit politycznych nie zdarzały się fazy samokrytycznej refleksji na temat polityki wobec Polaków. Po zwycięskim zakończeniu antynapoleońskich wojen wyzwoleniczych (1812–1813) rząd Fryderyka Wilhelma III był gotów ją zrewidować: powstało Wielkie Księstwo Poznańskie, którego namiestnikiem król mianował Antoniego Radziwiłła. Polskojęzyczne księstwo miało otrzymać własną konstytucję, obiecywano mu także szeroką autonomię.

ANTYPOLSKA POLITYKA, PROPOLSKIE SPOŁECZEŃSTWO

Jednak już w roku 1830 zarzucono tę politykę tolerancji, a Prusy zdecydowały się pomóc Rosji w tłumieniu powstania listopadowego. W kwestii polityki wobec Polski poglądy kró-



Fot. Wikimedia Commons

Antoni Henryk Radziwiłł, namiestnik Wielkiego Księstwa Poznańskiego

la Prus i większości pruskiej opinii publicznej były rozbieżne. Środowiska burżuazyjne i liberalne sympatyzowały z polskimi powstańcami. Po stłumieniu zrywu niemiecką burżazję ogarnęła wielka fascynacja Polską. Propolskie nastawienie było także widoczne wśród Niemców podczas rewolucji marcowej w 1848 roku w Berlinie. Jednym z najbardziej spektakularnych wydarzeń było uwolnienie z berlińskiego więzienia na Moabie polskich więźniów politycznych, wśród nich Ludwika Mierosławskiego. Stało się to 20 marca 1848 roku. Mierosławski wraz z innymi powstańcami oczekiwał na wykonanie wyroku śmierci ogłoszonego w 1847 roku po wielkim, publicznym procesie.

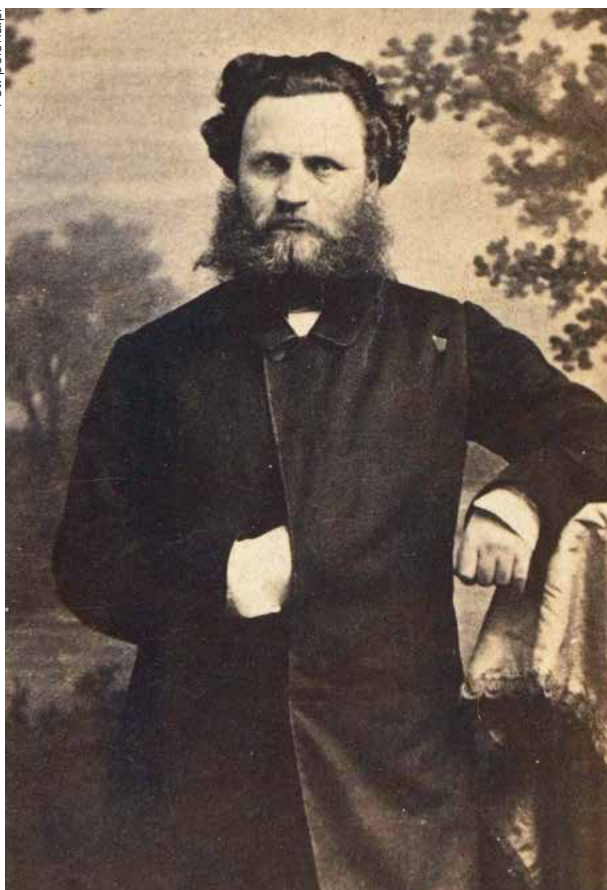
Po uwolnieniu Mierosławski, trzymając polską i niemiecką flagę, przejechał przez śródmieście wśród wiwatującego tłumu berlińczyków. Z balkonu uniwersytetu zapelował do niemieckich rewolucjonistów, by wspólnie zwrócić się przeciwko rosyjskiemu absolutyzmowi. Król Fryderyk Wilhelm przyjął nawet uwolnionych Polaków na audyencji. Jednak niemieckie zachłyśnięcie się Polską nie trwało długo. Już wkrótce liberalne niemieckie mieszczaństwo zaczęło się dystansować od polskich dążeń wolnościowych, by nie narażać terytorialnej integralności Prus.

POLACY NAD SPREWĄ

Mimo stałego pogarszania się klimatu politycznego w drugiej połowie XIX wieku berlińskie uczelnie nadal były atrakcyjne dla studentów z Wielkopolski i Pomorza. Wśród ich absolwentów i pracowników naukowych przed 1914 rokiem można znaleźć wiele ważnych polskich nazwisk, m.in. sławistów Wojciecha Cybulskiego i Aleksandra Brücknera. W Ber-

linie pod koniec XIX wieku karierę pisarską rozpoczął Stanisław Przybyszewski, debiutując napisaną po niemiecku pracą na temat psychologii jednostek.

Fot. polonapi.pl



Ludwik Mierosławski, niedoszły dowódca powstania wielkopolskiego w 1846 roku. Na skutek zdrady został schwytany i skazany na śmierć, na wykonanie wyroku czekał w berlińskim więzieniu w Moabie. Został uwolniony podczas Wiosny Ludów w 1848 roku

Lecz polska kolonia nad Sprewą składała się wtedy przede wszystkim z robotników pracujących przy budowie nowoczesnej infrastruktury miasta: ulic, kanałów, metra, kładzeniu szyn tramwajowych i osuszaniu bagien. Przed pierwszą wojną światową Berlin należał do największych polskich miast na świecie – tak w 1894 roku nazwano go w „Kraju”, polskiej gazecie wydawanej w Petersburgu. W tym okresie na obszarze późniejszego wielkiego Berlina mieszkało 40–100 tys. Polaków, a polskojęzyczna ludność stanowiła około połowy wszystkich imigrantów w Berlinie.

Polacy w Berlinie, pisał „Kraj”, nie byli skupieni w jednej dzielnicy, lecz mieszkali rozproszeni, co

utrudniało utrzymanie jedności. Egzystencja większości z nich była naznaczona codzienną walką o chleb. Także korespondent „Nowej Reformy” w artykule opublikowanym 10 listopada 1895 roku donosił o rozwarstwieniu i wielkich problemach społecznych: *Tymczasem większość z nich [Polaków – B.K.], dziesiątki tysięcy ludzi, wiedzie ubogie, nędzne zarówno w sferze duchowej, jak i materialnej życie. [...] Śmietanka zbiera się od czasu do czasu na tańce lub w celu zaprezentowania nowych kochanków, lecz są to wąskie kręgi, które odcinają się od masy zamieszkających tu Polaków. Ci zaś, stłoczeni w najuboższych ulicach, idą na dno lub posłuszni instynktowi naśladownictwa rozpluwają się w miejskim oceanie, asymilując z wrogiem. Są to robotnicy, najbiedniejsi z biednych, wyrugowani z ziemi ojczystej, szukający tu służby, niewykwalifikowani robotnicy, którzy podejmują się najgorszych prac.*

POWRÓT DO KRAJU

Po upadku Cesarstwa Niemieckiego w 1918 roku ok. 12 tys. berlińskich Polaków, przede wszystkim wywodzących się z zamożniejszych warstw (kupcy, rzemieślnicy, robotnicy wykwalifikowani oraz przedstawiciele inteligencji), wróciło do odrodzonej ojczyzny. Miasto porzuciła nawet polsko-pruska arystokracja.

W Berlinie grupa Polaków o silnej świadomości narodowej malała. W roku 1925 zaledwie 15 tys. mieszkańców miasta podało, że ich językiem ojczystym jest polski. Mimo to nie zanikała ożywiona działalność polskich organizacji społecznych w Berlinie, a miasto stało się jednym z najważniejszych skupisk polskojęzycznej mniejszości w Republice Weimarskiej. ■

BASIL KERSKI, dyrektor Europejskiego Centrum Solidarności w Gdańsku, redaktor naczelny dwujęzycznego magazynu polsko-niemieckiego „Dialog”, mieszka w Gdańsku i Berlinie

Berlin i noblista z Buczacza

Póki mędrzec żyje, ci, którzy chcą, widzą jego mądrość, a ci, którzy nie chcą, nie widzą. Ale kiedy umiera, jego dusza przydaje blasku książkom, które napisał.

Nie dowiemy się już, czy rabin Czortkowa Szalom Mordechaj Lewi Czaczkes spodziewał się, że jego syn Szmuel Josef (ur. 17 lipca 1888 roku) swoim życiem i dokonaniami udowodni słuszność zacytowanych powyżej słów, które po latach zapisał w jednej ze swoich książek. Wiemy za to na pewno, że bardzo go kochał i wraz z matką chłopca, Esterą z domu Farb, kobietą wykształconą i czytanną, pragnął zapewnić Szmuelowi jak najlepsze warunki do rozwoju i kształcenia, co po latach przyniosło owoc w postaci literackiej Nagrody Nobla.

Chociaż rabin Czaczkes pełnił posługę w Czortkowie (dziś na Ukrainie), jego syn urodził się i wychowywał w pobliskim Buczaczu. Rodzina była zamożna. Ojciec Szmuela był nie tylko rabinem i znawcą żydowskiej literatury religijnej, lecz także odnoszącym sukcesy handlarzem bydła i futer. Rodzice starali się edukować syna w domu. Matka, wywodząca się z niemieckojęzycznej rodziny, zapoznawała go z literaturą niemiecką, rozwijając przy tym umiejętności językowe chłopca. Z kolei ojciec uczył go, jak czytać m.in. dzieła Mojżesza Majmonidesa. To domowe kształcenie było wymagające i zmuszało chłopca do intelektualnego wysiłku.

Szmuel ukończył żydowską „szkołę podstawową” – cheder, a następnie trafił do szkoły wyższego stopnia, czyli bejt ha-midrász – domu studiów, gdzie nie tylko zgłębiał traktaty Talmudu, lecz także czytał różne dzieła autorów żydowskich i niemieckich. Nie ma pewnych informacji o jego

dalszym kształceniu, wiadomo jednak, że nauczony domowym przykładem bardzo mocno stawiał na samodoskonalenie i można go uznać za znakomitego „samouka”.

Już we wczesnej młodości ujawnił się jego talent poetycki. Jak wspominał po latach, swój pierwszy utwór – piosenkę – napisał w wieku pięciu lat. Twierdził, że takich poetyckich dzieł było więcej, ale manuskrypty przypadły w zawierusze pierwszej wojny światowej. Mimo to jego piosenki mieli śpiewać w Buczaczu młodzi rzemieślnicy i szewcy. Kolejna wojna zabrała także ich. Jak wspominał Szmuel po latach: *Większość z nich spłonęła w piecach Oświęcimia razem ze swymi siostrami, które upiększały nasze miasto swoją urodą i słodkimi głosami śpiewały moje pieśni...*

WALKA Z SZATANEM

Pierwszy drukowany tekst piętnastoletniego Szmuela Josefa Czaczkesa ukazał się 26 czerwca 1903 roku w wydawanym w Stanisławowie czasopiśmie „Jüdisches Wochenblatt” („Tygodnik Żydowski”). Była to napisana w jidysz ballada inspirowana postacią średniowiecznego kabalisty rabina Josepha De La Reiny, który, pragnąc przyspieszyć nadejście wyczekiwanego przez Żydów Mesjasza, musiał stoczyć ciężką walkę z szatanem.

Następny tekst Szmuela można było przeczytać 6 maja 1904 roku w wydawanym po hebrajsku krakowskim tygodniku „HaMiepe” („Obserwator”). Był to krótki wiersz zatytułowany *Gibor katan* („Mały bohater” – po-

dobnie jak w tekście z 1903 roku autor zawarł w nim motyw walki z szatanem). Jego bohaterem jest mały chłopiec, który stoi na taborecie pośrodku kłozu (określenie pochodzące z jidysz, często używane przez chasydów z Galicji – oznaczało dom modlitwy) i strzela z łuku w niebo, aby ugodzić szatana. Chłopcu towarzyszy tysiąc pełnych podziwu spojrzeń.

Ta mistyczna fabuła utworu odwołuje się do święta Lag ba-Omer (Liczenia Omeru). Jest ono szczególne – każdego roku 49 dni (siedem tygodni) dzielące święto Pesach od święta Szawout (Święto Tygodni, zwane też Świętem Żniw) są czasem powagi i swego rodzaju półżaloby. Zgodnie z tradycją wspomina się wtedy wielką epidemię z II wieku, w czasie której miało umrzeć 24 tys. uczniów rabiego Akiwy, jednego z największych myślicieli i teologów religii żydowskiej. W tym okresie w synagogach kantor publicznie odlicza „omer”, czyli czas od końca święta Pesach do początku święta Szawout. W 38. dniu tego okresu przypada święto Lag ba-Omer – zgodnie z tradycją w tym dniu mordercza epidemia wreszcie ustąpiła i dlatego wszystkie obowiązujące w tym okresie zakazy zostają zawieszone. To czas, kiedy chętnie urządzane są śluby i wesela, a nauczyciele i uczniowie szkół religijnych wyprawiają się za miasto i staczają tam udawane bitwy na kije (udają np. walkę z Rzymianami) i strzelają z łuku, aby upamiętnić wyczyn żydowskiego chłopca o imieniu Elkona. W 586 roku p.n.e., kiedy pod mury Jerozolimy podeszły wojska króla Babilonu Nabu-

chodonożora II, Elkona zabił strzałą z łuku jednego z dowódców armii najeźdźców, którzy przerażeni na 30 dni odstąpili od oblegania miasta.

Jak widać, tradycja związana ze świętem Lag ba-Omer jest bogata i pełna znaczeń. Szesnastoletni Szmuel Josef Czaczkes znał ją bardzo dobrze i był na tyle dojrzały intelektualnie, aby w twórczy sposób wykorzystać ją w swoim młodzieńczym utworze.

W ZIEMI IZRAELA

W okresie współpracy z tygodnikiem „HaMipce” Czaczkes opublikował w nim 25 różnych tekstów w języku hebrajskim. Nie zaprzestał jednak publikować także w jidysz – teksty ukazywały się na łamach wydawanego w latach 1905–1907 w Stanisławowie i Buczaczu czasopisma „Der Jidysze Weker” („Żydowski Budzik”). Szmuel współpracował także z takimi tytułami, jak hebrajskojęzyczny „HaJarden” („Jordan”) ze Stanisławowa oraz lwowski „HaEt” („Czas”). W tym czasie dojrzewało w nim postanowienie wyjazdu do Ziemi Izraela. Jego ostatni tekst ukazał się w „HaMipce” 13 marca 1908 roku. Było to opowiadanie o bardzo długim tytule *O ludziach, którzy myślą się całe życie, i o człowieku, który nie myśli się nigdy*, wydrukowane w satyrycznym dodatku „Chucpa”, który został wydany z okazji radoznego święta Purim (Święto Losów – Żydzi wspominają wówczas ocalenie narodu przez królową Esterę od zagłady w imperium perskim). Miesiąc później, po święcie Pesach, wraz z grupą chasydów Szmuel opuścił Buczacz i wyruszył do Ziemi Izraela.

Po przybyciu do nowego kraju stał się jednym z pionierów budujących nową rzeczywistość Żydowskiej Siedziby Narodowej – jak wierzyli. Pracował w rolnictwie i jako drobny urzędnik. Przez Hajfę i Jerozolimę trafił ostatecznie do Jaffy, w której zamieszkał. W tym czasie pisał kolejne utwory, a miejsce Szmuela Josefa

Czaczkesa zajął Szmuel Josef Agnon.

W tamtym okresie i w późniejszych latach przyjmowanie nowych nazwisk przez żydowskich przybyszów nie było niczym nadzwyczajnym. Wpisywało się to w propagowany przez syjonistów model budowania nowej tożsamości Żydów m.in. poprzez używanie w życiu codziennym języka hebrajskiego (uznany za ważny element żydowskiej tożsamości zo-

nie może się związać z nikim innym, a o jej dalszych losach najczęściej decyduje sąd rabinacki. Szmuel postanowił zmierzyć się z tą problematyką, publikując już w 1909 roku krótkie opowiadanie pt. *Agunut* („Opuszczone żony” lub „Słomiane wdowy”). Miał bardzo osobisty stosunek do kwestii porzuconych żon. Jako członek ludu Izraela uważał, że Bóg, który ten lud wybrał, dał mu sięgającą tysiącleci historię, bogatą kulturę i tradycję, ostatecznie porzucił go jak żonę, nie dając listu rozwodowego. Dlatego czuł się jak taka porzucona bez rozwodu kobieta i z tego powodu jego nowe nazwisko pochodziło właśnie od słowa „aguna”. Tak zatem pojawił się Szmuel Josef Agnon (Opuszczony). Na początku był to jego pseudonim literacki, by po latach stać się oficjalnym nazwiskiem.

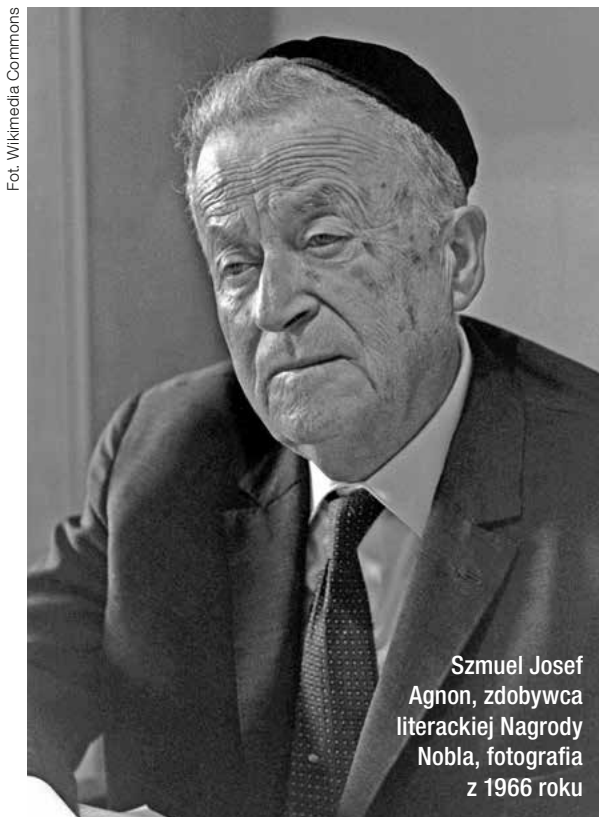
BERLIN

W 1913 roku Agnon przeniósł się do Niemiec i osiadł w Berlinie. Jak tłumaczył, musiał wyjechać z Palestyny, gdyż większość dostępnych tam książek była w języku rosyjskim, którego, jak twierdził, nie znał. Ciągnęło go do niemieckiej literatury nie tylko z powodu literackich pa-

sji, lecz także z powodu czegoś, co znał od dzieciństwa i mógł kojarzyć z obecnością matki.

W Berlinie Agnon miał sporo szczęścia. Na jego talent i dokonania zwrócił uwagę bogaty kupiec z Niemiec Zalman Szoken. Zapewnił on Szmuelowi pięcioletnie stypendium, jednak pod warunkiem że młody twórca zajmie się twórczością literacką oraz redagowaniem antologii literatury żydowskiej, na co ten przystał. Szoken okazał się bardzo lojalnym mecenasem. Poza fundowaniem stypendium pokrywał koszty wydawania drukiem wielu utworów Agnona, m.in. *Opowiadania o bajkach* (1921) oraz *W kole sprawiedliwych* (1921).

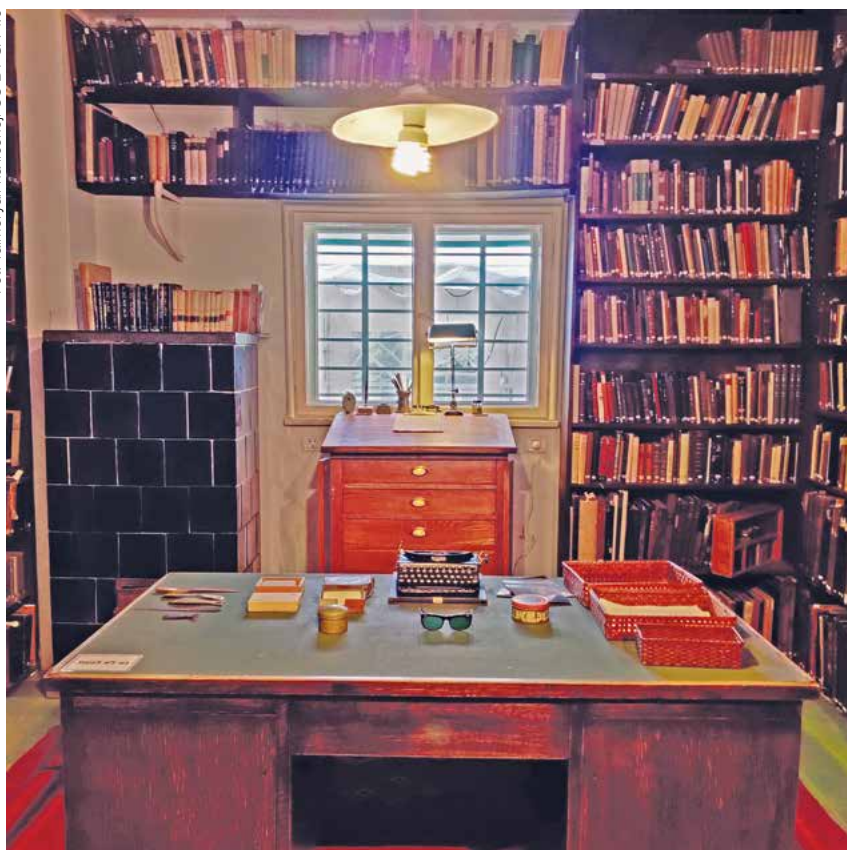
W Berlinie Agnon poznał znakomitego filozofa oraz badacza żydowskiej tradycji i religii Martina



Szmuel Josef Agnon, zdobywca literackiej Nagrody Nobla, fotografia z 1966 roku

stał odnowiony jako nowoczesny język życia codziennego głównie dzięki działaniom Eliezera ben Jehudy). Nowe nazwiska miały wzmocnić tę ideę i dlatego pochodzący z Płońska Dawid Grün stał się Dawidem Ben Gurionem, urodzony w Wiszniewie na Białorusi Szymon Perski został Szimonem Peresem, łódzianin Janusz Goldhust Avigdorem Ben Galem, a wywodząca się z Kijowa Gołda Mabowicz – Gołdą Meir.

Szmuel Josef Czaczkes zmienił zatem nazwisko podobnie jak inni przybysze, zrobił to jednak według własnych zasad. Nowe nazwisko stworzył na bazie mocno zakorzenionego w ortodoksyjnej tradycji żydowskiej określenia „aguna”, oznaczającego kobietę, której mąż zaginął albo ją opuścił, nie dając jej rozwodu. Taka kobieta



Gabinet w domu Agnona w Jerozolimie – dziś jest to muzeum poświęcone pisarzowi

Bubera. Szybko dołączył do zespołu redakcyjnego miesięcznika „Der Jude” („Żyd”), założonego jeszcze w 1916 roku przez Bubera oraz Zalmana Szokena. Zarówno środowisko intelektualne, jak i stabilizacja materialna pozwoliły mu zająć się pracą twórczą oraz badawczą. Oprócz pisania kolejnych utworów literackich (np. opowiadanie *I prawda będzie zapomniana?*) prowadził kwerendy i obserwacje, które pomogły mu badać i odtwarzać życie galicyjskich Żydów, ich stosunki z przedstawicielami innych narodowości oraz geograficzne i etnograficzne szczegóły okolicy. To, co zrobił, okazało się znaczącym wkładem w dokonania galicyjskiej regionalistyki.

Podczas pobytu w Berlinie wraz z Martinem Buberem Agnon zaczął przygotowywać do wydania opowiadania chasydzkie – bardzo ważne źródło rejestrujące tradycje i legendy dotyczące żydowskiej historii, które często nie są ujęte w oficjalnej historiografii. Część z zebranych tekstów udało się wydać w tomie pt. *Polin* („Polska”), wydanym w 1925 roku, czyli już po powrocie Agnona do Pa-

lestyny. Jeden z zamieszczonych tam utworów jest szczególnie interesujący z punktu widzenia historii Żydów w Polsce.

W opowiadaniu pt. *Kdumot* („Pradzieje”) Agnon przywołuje legendę o przybyciu Żydów do Polski. Jest to historia o poszukiwaniu bezpiecznego miejsca w obliczu prześladowań i o interwencji z niebios. Kartka, którą przerażeni wędrowcy mieli otrzymać, zaprowadziła ich do kraju o nazwie Polin, czyli Polska. Uciekinierzy mieli dotrzeć do lasu, gdzie na drzewach widzieli traktaty z Talmudu, a ptaki świergotały: *Polin*, co miało znaczyć: *Tutaj odpoczniesz* (w domyśle: przed powrotem do Ziemi Izraela).

W Berlinie Agnon zetknął się również z syjonistyczną, zanurzoną w nowoczesności młodzieżą, dzięki której poznał współczesną literaturę żydowską, o której miał dosyć powierzchowne pojęcie. W stolicy Niemiec poznał również Esterę Marks, którą poślubił w 1919 roku. Małżeństwo przeniosło się do Hamburga, gdzie urodzili się ich dzieci – córka Emuna oraz syn Szalom

Mordechaj. W 1924 roku w hamburskim mieszkaniu Estery i Szmuela wybuchł pożar. Jak wspomniał sam Agnon, spłonęła wówczas jego biblioteka, licząca ponad 4 tys. tomów, i wszystkie rękopisy. Po tym doświadczeniu postanowił wrócić do Palestyny, której sytuacja geopolityczna była zupełnie inna niż wtedy, kiedy wyjeżdżał do Niemiec. Opuścił wówczas krainę będącą częścią chylącego się ku upadkowi imperium osmańskiego, a powrócił do kraju, który po pierwszej wojnie światowej stał się częścią brytyjskiego terytorium mandatowego na Bliskim Wschodzie.

Z POWROTEM W PALESTYNIE

Wracając, Agnon dotarł najpierw do egipskiej Aleksandrii (statkiem z Triestu), a następnie pociągiem do Jerozolimy, gdzie pierwszy tydzień spędził w Hotelu Warszawskim, zanim zdołał coś wynająć. Mimo że był już znanym pisarzem, to sfrustrowany utratą niepublikowanego literackiego dorobku w hamburskim pożarze bardzo chciał pisać. Robił to, kiedy tylko mógł, ale szybko zdał sobie sprawę, że jego pracę utrudnia bardzo prozaiczny fakt – w mieście nie było światła elektrycznego.

Okazało się, że Szmuel wrócił w samym środku sporu o elektryczność. Otóż absolwent politechniki petersburskiej Pinchas Rutenberg chciał wybudować elektrownię i oświetlić Jerozolimę, a nawet niewielki wówczas Tel Awiw. Jego adwersarzem był pochodzący z Grecji przedsiębiorca Euripides Mavromatis, który wykupił w Jerozolimie koncesję na dostawę wody, elektryczności i budowę tramwajów. Ponieważ nie osiągnął postępów w elektryfikacji miasta, instytucje, które potrzebowały prądu, miały własne generatory. Mavromatis uważał Rutemburga za zagrożenie, chociaż ten nie był zainteresowany otwartą konfrontacją z Grekiem i swój wysiłek skierował na elektryfikację Jaffy. Tu jednak na przeszkodzie stanęła rada miejska złożona w całości z Arabów, którzy nie chcieli przystać na propo-

zycję Rutenberga, gdyż jako „syjoni-
sta” został automatycznie uznany za
podejrzanego – tak jak jego pomysł.

Cały ten spór był dla Agnona
czymś niewyobrażalnym – w Niem-
czech nikomu nie przyszłoby do głó-
wy blokowanie wdrażania w życie
zdobyczy cywilizacyjnych. Samot-
ność, pamięć o pożarze, koniecz-
ność pisania wtedy, kiedy jest światło
dienne, a nie wtedy, kiedy przycho-
dzi myśl – to wszystko pogarszało je-
go stan ducha, co wyrażał w pisanych
praktycznie codziennie listach do żo-
ny. Esterę niepokoiła ta korespon-
dencja i z dużą ulgą wraz z dziećmi
dołączyła do niego w 1925 roku. Za-
mieszkali w Jerozolimie, jednak nie
nacieszyli się długo sobą i spokojem.
W 1929 roku wybuchły arabskie za-
mieszki i dom wraz z odbudowaną bi-
blioteką został zniszczony.

Kiedy rozpoczęto odbudowę do-
mu, Szmuel ponownie wyjechał do
Berlina, ale zamiast znanego mu
otwartego miasta zobaczył silny an-

tysemityzm i coraz popularniejszy
faszyzm. Wyjechał z Niemiec. Od-
wiedził później dawną Galicję i za-
witał też do Buczacza. Zniszczone,
podupadające miasto straciło w jego
oczach całą magię i urok, które pa-
miętał z dzieciństwa.

Planował i pisał nowe utwory.
Dzięki przyjacielowi z czasów ber-
lińskich Zalmanowi Szokenowi w la-
tach 1931–1935 wydano 11-tomową
antologię jego opowiadań i powie-
ści. Jednak prawdziwa sława nadeszła
dopiero po drugiej wojnie światowej,
kiedy nieoceniony Szoken doprowa-
dził do wydania w Nowym Jorku
utworów Agnona w przekładzie na
język angielski. Ostatecznie jego naj-
ważniejsze utwory zostały przełożo-
ne na 18 języków.

Agnon stał się pisarzem o świato-
wej sławie, znanym i szanowanym,
a jego utwory powszechnie podziwia-
no i cytowano. Konsekwencją było
przyznaniem mu w 1966 roku – wraz
z Nelly Sachs, żydowską poetką i tłu-

maczką z Niemiec – Nagrody Nobla
w dziedzinie literatury.

Szmuel Josef Agnon zmarł 17 lu-
tego 1970 roku. Został pochowany
na Górze Oliwnej w Jerozolimie. ■

WYKORZYSTANE ŹRÓDŁA:

Wojciech Engelking, *Pisarz swojego
języka*, „Newsweek” 2021, nr 3,
s. 82–84

Petro Hawryłyszyn, *Szmuel Josef
Agnon*, „Kurier Galicyjski” 30
sierpnia–15 września 2022 [https://
kuriergalicyjski.com/szmuel-
josef-agnon/](https://kuriergalicyjski.com/szmuel-josef-agnon/) (dostęp 26.11.2025)

Dan Laor, *Szmuel Josef Agnon. Historia
życia*, Kraków 2024

Dan Laor, *Ku początkom. Agnon i
Kraków*, przeł. Piotr Paziński,
„Ruch Literacki” 2019, R. LX, z. 1,
s. 87–98

Wasył Machno, Abu al-Abbas, *Agnon,
„Galeria. Częstochowski magazyn
literacki Towarzystwa Galeria
Literacka”* 2023, nr 66, s. 55–59

JACEK KONIK, kierownik Działu Historii
i Badań Naukowych Muzeum Niepodległości
w Warszawie

R E K L A M A



DZIEJE.PL
PORTAL
HISTORYCZNY

HISTORIA
KULTURA
EDUKACJA

codzienny serwis informacji

artykuły historyczne

wywiady, filmy

oryginalne fotografie i dokumenty

podcasty

nagrania dźwiękowe

infografiki i mapy

www.dzieje.pl



Dofinansowano ze środków
Ministra Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

MUZEUUM
HISTORII
POLSKI

pap

POLSKA AGENCJA PRASOWA

Polska flaga w Berlinie

Zbliżał się koniec wojny. 16 kwietnia 1945 roku ruszyła kolejna ofensywa na froncie wschodnim. Dziesięć dni później Berlin – stolica hitlerowskiej Trzeciej Rzeszy – był już okrążony. Wydawało się, że Niemcy będą prowadzili długą i uporczywą obronę, zachęceni oraz wzmocnieni obecnością Adolfa Hitlera, który zrezygnował z zamiaru ukrycia się w przygotowanej dla niego „alpejskiej twierdzy” w rejonie Berchtesgaden. Postępy alianckich armii były jednak znaczne i 25 kwietnia doszło do spotkania czołowych pododdziałów wojsk sowieckich i amerykańskich w rejonie Torgau nad Łabą.

Niemcy podjęli wysiłki, aby ograniczyć rozmiary rystującej się klęski. 18 kwietnia poddały się niemieckie oddziały Grupy Armii „B” okrążone w Zagłębiu Ruhry. Do niewoli dostało się 325 tys. żołnierzy. Rozmowy kapitulacyjne podjęto także we Włoszech. Po negocjacjach 29 kwietnia Niemcy podpisali akt bezwarunkowej kapitulacji – aliantom poddało się blisko 1 mln żołnierzy.

Niemieccy przywódcy wiedzieli o narastającym antagonizmie wśród sprzymierzonych, który przybrał na sile po wkroczeniu Armii Czerwonej na ziemie Polski oraz zajęciu innych krajów Europy Środkowo-Wschodniej, w tym części Austrii. Na zajętych terenach Moskwa ustanawiała podległe sobie rządy i odmawiała zgody na działalność misji Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Francji. Odnotowano także ekspansję komunistów na Bałkanach, we Włoszech, Grecji, a nawet Francji. Niemcy wiązali z tym nadzieje

i próbowali doprowadzić do kapitulacji jedynie przed aliantami zachodnimi, wyprowadzając jak największą liczbę oddziałów i ludności z terenów zagrożonych przez Sowietów. Niemniej w atmosferze tarć i wzajemnej nieufności aliantów podtrzymali decyzję – o czym pisał we wspomnieniach premier Wielkiej Brytanii Winston Churchill – że *możliwym do przyjęcia warunkami kapitulacji jest wyłącznie bezwarunkowa kapituła-*

cja na wszystkich frontach przed Związkiem Sowieckim, Wielką Brytanią i Stanami Zjednoczonymi.

30 kwietnia na froncie wschodnim zlikwidowano duże zgrupowania sił niemieckich okrążonych na południowy wschód od Berlina, gdzie wzięto do niewoli 120 tys. żołnierzy. Tego dnia w oblężonej stolicy, w czełściach bunkru w rejonie Starej Kancelarii Rzeszy, Hitler popełnił samobójstwo.

Polska flaga
na kolumnie Zwycięstwa
w Berlinie

Fot. Wikimedia Commons



Sowieckie czołgi pod Reichstagiem



ROZKAZ

Na północ od Berlina, osłaniając oddziały bezpośrednio szturmujące stolicę Trzeciej Rzeszy, walczyły jednostki 1. Armii Wojska Polskiego, które dotarły tu w pościgu po sforsowaniu Odry w rejonie Siekierk i Morynia. 25–27 kwietnia powstrzymały uderzenie niemieckiej armijnej grupy Steinera, próbującej przebić się od północy z pomocą do Berlina. 3 maja, kontynuując natarcie w kierunku zachodnim, 6. Dywizja Piechoty jako pierwsza osiągnęła Łabę. Tocząc w dalszym ciągu walki, do 6 maja 1. AWP wszystkimi jednostkami wyszła w swoim pasie działania nad Łabę i nawiązała styczność z siłami amerykańskiej 9. Armii.

30 kwietnia do walk o Berlin skierowana została 1. Dywizja Piechoty im. Tadeusza Kościuszki. Wcześniej zostali tam przerzuceni saperzy zmotoryzowanego baonu pontonowo-mostowego oraz pododdziały artylerii haubicznej i moździerzy.

Decyzję o włączeniu polskich oddziałów do szturmowania stolicy Trzeciej Rzeszy podjęto w Moskwie na najwyższych szczeblach władzy. Chciano zademonstrować polsko-sowiec-

kie braterstwo broni oraz wzmocnić legitymizację nowej Polski na podstawie wspólnej z ZSRS walki z hitleryzmem. Formalnie miała to być pozytywna odpowiedź na prośbę polskich komunistów. Generał Michał Żymierski wspominał po latach: *Postanowiłem interweniować u dowódcy Frontu, marszałka Żukowa. W bezpośredniej z nim rozmowie telefonicznej, przeprowadzonej około 22:00 w dniu 29 kwietnia 1945 r., powiedziałem marszałkowi, że zwracam się do niego w imieniu Partii i Rządu Polskiego o wyrażenie zgody na udział jednostki Wojska Polskiego w szturmie Berlina. Motywowałem to trwającą od wieków walką narodu polskiego z Niemcami, ogromnymi ofiarami, jakie ponieśliśmy w ostatniej wojnie, i podkreśliłem, że udział ten będzie najlepszą nagrodą i zaszczytem dla ludowego Wojska Polskiego. Marszałek Żukow odpowiedział, że w tej sprawie zwróci się do Naczelnego Dowódcy, marszałka Józefa Stalina, i zawiadomi mnie o jego decyzji telefonicznie.*

Rozkaz został wydany. Do udziału w szturmie Berlina wybrano 1. Dywizję Piechoty, uznając jej znaczenie symboliczne. Była pierwszą jednostką wojskową powołaną przez polskich komunistów w ZSRS, posiadającą

już swoją legendę bohaterstwa i krwi przelanej w bitwie pod Lenino, tworzącą podwaliny polsko-sowieckiej współpracy i braterstwa broni.

Dla szeregowych żołnierzy dywizji walka o Berlin oznaczała symboliczne zadośćuczynienie i rewanż na stolicy państwa, które odpowiedzialne było za niszczycielską agresję na ich ojczyznę we wrześniu 1939 roku oraz lata krwawego terroru, okupacji i cierpienia. W ich życiorysach można było odnaleźć ślady ówczesnej historii i złożoności losów Polaków podczas drugiej wojny światowej. Dowództwo oraz korpus polityczno-wychowawczy 1. DP były zdominowane przez sowieckich oficerów oraz polskich komunistów, których przygotowywano do odegrania określonej roli podczas przejścia władzy nad Polską. Masy żołnierskie składały się natomiast z Polaków deportowanych przez Sowieców po agresji 17 września 1939 roku z polskich ziem wschodnich, często represjonowanych i więzionych. Niewątpliwie istniała tam grupa uwiedzionych i zdeprawowanych przez stalinowski komunizm, ale większość stanowili ci, którzy nie zdążyli do armii Andersa. Później,

wraz z przesuwaniem się frontu na zachód, szeregi dywizji zasilili poborowi i ochotnicy, w tym członkowie Armii Krajowej, którzy w ten sposób uciekali przed aresztowaniami przez NKWD i inne sowieckie organy represji, ale jednocześnie mścili się na Niemcach.

KOŚCIUSZKOWCY IDĄ NA BERLIN

Po szybkim przegrupowaniu jednostka z marszu wzięła udział w szturmie generalnym, który rozpoczął się w nocy z 1 na 2 maja 1945 roku. Polacy uderzyli na monumentalny gmach politechniki, który był ważnym węzłem niemieckiej obrony. Wdarli się do niego zwiadowcy 2. pułku piechoty, osłaniani zmasowanym ogniem artylerii i karabinów maszynowych. W ciągu długich minut walki do budynku w różnych miejscach przedostali się żołnierze pozostałych pododdziałów. Rozgorzała walka o każde piętro, o każde pomieszczenie. Rów-

nolegle 3. pułk piechoty wsparty sowieckimi czołgami opanował w walce leżącą nieopodal stację Tiergarten. Następnie polskich żołnierzy skierowano w rejon parku Tiergarten oraz Dworca ZOO. Około godz. 7 walki w mieście zaczęły zamierać, rozeszły się w szeregach pogłoski o kapitulacji. Poszczególne grupy niemieckich obrońców zaczęły składać broń. Polacy na swoim odcinku wyszli na stanowiska nacierających od wschodu jednostek sowieckich. Berlin był już zdobyty, ale do południa walczyły jeszcze pojedyncze niemieckie punkty oporu, które trzeba było osobno likwidować.

Żołnierze 3. pułku piechoty, którzy stanowili osłonę sowieckich czołgów atakujących przez park Tiergarten w kierunku Bramy Brandenburskiej, byli świadkami symbolicznego spotkania żołnierzy dwóch sowieckich frontów atakujących z przeciwnych stron ufortyfikowane centrum miasta. Podobno wtedy na ruinach Reichstagu i Bramie Brandenburskiej obok

czerwonego sztandaru zawieszono także flagi biało-czerwone.

Szczegółowe informacje zachowały się o innym symbolicznym wydarzeniu – zawieszeniu biało-czerwonej flagi na kolumnie Zwycięstwa (Siegessäule), upamiętniającej pruski militarizm i zwycięstwa wojskowe na drodze do zjednoczenia Niemiec w XIX wieku. Po wojnie do dokonania tego przyznawali się ppor. Mikołaj Troicki i ppor. Waldemar Felchnerowski, obaj będący wówczas na stanowisku zastępcy dowódcy do spraw politycznych odpowiednio 7. i 8. baterii ze składu 1. pułku artylerii lekkiej 1. Dywizji Piechoty.

POLSKA FLAGA NA KOLUMNIE ZWYCIĘSTWA

Oficjalnie podczas uroczystości kombatanckich z okazji zakończenia wojny o zawieszeniu flagi na Siegessäule wspominała grupa Troickiego. W 1970 roku

Ruiny Reichstagu



w ten sposób opowiadał on o wydarzeniu dziennikarzowi „Expressu Wieczornego”: *Gdy pociski z polskich dział i serie z pepeszek przegnały z kolumny hitlerowców, przebiegliśmy z plut. Kazimierzem Otapem, kpr. Antonim Jabłońskim i kanonierem Aleksandrem Karpowiczem i Eugeniuszem Mierzejewskim przez jezdnię w kierunku obeliska. Wspinając się po schodach prowadzących na szczyt kolumny, potykaliśmy się o spłoty przewodów telefonicznych, skrzynki od amunicji, gęsto rozsiane tuski po wystrzelonych pociskach. Dookoła słyszeliśmy pojedyncze odgłosy wystrzałów. Zdawaliśmy sobie sprawę, że w promieniu kilkuset metrów widać nas było jak na dłoni. Po chwili na szczycie kolumny, będącej symbolem pruskiego militarystyki, załopotała polska flaga. Zrobiona naprędce z czerwonej tkaniny z czas spadochronowych i białego płótna. Mieliliśmy drzewce wystrugane z gałęzi powalonego drzewa. Po zawieszeniu flagi staliśmy przez chwilę na baczność. W krótkich słowach powiedziałem kolegom o historycznej roli, jaką wypełniliśmy na swej żołnierskiej, frontowej drodze. Byliśmy wzruszeni.*

Po latach szczegółów wydarzenia uzupełniał jego ostatni żyjący uczestnik Antoni Jabłoński:

Służyłem w artylerii, na radiostacji, przy kierowaniu ogniem. Kiedy weszliśmy tam pierwszy raz, to jeszcze niemieckie działa były i leciały pociski. Godzina druga w nocy, maj, ciemno. Weszliśmy w głąb niemieckich pozycji. Patrzymy; stoi tam wieża jakaś. A dowódca podporucznik Troicki mówi: Chłopcy, to kolumna Zwycięstwa. Jeszcze koło 1870 roku, gdy Wilhelm wygrał z Francją, na zwycięstwo pobudował tę kolumnę. Weszliśmy do środka i zobaczyliśmy kable telefonów niemieckich, lecące po schodach. To był punkt obserwacyjny Niemców. Przecięliśmy te kable i schowaliśmy się. Schody kręte, żelazne, ale nikt po nich nie zszedł, żeby skontrolować, dlaczego nie ma łączności. Więc dowódca kazał przygotować automaty i dziesięć metrów jeden od drugiego zaczęliśmy iść w górę. Weszliśmy. Patrzymy, a stoi tylko aparat telefoniczny. Na wieży widać zaś tego anioła, postawionego na znak zwycięstwa. A wysokości miał chyba przeszło trzy metry...

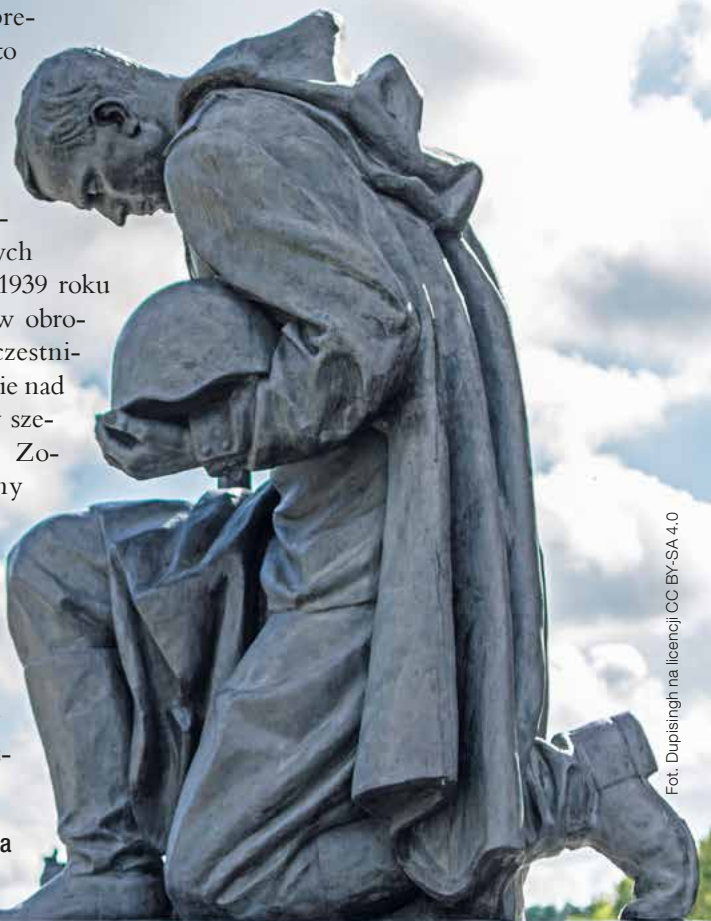
Poszliśmy tam na ochotnika! Ale zeszliśmy i wróciliśmy, jak zobaczyliśmy, że jeszcze niemieckie pociski latają. Dopiero później przyszedł dowódca i mówi: Chłopcy, już Niemcy broń składają. A Hitler przygotowywał nawet czterestolatek do obrony Berlina. Wychodzili, choć bardzo się bali. To wtedy postanowiliśmy powiesić flagę. Przy radiostacji mieliśmy płachtę, którą rozkładaliśmy obok, żeby nasze samoloty nas nie bombardowały. Czerwono-białą, trzy na trzy. Drzewce wycięliśmy w parku, obok kolumny. Płachtę przyszyliśmy do niego tym niemieckim kablem, który leciał po schodach kolumny. Weszliśmy w piątkę na wieżę, do tego anioła. Do jego ręki uczepiliśmy tę płachtę na drzewcu.

Dysponujemy fotografiami pokazującymi biało-czerwone flagi na kolumnie Zwycięstwa, stacji kolejowej Tiergarten i Bramie Brandenburskiej, a nawet moment ich zawieszenia. Najprawdopodobniej jest to jednak późniejsza dekoracja lub rekonstrukcja, dokonana na potrzeby propagandy po walkach. Uderza chociażby widok porządnego drzewca, a nie wspomianej przez uczestników gałęzi. Zresztą do fotografii publikowanych w okresie PRL trzeba podchodzić z uwagą i ostrożnością – ich opis bywał nadinterpretacją, dosyć często były inscenizacjami, a nawet fotomontażem.

Znamy wojenne losy większości wymienionych uczestników. W 1939 roku Troicki walczył w obronie ojczyzny, uczestniczył m.in. w bitwie nad Bzurą. Wstąpił w szeregi ZWZ-AK. Został schwytany przez Niemców w jednej z łapanek i wysłany na przymusowe roboty do Jugosławii. Wkrótce uciekł i przystał do komunistycz-

nych oddziałów partyzanckich Tity. Kiedy Armia Czerwona wkroczyła na Bałkany, zgłosił się do polskiego wojska. Jabłoński pochodził z Surazu na Podlasiu. Po agresji sowieckiej 17 września 1939 roku został siłą zaciągnięty do Armii Czerwonej. Służył do 1941 roku, a po niemieckim ataku na ZSRS został skierowany do batalionów roboczych na Uralu. W 1943 roku dostał zgodę na zaciągnięcie się w szeregi tworzonej 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki. Przeszedł cały szlak bojowy od Lenino przez Warszawę, Wał Pomorski do Berlina. Podobnie potoczyły się losy Otapa, pochodzącego spod Białegostoku. Także jego Sowietci wywieźli na Sybir w 1939 roku, a w 1943 roku udało mu się uzyskać zgodę na wstąpienie do polskiego wojska. Mierzejewski był najmłodszy. W latach okupacji współpracował z podziemiem, a po wkroczeniu Armii Czerwonej, możliwe, że bojąc się represji, zgłosił się do wojska. Nie zachowały się szczegóły losów Karpowicza. ■

JACEK SAWICKI, historyk i filmowiec, emerytowany profesor Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego



Berlin, Tiergarten – pomnik sowieckiego żołnierza

Emil Kalinowski

Słowiański kuzyn Don Kichota?

Polskie wątki w twórczości Miguela de Cervantesa

Co łączyło Don Kichota z hiszpańskiej Manczy z daleką Polską? Właściwie nic. Natomiast już autor „powieści wszech czasów”, sławny żołnierz i jeszcze sławniejszy pisarz, co nieco o Polsce wiedział i nie omieszkiał o tym napomknąć w swoim innym, zapomnianym dziś utworze *Niezwyuczajne przygody Persilesa i Sigismundy*.

Gdzieś Hiszpania za górami... – śpiewał Jerzy Połomski w nieśmiertelnym szlagierze *Cała sala śpiewa z nami*. Było to wiele lat przed tym, kiedy pielgrzymki spragnionych słońca turystów znad Wisły zaczęły przyjeżdżać na Costa Brava czy Costa del Sol. To samo co Połomski mogliby powiedzieć i Polacy, i Hiszpanie kilka stuleci wcześniej. Początki kontaktów przedstawicieli tych dwóch narodów wiążą się z Niemcami, a właściwie z austriacką dynastią Habsburgów, która przez Joannę Szaloną, córkę Ferdynanda Aragońskiego i Izabeli Kastylijskiej, odziedziczyła tron tego świeżo zjednoczonego iberyjskiego królestwa. W żyłach hiszpańskiego króla Karola I Habsburga, znanego lepiej jako cesarz Karol V, płynęła też pewna domieszka polskiej krwi. Oto bowiem jego pradziad, Fryderyk III Habsburg, był synem Cymbarki, księżniczki mazowieckiej. Podobno to naszej rodaczce przedstawiciele tej rodziny zawdzięczali swoją słynną „zającą wargę”. Z kolei brat Karola Ferdynand (imię po dziadku) poślubił Annę Jagiellonkę, prawnuczkę zwycięzcy spod



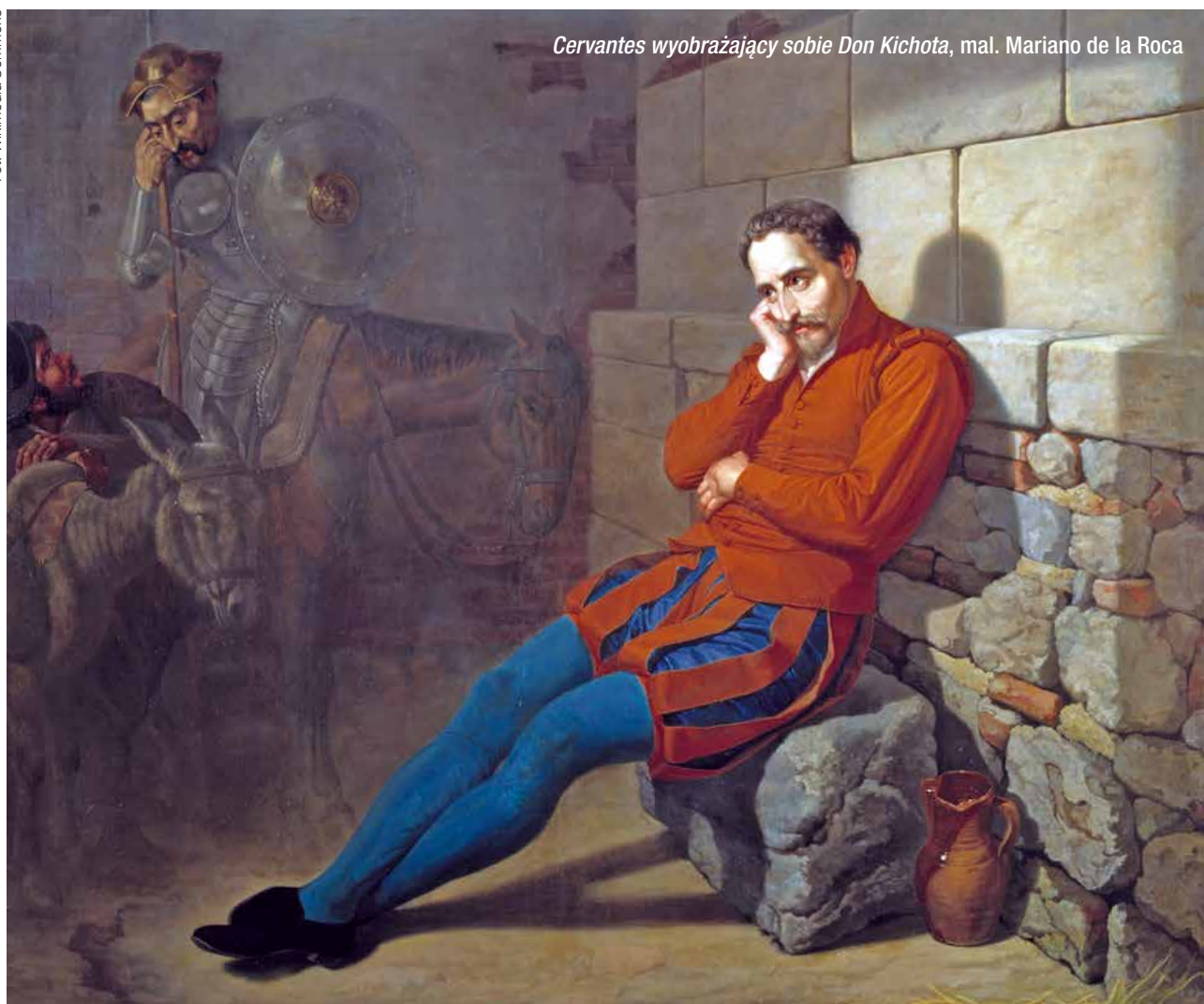
Miguel de Cervantes y Saavedra, mal. Juan de Jáuregui, fot. Wikimedia Commons

Grunwaldu z czesko-węgierskiej linii Jagiellonów.

Trzeba przyznać, że w tym dynastycznym gąszczu połapać się niełatwo, a dalej będzie równie ciekawie. To dzięki Habsburgom Zygmunt Jagiellończyk, później zwany Starym,

poślubił włoską księżniczkę. Bona – bo o niej mowa – po kądzieli pochodziła z bocznej, neapolitańskiej gałęzi dynastii aragońskiej.

Bona Sforza d'Aragona zbliżyła więc jagiellońskie królestwo nie tylko do słonecznej Italii, lecz także do dumnej Hiszpanii. Córka monarszej pary, kolejna Anna Jagiellonka, korespondowała ze swoim kuzynem Maksymilianem II Habsburgiem, pisząc po włosku, a listy otrzymując po hiszpańsku! Ostatnia z rodu Jagiellonów miała sporo interesów zarówno we Włoszech, jak i w Hiszpanii, które odziedziczyła po zmarłych matce i bracie. Chodziło mianowicie o „sumy neapolitańskie”, czyli pożyczkę Bony zapisaną Filipowi II Habsburgowi, synowi i następcy Karola w Hiszpanii i Włoszech, zabezpieczoną na księstwach Bari i Rossano. Z powodu owego włoskiego dziedzictwa już Zygmunt II August latami utrzymywał przy dworze w Madrycie swojego wysłannika. Taki stan rzeczy znany był zapewne urodzonemu w 1547 roku drugiemu najsłynniejszemu – zaraz po stworzonym przez siebie Don Kichocie – hi-



Cervantes wyobrażający sobie Don Kichota, mal. Mariano de la Roca

szpańskiemu hidalgowi. Mowa o Miguelu de Cervantesie y Saavedrze.

DON MIGUEL I „CHWAŁA PÓŁNOCY”

Znany dziś na całym świecie hiszpański pisarz, syn Rodriga i Eleonory de Cortinas, urodził się w niewielkim mieście Alcalá de Henares niedaleko Madrytu. Przedziwnym zrządzeniem losu po 1989 roku właśnie ta podmadrycka miejscowość stała się ulubionym miejscem osiedlania się Polaków przybywających za chlebem do Hiszpanii i pracujących w pobliskiej stolicy.

Gdy Miguelito miał pół roku, w odległej Polsce – w Wielkanoc – zmarł król Zygmunt I Stary. Na pogrzeb sędziwego monarchy, który odbył się dopiero 26 lipca, przybyło wielu zagranicznych gości. Łukasz Górnicki zanotował w swojej kronice: *Byli posłowie wielcy od cesarza Karolusa,*

Ferdynanda króla rzymskiego, elektorów, książąt rzeskich i włoskich, od królowej węgierskiej, od Wenetów [tj. Republiki Weneckiej – przyp. aut.] i od inszych wielkich książąt, a margrabiowie brandenburscy sami osobami swymi byli. Wyśłannikiem starszego z braci Habsburgów został jednak nie Hiszpan, lecz Niemiec. W wielkiej polityce nie ma sentymentów – Karol V, wykorzystując śmierć Zygmunta, zakrzętnął się wokół praw Bony do księstw Bari i Rossano, których chciał ją pozabawić, lecz królowa wdowa w porę dowiedziała się o intrydze. Rozpoczęły się kilkuletnie zmagania dyplomatyczne i pozadyplomatyczne o to dziedzictwo, zakończone wyjazdem Bony z Polski i późniejszą podejrzaną (plotkowano o truciźnie) śmiercią w Italii w 1557 roku.

Trzy lata później rodzina nastoletniego Cervantesa przeprowadziła się do Madrytu, potem zaś do Sewilli, gdzie – jak się podejrzewa – twórca

Don Kichota mógł się uczyć w tamtejszej szkole jezuitów. Mniej więcej w tym samym czasie ten założony przez byłego hiszpańskiego żołnierza, św. Ignacego Loyolę, zakon otworzył pierwszą placówkę edukacyjną na ziemiach polskich – w Braniewie na Warmii. W 1569 roku, kiedy na sejmie w Lublinie zawarto unię polsko-litewską, w Madrycie wydano książkę z pierwszymi wierszami młodego Miguela, który wcześniej wrócił do tego miasta, gdzie pobierał (dalsze?) nauki. Już pod koniec roku znalazł się jednak we Włoszech – prawdopodobnie z powodu pojedynku, po którym musiał uciekać przed karzącą ręką sprawiedliwości. Rychło wstąpił w szeregi wojska i wziął udział w zwycięskiej dla chrześcijan bitwie morskiej z Turkami pod Lepanto 7 października 1571 roku. Hiszpania, cesarstwo i papieństwo chętnie widziałyby Rzeczpospolitą w utworzonej wówczas Świętej Lidze, lecz zarówno Zygmunt Au-

gust, jak i polska oraz litewska szlachta wszystkimi sposobami starali się uniknąć zbrojnej konfrontacji z muzułmańskim mocarstwem.

Gdy przyszedł literat leczył odniesione rany (na zawsze pozostał kaleką z niesprawną lewą ręką) i odbywał służbę garnizonową w rządzonych przez Hiszpanów rejonach Italii,

w Rzeczypospolitej trwało znane w całej Europie „wielkie bezkrólewie”. Cervantes słyszał zapewne o wyborze na polsko-litewski tron Henryka Walecznego, królewicza znanego z Sekwany. Niefortunnie elekt, porzuciwszy później swe północne królestwo, goniąc za koroną Francji, zatrzymał się w Wenecji. Może i to nie uszło uwagi hiszpańskiego wojaka.

Los nie był łaskawy dla Cervantesa, gdyż jesienią 1575 roku dostał się na pięć długich lat do tureckiej niewoli, którą spędził w Algierze. Po powrocie do Madrytu mimo trudnej sytuacji finansowej oddał się pracy pisarskiej, wydając w 1585 roku w rodzinnej Alcali powieść pasterską *Galatea*. Jego najslawniejsze dzieło zostało opublikowane dopiero dwie dekady później, w 1605 roku, po wielu perypetiach życiowych autora; po kolejnych dziesięciu latach ukazała się jego kontynuacja. Swoją ostatnią twórczość Cervantes przygotowywał do druku tuż przed śmiercią, wiosną 1616 roku. Zmarł 23 kwietnia, w sam dzień św. Jerzego, który dzisiaj jest Światowym Dniem Książki. Traf chciał, że tegoż dnia obchodzi się także wspomnienie patrona Polski, św.

Wojciecha. A ile mógł wiedzieć hiszpański pisarz o ówczesnej Rzeczypospolitej? Na to pytanie najlepiej poszukać odpowiedzi w jego ostatniej książce, którą wydrukowano ostatecznie już po śmierci Don Miguela.

RZECZ O (PANNIE) SIGISMUNDZIE

Co prawda akcja powieści o podtytuł *Historia Setentrional*, czyli „Opowieść północna”, nie została osadzona w Polsce czy na Li-

twie, lecz na legendarno-utopijnych wyspach mórz Północy, nie brakuje w niej jednak wątków polskich. Już w jednej z pierwszych scen nadwiślański czytelnik przeciera oczy ze zdumienia, czytając, że piękna „barbarzyńska”, odgrywająca rolę tłumaczki głównych bohaterów, zwraca się do duńskiego następcy tronu po polsku. Tenże „kuzyn” szekspirowskiego Hamleta, książę Arnaldo – jak zapewnia autor – *pojął doskonale jej mowę*. Wiele stron później okazuje się, iż owa piękna kobieta zwała się Transila i urodziła się *na pewnej wyspie spośród siedmiu sąsiadujących z Ibernią*, zatem gdzieś w rejonie Hybryd między Szkocją a Irlandią. Jej ojciec, możny pan Maurycy, postanowił wydać ją za *dzielnego młodziana imieniem Ladislao*, czyli Władysława. Czyżby to dzięki niemu poznała polską mowę? Nie wiadomo, gdyż Cervantes nam o tym nie mówi, pozostają więc tylko domysły.

Niestety, dalej historia przybiera dość przykry obrót. Okazuje się, że w ojczyźnie Transili istniał „barbarzyński i przeklęty” obyczaj, swoiste prawo pierwszej nocy, znane nam chociażby z filmu *Braveheart*. Zgodnie z nim – jak tłumaczy Cervantes – przed pokładzinami pary młodej do łóżnicy świeżo zaślubionej panny wchodzi *po jednym bracia jej małżonka, jeśli ich posiada, i paru najbliższych krewniaków po to, by wic wianki z kwiatków jej ogródka, który ona pragnęłaby zachować nietkniętym dla swego męża*. Tyleż piękna, co cnotliwa i odważna Transila nie mogła przystać na to okropieństwo, dlatego zanim przyszło do rzeczy, wybiegła z komnaty z lancą w dłoni, gotowa razić każdego, kto chciałby uczynić zadość obrzydliwemu zwyczajowi. Następnie uciekła z kraju, wsiadając do pierwszej napotkanej łodzi, co stało się początkiem dalszych niesamowitych przygód, których streszczać już nie będziemy. Czy ów Ladislao-Władysław był Polakiem, który wziął za żonę kobietę z dalekiego wyspiarskiego kraju? Tego niestety autor *Don Kichota* nie precyzuje.

Transila, choć wielkich przymiotów ciała, ducha i umysłu, nie mogła się równać z główną bohaterką powieści. Była nią najpiękniejsza



Fot. Luis García

Statua Cervantesa na elewacji Biblioteki Publicznej w Madrycie

z pięknych – Auristela, która w rzeczywistości nazywała się Sigismunda. Trudno się oprzeć skojarzeniu z trzykrotnie powtarzającym się w życiu hiszpańskiego pisarza imieniem władcy Polski. W 1616 roku tron Rzeczypospolitej należał wszak do Zygmunta III, ojca 21-letniego królewicza Władysława. Co ciekawe, Ladislao został przedstawiony przez Cervantesa jako *dziarski młody człowiek świetnej postawy, na pozór nieco powyżej lat dwudziestu czterech*. Na tym jednak podobieństwa się kończą, gdyż akcja powieści toczy się gdzieś pod koniec lat pięćdziesiątych XVI wieku – świadczy o tym informacja o niedawnym zgonie cesarza Karola V. Zdarzają się wprawdzie pewne nieścisłości chronologiczne, np. spotkanie przez bohaterów młodych jeszcze konkwistadorów Francisca Pizarra i Juana de Orellana (ten pierwszy zmarł w 1541 roku), innym razem – chyba przez pomyłkę – jest mowa o dworze Filipa III, a nie II. Trudno jednak oczekiwać, aby siedemnastowieczny pisarz oddawał realia epoki z precyzją dziewiętnastowiecznego historyka.

Sama „niezrównana” panna Sigismunda pochodziła nie z Polski, lecz z Frislandii, królestwa na wyspie leżącej – jak zapewniał autor powieści – między Thule (czyli Islandią) a Grenlandią. Pomyłki czy zmyślenia jest tu winien nie Cervantes, lecz nieścisła ówczesna literatura „fachowa”, na której bazował. Niezrównani na wodach południowych Hiszpanie mieli bowiem o Północy pojęcie mgliste, niewolne od fantastycznych podań o przedziwnych krainach i morskich potworach. Może owa Frislandia skojarzyła się Hiszpanowi z Finlandią, której księciem był ojciec Zygmunta III Wazy. W postaci Sigismundy, która – wedle gustów epoki i wymogów gatunku „powieści bizantyjskiej” – była krańcowo wyidealizowana, trudno znaleźć więcej polskich akcentów, toteż skierujemy naszą uwagę na inne wątki związane z naszym krajem. Na marginesie dodajmy tylko, że prawzór opowieści o Persilesie i Sigismundzie, romans Heliodora *Etioptica*, przełożył z greki na język łaciński Polak, Stanisław Warszawicki, w 1552 roku.

PRZYPADKI MARCINA BANEDREGO

Gdy zakochany w Sigismundzie albo Auristeli jej wybranku Perianδρο vel Persiles, książę z królestwa Thule, chcąc ją uratować z rąk korsarzy, zapędził się nad Morze Łodowate gdzieś powyżej Norwegii, trafił do krainy zwanej Bituania, rządzonej przez króla Cratila. Tam, znalazłszy się – dosłownie – na łodzi, został otoczony przez żołnierzy tego monarchy (przybyłych na nartach!), a z ich dowódcą rozmawiał – a jakże – po polsku. Bo czyż Bituania nie brzmi podobnie jak Lithuania, czyli Litwa? Z żadną z części składowych Rzeczypospolitej nie kojarzy się natomiast wyspa Escinta, leżąca w okolicach północnej Szkocji. Znamyśmy ją z wyglądu za to jej ustrój – mieszkańcy wybierają monarchę, który rządzi tylko dożywotnio, a po jego śmierci następuje nowa elekcja, a jeśli władca dopuści się jakiegoś poważnego wykroczenia, poddani mogą pozbawić go tronu. Ale oprócz podobnych pośrednich świadectw jedną z postaci obecnych w dziele o Sigismundzie jest pewien Polak, którego los rzucił na Półwysep Iberyjski.

Ortel Banedre, bo tak nazywał się ów polski awanturnik, trafił do Lizbony, *wiedziony naturalnym pragnieniem wszystkich ludzi, by poznawać inne kraje*. Wcześniej, będąc *pacholcem jeszcze*, przeniósł się z ojczyzny do Hiszpanii, czego powodów Cervantes nie wyjaśnia. W stolicy Portugalii wdał się w przypadkowy pojedynek, co zmusiło go do ucieczki. Uszedł aż do Indii, gdzie, wojując w służbie korony portugalskiej, zdołał się wzbogacić. Gdy miał wracać do Polski ze zdobyczą, znów z powodu swej inklinacji do podróży zapragnął zwiedzić sławne miasta Hiszpanii. Pech chciał, że w miasteczku Talavera de la Reina spotkał piękną dziewczynę imieniem Luisa. Zaślepiony silnym uczuciem rychło się z nią ożenił, przekupując jej ojca i ignorując uczucie dziewczyny do narzeczonego Alonsa. Później miał tego gorzko pożałować, ponieważ Luisa niebawem go zdradziła i uciekła ze swym niedoszłym mężem.

Dalsze losy Polaka nie tyle mówiły o jego kraju pochodzenia, ile służyły autorowi do opisanego perypetii miłośno-mażeńskich, którym w znacznej mierze poświęcona jest ta książka. Nie będziemy ich wszystkich opisywać, warto natomiast zauważyć, że nasz rodak jest u Cervantesa bohaterem tragikomicznym, ale ukazany nie bez sympatii. Na postaci Ortela Banedre spoczął *życzliwy uśmiech twórcy Don Kiszota* – celnie podsumowała polska znawczyni jego prozy Zofia Szmydtowa. Jak wyjaśnia Cervantes, niespotykane, najwyraźniej nieco przekręcone imię Polaka – Ortel, po kastyljsku brzmiałoby Martin. Autorowi mogło więc chodzić o skandynawski wariant tegoż – Morten. Jeszcze trudniej zinterpretować nazwisko polskiego pechowca. Złożenie „Ortel Banedre” przywodzi na myśl „Fogelwedre”, jak południowi gospodarze mogli mówić o księdzu Stanisławie Fogelwederze, pośle Anny Jagiellonki w Hiszpanii w latach 1576–1586. Ale może po prostu miało ono brzmieć z cudzoziemską?

Miguel de Cervantes y Saavedra wiedział zatem co nieco o naszym kraju i wykorzystał tę wiedzę w swoim ostatnim – jak się okazało – dziele. Rzeczpospolita jawi się w nim jako potężny kraj Europy Północnej – na tyle, że nasz język to swoista *lingua franca* na morzach i wyspach tej części świata. Wszędobylscy Polacy kochali podróżować, czego żywym dowodem był pan Marcin Banedre, który dotarł aż do Hiszpanii, a stamtąd jeszcze dalej. Pechowiec zakończył życie w Rzymie, spotykając tam swoją byłą żonę z jej nowym wybrankiem, Bartolome z Manczy, rezolutem nieco przypominającym Sancza Pansę. I choć zginał marnie, zadżgany przez ową Luisę, nie był postacią negatywną, lecz jeszcze jednym nieszczęśnikiem uwikłanym w uczuciowe komplikacje. Beznadziejna miłość do pięknej plebejuszki łączy go poniekąd z najsłynniejszym bohaterem dzieł Cervantesa – „szalejącym” za Dulcyneą z Toboso Don Kichotem. ■

EMIL KALINOWSKI, historyk, absolwent Uniwersytetu Warszawskiego, zajmuje się historią nowożytną

Piotr Korczyński

Ilustracje w tekście Piotr Korczyński

Dyliżanssem przez rewolucję

Król aresztowany przez naczelnika poczty już jest martwy – rok przed zgilotynowaniem Ludwika XVI to znamienne zdanie wypowiedział jeden z bohaterów *Nocy w Varennes* (1982), sędziwy „amant wszech czasów” Giacomo Casanova. Traf chciał, że niemal w tym samym czasie pojawiły się dwa filmowe arcydzieła traktujące o rewolucji francuskiej, gdyż niedługo po filmie Ettorego Scoli, w styczniu 1983 roku, premierę miał *Danton* Andrzeja Wajdy.

Akcja *Nocy w Varennes* rozgrywa się w 1791 roku i została osnuta wokół nie tyle dramatycznego, ile tragikomicznego epizodu ucieczki królewskiej pary z Paryża, która skończyła się aresztowaniem uciekinierów w tytułowym Varennes przez tamtejszego poczmistrza, niejakiego Droueta (w filmie gra go Jean-Louis Trintignant). Jednak ta komedia omyłek miała wpływ na tragiczny koniec króla Ludwika XVI i jego małżonki Marii Antoniny w 1793 roku. To po schwytaniu w Varennes król i królowa zostali otwarcie oskarżeni o zdradę kraju poprzez planowanie powrotu doń na czele obcych wojsk.

NOC KRÓLEWSKIEJ PARY

Prześledźmy najpierw przebieg królewskiej ucieczki z Paryża w nocy z 20 na 21 czerwca 1791 roku. Już same przygotowania do niej były niezręczne. Maria Antonina poleciła duże zakupy bielizny i garderoby dla siebie i dzieci, co sugerowało, że planuje

w najbliższym czasie jakąś podróż. Do tego zleciła wykonanie olbrzymiego kufra podróżnego, choć dysponowała podobnym. Ponoć przedmiot



wzbudził podejrzenia jednej ze służących królowej, która złożyła donos do władz miejskich, ale został on zignorowany. Także zlecenie budowy wielkiej berliny – luksusowego powozu, który wymalowano na żółto i zielono,

a w środku wyłożono białym aksamitem – nie mogło budzić wątpliwości, że para królewska planuje opuścić pałac Tuileries, w którym *de facto* została uwięziona przez zrewoltowany tłum w kwietniu 1791 roku. Za ową berliną, zmienioną później na szybzy dyliżans, miał się poruszać powóz z pannami służebnymi i trzema ochroniarzami z królewskiej straży uzbrojonymi jedynie w noże myśliwskie. Nadzieję pokładano jednak w huzarach i dragonach, których na spotkanie uciekinierów miał wysłać wtajemniczony w plan gen. François-Claude Amour de Bouillé. Pierwsze patrole kawalerskie miały wypatrywać królewskiego dyliżansu już niespełna 200 km od Paryża.

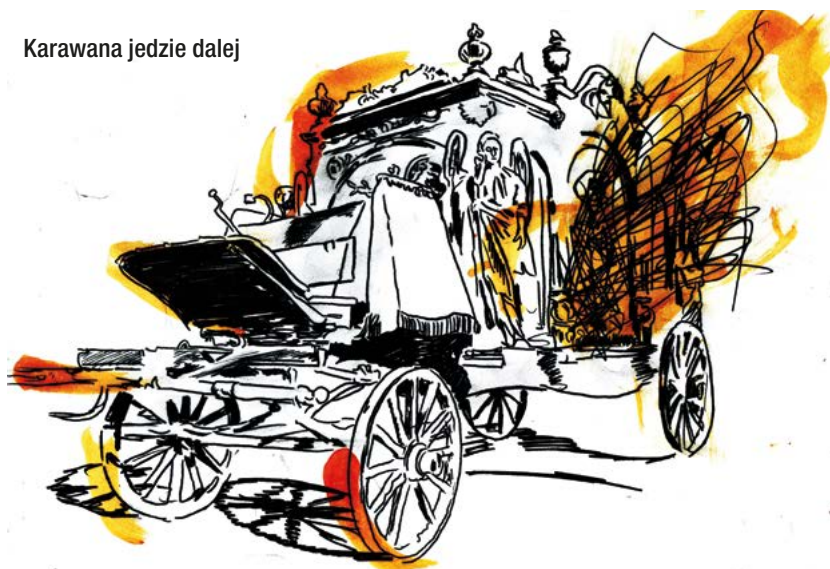
Przygotowano się również na wypadek legitymowania pasażerów berliny przez Gwardię Narodową. Główną pasażerką pozostawała madame Pauline-Joséphine de Tourzel, która według fałszywego paszportu była rosyjską poddaną, baronową de Korff, podróżującą do swej dalekiej ojczyzny, królewskie dzieci – delfin Ludwik Karol i Marie Thérèse de France –

zostały przebrane za córki baronowej o imionach Amélie i Aglaé. Maria Antonina wcieliła się w ich guwernantkę – madame Rochet, a siostra króla, madame Elisabeth, odgrywała rolę bony Rozalii. Sam Ludwik XVI w ciemnozielonym fraku i czarnych spodniach był lokajem pani Korff – Durandem.

Nauczeni swych ról uciekinierzy późnym wieczorem 20 czerwca parami wymknęli się z niedostatecznie pilnowanego pałacu Tuileries i wsiadli do fiakra, w którym oczekiwał hrabia Axel Fersen przebrany za stangreta. Powóz szczęśliwym zbiegiem okoliczności przejechał roгатkę Saint-Martin, gdyż pilnujący jej strażnicy akurat fetowali czyjeś wesele. Dalej czekała owa ekskluzywna berlina zaprzęgnięta w sześć koni, do której towarzystwo się przesiadło, i kiedy wybiła północ, cały orszak wyruszył w dalszą drogę. Wszystko szło dobrze aż do Pont-de-Somme-Vesle, gdzie uciekinierzy mieli się spotkać ze wspomnianymi kawalerzystami. Dyliżans był wprawdzie opóźniony o dwie godziny, ale wedle planu żołnierze powinni czekać do skutku – tymczasem nie było po nich śladu. Okazało się, że zwinęli swój posterunek już w południe. Ich dowódca, diuk Claude-Antoine-Gabriel de Choiseul, widząc, że jego oddział budzi coraz większe zainteresowanie okolicznych chłopów, którzy zaczęli się wokół niego zbierać z kosami i motykami, nie wytrzymał nerwowo i dał rozkaz do odjazdu. Co więcej, po drodze zburzył cały system eskort, mówiąc poszczególnym dowódcom, że cała impreza została odwołana. Do tego wojskowi nie odjeżdżali głównym traktem, lecz kłuczili bocznymi drózkami, wzbudzając niepokój i ciekawość okolicznych chłopów. Jak zauważył wybitny znawca rewolucji francuskiej prof. Marcel Reinhard: *Nieudolność arystokracji i wrogość chłopstwa, te dwie przyczyny rewolucji, sprzymierzyły się, by zrujnować królewskie przedsięwzięcie.*

W miasteczku Sainte-Menehould na arenę dziejów wkroczył wspomniany wyżej Drouet, syn poczmistrza, którego zaintrygowali i wzbudzili podejrzenia pasażerowie ekskluzywnej berliny. Jak głosi legenda, Drouet

Karawana jedzie dalej



rozpoznał króla po jego wizerunku na banknocie. Natychmiast zgłosił swe spostrzeżenie do władz miejskich i otrzymał rozkaz ścigania berliny. Nie było to trudne zadanie, gdyż jako były dragon świetnie jeździł konno, znał okolicę, a ciężka berlina była dość powolna. Dojechawszy do Varennes, zaalarmował jego mieszkańców, a ci zablokowali nadjeżdżający powóz; rodzina królewska została rozpoznana i aresztowana. Stało się to o godz. 23, tak więc uciekinierzy cieszyli się swobodą niespełna dobę. Jak pisał prof. Jan Baszkiewicz w swej biografii Ludwika XVI: [Eskapada – PK.] *od Pont-de-Somme-Vesle aż do Varennes to swista ciuciubabka; król rozmyślał o włos z żołnierzami Bouillégo lub nie mógł skorzystać z ich ochrony, gdy jego droga i droga eskorty już się krzyżowały. Czy był to jednak pech? Nieudolność, słabość, niezdecydowanie, lęki i wahania króla oraz jego przyjaciel musieli ponieść klęskę w zderzeniu z determinacją, aktywnością, skutecznością działania patriotów – zwykłych ludzi z małych miasteczek i wsi.*

ŚWIADECTWO BOHATERÓW DRUGOPLANOWYCH

Jak pisze dalej prof. Baszkiewicz, powrót pary królewskiej do Paryża był męczący – trwał cztery dni – i żałosny, ale w tym momencie zostawmy historię monarchii i jego rodziny, by powrócić do filmu *Noc w Varennes*. Nie znajdziemy w nim scen z ucieczki i aresztowania królewskich zbiegów „w imieniu ludu”. W obrazie Ettorego Scoli kró-

lewski powóz jest „fantomem”, którego śladem podąża dyliżans, i to jego pasażerowie są rzeczywistymi bohaterami tej opowieści. A w tym pojeździe reżyser i Sergio Amidei – znakomity scenarzysta (zmarł w 1981 roku, nie doczekawszy premiery filmu, który został mu dedykowany) – posadzili obok siebie w ciasnej przestrzeni (ewidentne nawiązanie do słynnego westernu Johna Forda *Dyliżans* [1939]) m.in. damę królewskiego dworu hrabinę Sophie de la Borde (Hanna Schygulla), pisarza politycznego i jednego z ojców rewolucji amerykańskiej Thomasa Paine’a (Harvey Keitel), wspomnianego Casanovę (Marcello Mastroianni) oraz bardzo ówczesnie popularnego pisarza libertyńskiego, rywalizującego z markizem de Sade o prymat skandalisty w literaturze i fetyszystę kobiecych stóp – Nicolasa Edme Restifa de La Bretonne (Jean-Louis Barrault).

To właśnie de La Bretonne jako pierwszy dowiaduje się, że przed nimi podąża ku swemu przeznaczeniu królewska rodzina, i on też zachowuje największy dystans wobec wydarzeń, które znamionują nową epokę nie tylko w historii Francji. Jako skandalista, a jednocześnie człowiek wrażliwy, empatyczny i obdarzony poczuciem humoru, zdaje sobie sprawę, że rewolucja wywraca stary porządek, ale nie zdoła zmienić ludzkiej natury – dobro i zło wciąż będą w niej walczyć. Nie neguje starego porządku ani nie boi się zmian – intrygują go. Dlatego jest tak ciekaw, co przydarzy się królewskiej parze podczas jej uciecz-



Rewolucja

ki przed nieuchronnym przeznaczeniem. Reszta podróży wyraźniej opowiada się po obu stronach konfliktu. Madame de la Borde (wtajemniczona w królewski plan) oczywiście całym sercem i duszą jest po stronie króla, Casanova także stoi po stronie czasów swej młodości, gdy na królewskich i arystokratycznych dworach poprzedała go sława największego kochanka (choć jednocześnie jest uciekinierem ze „złotej klatki”, czyli zamku Dux hrabiego Karla von Waldsteina, gdzie podstarzały uwodziciel jest pośmiewiskiem), Paine jest oczywiście zwolennikiem – choć niebezpiecznym – rewolucji.

Tak naprawdę okoliczności zajścia w Varennes są dla Scoli pretekstem, by przedstawić ów pasjonujący dyskurs ludzi prezentujących odmien-

ne postawy wobec przełomowego wydarzenia w historii. Przysłuchując się dyskusjom, jednocześnie śledzimy dyliżans, który pędzi przez zrewoltowany kraj. O dziwo, nie ma przy tym scen przemocy czy rewolucyjnych uniesień: chłopci pracują przy żniwach, pozdrawiając przejeżdżających podróżnych. Nawet w Varennes, gdzie bohaterowie docierają w chwili, gdy aresztowana rodzina królewska kładzie się spać w przydzielonej im stancji (ta scena także nie jest pokazana, tylko opisana), nie dochodzi do żadnych ekscesów, choć ludzie są oczywiście podekscytowani niecodzienną sytuacją. Skąd więc ten rewolucyjny terror, gilotyna, wojna domowa i wreszcie wojna rewolucyjnej Francji z koalicją? Zamiast odpowiedzi wprost w ostatniej scenie filmu

Scola przenosi de La Bretonne'a na współczesną paryską ulicę zatłoczoną samochodami i tam pisarz z innej epoki wygłasza znamienne słowa – warto je usłyszeć i przemyśleć, a następnie obejrzeć *Dantona* Andrzeja Wajdy, który rzuca nas w samo epicentrum rewolucyjnego cyklonu.

DEMOKRACJA GILOTYNY

Wajda, adaptując na język filmowy sztukę teatralną Stanisławy Przybyszewskiej *Sprawa Dantona* (sam ją wcześniej dwukrotnie reżyserował na deskach teatru), „sprzeniewierzył” się Przybyszewskiej, którą złośliwie nazywano kochanką Robespierre'a, i to Dantona uczynił postacią pozytywną – tym, który pragnie postawić tamę terrorowi i tyranii wykorzystującej wzniosłe hasła o wolności, równości i braterstwie. Na tę zmianę reżyserskiej percepcji wpływ miały jak najbardziej współczesne i dramatyczne wydarzenia, które jednocześnie współgrały z rewolucyjną historią – wprowadzenie w Polsce stanu wojennego.

Pierwotnie *Danton* miał być koprodukcją polsko-francuską, którą pod swe skrzydła wzięła uznana i jedna z najstarszych na świecie wytwórni filmowych, czyli Gaumont. Jednocześnie film postanowiono w całości zrealizować w Polsce jako kraju, w którym panuje „rewolucyjna atmosfera”. Te plany pokrzyżowało jednak wspomniane wprowadzenie stanu wojennego w nocy z 12 na 13 grudnia 1981 roku. Ostatecznie film powstał we Francji z udziałem polskich aktorów, którym pozwolono wyjechać wraz z ekipą Andrzeja Wajdy na czas realizacji. Reżyser tak podzielił obsadę, że stronnikami Robespierre'a (Wojciech Pszoniak) byli Polacy, a Dantona (Gérard Depardieu) Francuzi. W filmie Wajda mógł sobie pozwolić na pracę w różnych plenerach – pokazanie ulic i wnętrza Paryża i wprowadzenie „trzeciego bohatera” dramatu – rewolucyjnego ludu. Rację ma Stanisław Kandulski, kiedy w swej analizie *Dantona* pisze: *Przybyszewska narzuciła [swemu] dziełu postać kroniki, czyli w sumie pewnego „do-*

kumentu” mającego odtworzyć realia polityczne i społeczne opisywanej epoki. Całość napisano jako dramat sceniczny, czyli formę, której przekaz realizuje się bardziej w słowie niż w czynach bohaterów. Można zatem łatwo stworzyć z tego dzieła filmowe, ale przy założeniu, że jedno od drugiego byłoby co do formy w zasadzie nierozróżnialne. Ekranizacja sztuki możliwa była tylko poprzez wprowadzenie do akcji trzeciej strony konfliktu, a w zasadzie nie tyle strony, co żywiołu, jaki mocno ożywiłby i zelektryzował film.

Zastanówmy się: czy w filmie lud Paryża rzeczywiście zajmuje pozycję równorzędną wobec dwóch wielkich antagonistów – Dantona i Robespierre’a, jak podkreśla Kandydowski? Czy ci ludzie, głodni (brak chleba!), zgnębieni wojną i widmem aresztowań, są zdolni do kolejnych rewolucyjnych porywów? Wszak sam Danton przekonuje się, że nie – entuzjazm witających go paryżan po jego powrocie z prowincji trwa krótko... W istocie lud ma już przetrącony terrorem i wojną kręgosłup i bardzo trudno – nawet Dantonowi – rezerwać okowy strachu, jakimi jest spętany. Przesilenie nastąpi dopiero po zgilotynowaniu Robespierre’a.

SŁOWA, SŁOWA, SŁOWA

Mimo inscenizacyjnego bogactwa *Danton* zachowuje kameralność swego pierwowzoru. Jego osią jest też to, co u Przybyszewskiej było najważniejsze – słowo, czyli namiętny dyskurs polityczny między dwiema wielkimi indywidualnościami (a więc całkiem podobnie jak u Scoli). Cała reszta – wspomniany lud w czapkach sankiulotów, żołnierze, więźniowie, a nawet stronnicy Robespierre’a z Komitetów Ocalenia Publicznego i Bezpieczeństwa Powszechnego, sędziowie Trybunału Rewolucyjnego oraz dantoniści – oni wszyscy są statystami w pojedynku „olbrzymów”. Góruje nad nimi tylko jedno – szafot z gilotyną.

Jest w *Dantonie* kilka scen, którymi Wajda wzbogacił sztukę Przybyszewskiej, bardzo wymownie podkreślając, jak wolnościowe ideały staczają się w otchłań totalitaryzmu. Między innymi na początku filmu ko-



Danton
pod gilotyną

chanka Robespierre’a Éléonore Duplay, kąpiąc małego chłopca, uczy go *Deklaracji praw człowieka i obywatela*. Za każdą pomyłkę chłopiec dostaje klapsa. W finale widzimy efekty tej nauki, kiedy małe dziecko deklamuje przed Robespierre’em poszczególne paragrafy *Deklaracji*, a ten przeżywa rozterki po zgilotynowaniu Dantona. Deklamacja dziecka uświadamia mu jeszcze boleśniej, jak daleko odszedł od ideałów rewolucji. Innym fragmentem różniącym się od dramatu jest chwila przygotowań Dantona i jego ludzi do spotkania z Robespierre’em w jednym z paryskich lupanarów.

Danton dba o każdy szczegół: kwiaty mają być tylko niebieskie – w ulubionym kolorze „Nieprzekupnego” – a zestaw dań i win wprost oszałamia (pamiętajmy – w sklepach brakuje chleba i jest on reglamentowany). Danton rozkazuje też Burdonowi oczyścić wszystkie pokoje wokół. Widzimy, z jaką ochotą ten nikczemnik (całość została koncertowo zagrana przez Andrzeja Seweryna) przerywa schadzkę pary kochanków przy akompaniamencie muzyków z Haiti (byłych niewolników, którym rewolucja darowała wolność) i seans spirytystyczny. W tej scenie Andrzej Wajda po mistrzowsku oddał atmosferę epoki – terroru, wojny i towarzyszącemu im dekadentyzm.

A to wszystko zostało podporządkowane pojedynkowi dwóch rewolucyjnych gigantów. Słowo przeciw słowu. Obaj odtwórcy głównych ról,

Depardieu i Pszoniak, wspominając pracę na planie filmowym *Dantona*, podkreślali, że nie tyle grali, ile stawali się Robespierre’em i Dantonem. Polski aktor mówił w jednym z wywiadów radiowych: *Nie gra się zawodu, nie można zagrać polityka, lekarza, inżyniera, bo to nic nie znaczy, nawet się nie gra króla. Gra się człowieka. Wcielać się w Robespierre’a, poczułem, co taki człowiek czuje, nie mogłem go udawać, naśladować. Poczułem w pewnym momencie, na czym polega jego świat. Jego zachowania są logiczne, są wynikiem jego osobistych doświadczeń, wrażliwości, jego sposobu myślenia. On nie był zimnym, cynicznym, wyrachowanym człowiekiem. W pewnym momencie on może nie doznał olśnienia, ale zrozumiał. Musiał przejść tak tragiczną, dramatyczną drogę, żeby coś zrozumieć. I bywa i tak w życiu. Gérard Depardieu tak natomiast wspominał finałowy monolog w *Dantonie*: *Nakręciliśmy go jako jedno ujęcie. Czulem się jak opętany przez postać, miałem pełną świadomość tego, co się działo, ale niczego nie kontrolowałem. Wszystko przyszło samo, bez wysiłku, tak jakby Danton mówił przeze mnie. Zachowywałem się jak w półśnie, opanowany słodką niemocą.* ■*

PIOTR KORCZYŃSKI, historyk, zastępca redaktora naczelnego „Polski Zbrojnej Historia”, publicysta, autor książek, m.in. *Śladami Szeli, czyli diabły polskie i Przeżyłem wojnę... Ostatni żołnierze Walczącej Polski, 15 sekund. Żołnierze polscy na froncie wschodnim*, współautor w tomie 2 i 3 *Europejskiego kina gatunków* oraz *1000 filmów, które tworzą historię kina*. W „Mówią wieki” i w „Polsce Zbrojnej Historia” prowadzi stałe cykle o kinie historycznym i wojennym

Zapach wielkiego świata i mydło pod strzechą – perfumy z ulicy Muranowskiej

– *Dzień dobry, Marysiu! Nad czym myślisz? – Aniu, kochana, pomóż, mam zmartwienie! Chciałabym na imieniny mojego Karola wyhaftować mu koszulę, ale nie mam odpowiedniego wzoru i nie wiem, skąd go wziąć. – Takiemu zmartwieniu łatwo zaradzić. Kup kostkę mydła glicerynowego firmy Brocard i Sp. Oni do każdej sztuki dodają bezpłatnie różne przepiękne wzory do haftowania.*

Powyższy cytat pochodzi z dziewiętnastowiecznej reklamy, chociaż metoda promocyjna polegająca na dorzucaniu do sprzedawanych produktów rozmaitych bonusów jest wykorzystywana do dziś. Na pomysł dodawania wzorów hafciarskich do mydła wpadła moskiewska firma kosmetyczna Brocard i Sp. W Rosji była ona jednym z pionierów nie tylko w zakresie produkcji kosmetyków, lecz także stosowania oryginalnych strategii reklamowych.

W trakcie badań wykopaliskowych u zbiegu ul. Miłej i St. Dubois w Warszawie natrafiono na butelkę po perfumach wytwarzanych właśnie przez firmę Brocard i Sp. To znalezisko stało się początkiem podróży do świata wykwintnej mody, eleganckich salonów oraz niezwyklej kreatywności kupieckiej i producenckiej, kiedy oprócz znajomości rynku i obowiązujących na nim trendów wciąż liczyła się intuicja i wyczucie.

KRZYŻYKI I FONTANNA

W 1882 roku na Wszechrosyjskiej Wystawie Przemysłowo-Artystycznej w Moskwie firma Brocard i Sp. zbudowała specjalną fontannę, aby zare-

Fot. autor



Butelka po wodzie kolońskiej firmy Brocard znaleziona podczas wykopalisk

klamować swoją wodę kolońską o nazwie Cwietocznyj (Kwiatowy – trzeba dodać, że w języku rosyjskim „woda kolońska” jest rodzaju męskiego, dla-

tego wszystkie przymiotniki w nazwach tego kosmetyku również mają rodzaj męski). Z fontanny zamiast wody tryskała wspomniana *eau de cologne*. Ludzie wkładali pod strumień pachnącej cieczy chusteczki, a nawet... marynarki, pragnąc zachować zapach na dłużej. Produkt otrzymał zresztą na tej wystawie złoty medal – ciekawe, na ile przyczyniły się do tego jego realne walory, a na ile rozmach kampanii promocyjnej.

Wspomniany na wstępie pomysł owijania kostek mydła w kawałki papieru zadrukowanego wzorami haftu krzyżkowego też okazał się strzałem w dziesiątkę. Trzeba nadmienić, że w XIX wieku technika haftu krzyżkowego spopularyzowała się wśród kobiet z różnych warstw społecznych. Styl wprowadzony przez firmę Brocard umiejętnie łączył rodzime motywy ludowe z elementami zaczerpniętymi z tradycji innych krajów europejskich i zapewne częściowo w tym tkwi tajemnica jego atrakcyjności. Ponadto proponowano stosunkowo proste wzory, możliwe do wykonania nawet przez osoby mniej wprawione w robótkach ręcznych. Wśród charakterystycznych motywów hafciarskich Brocarda by-

ła np. francuska róża, łatwa do przeniesienia z papieru milimetrowego na tkaninę. Styl tych wzorów – od firmy, która go wprowadziła, nazwany mydłanym lub brokarowym – rozpowszechnił się dość szeroko. W ten sposób coś, co było pomyślane jako chwyt reklamowy, realnie wpłynęło na ówczesną modę.

PARYŻ-FILADELFIA-MOSKWA

Wszystko zaczęło się w Paryżu. To właśnie tam w pierwszej połowie XIX wieku Athanase Brocard, syn winiarza z Szampanii, odbywał praktykę w renomowanej wytwórni perfum Oriza L. Legrand. Z upływem czasu założył własną firmę, wytwarzającą głównie olejki zapachowe, mydła toaletowe i pomady do włosów. Athanase był chyba niespokojnym duchem, ponieważ lepszych perspektyw dla swej działalności poszukiwał najpierw w Ameryce, a później w Rosji. Jego synowie, Alexandre i Henri, od wczesnej młodości pracowali w wytwórni ojca, przez pewien czas samodzielnie prowadzili interesy w Filadelfii.

Kiedy w 1861 roku Alexandre zmarł, jedynym spadkobiercą firmy pozostał Henri. W 1862 roku za namową ojca także on wyjechał do Rosji, która wydawała się stwarzać duże możliwości rozwoju. Od tego momentu Henri Brocard stał się znany jako Gienrich Afanasjewicz Brokar (Генрих Афанасьевич Брокер – jego nazwisko zapisywano cyrylicą fonetycznie, bez końcowego „d”, którego w języku francuskim się nie wymawia). Również nazwę firmy można zobaczyć w wersji francuskiej – Brocard, lub rosyjskiej – Brokar. W niniejszym tekście, aby uniknąć zamieszania, będziemy używać oryginalnej pisowni imienia i nazwiska.

Po przybyciu do Rosji Henri Brocard podjął pracę jako główny perfumiarz u moskiewskiego kupca Konstantina Pawłowicza Gika, który już pod koniec XVIII wieku założył jedną z pierwszych rosyjskich wytwórni perfumeryjno-kosmetycznych. Francuz wynalazł w tym czasie nową metodę produkcji skoncentrowanych perfum. Kiedy jego umowa z Gikiem wygasła, sprzedał swój wynalazek znanej francuskiej firmie per-

MYDŁO I JESZCZE WIĘCEJ MYDŁA

Mimo propozycji zatrudnienia od kilku francuskich firm Henri Brocard wybrał niezależność. Najwyraźniej wierzył w możliwości rozwoju rosyjskiego rynku. W 1864 roku otworzył w Moskwie własną wytwórnię mydła.

Co ciekawe, w tym okresie w Rosji nie była to popularna branża – nie istniał nawet odpowiedni cech rzemieślniczy, do którego Brocard mógłby zostać przyjęty. Ostatecznie przypisano go do cechu felcerów.

Początki były bardzo skromne. Henri wynajął budynek dawnych stajni i wyposażył go w piec opalane drewnem oraz moździerz i kotły do gotowania mydła. Zatrudniał wówczas zaledwie dwóch pracowników, sam pracował razem z nimi. We trzech wytwarzali 5–10 tuzinów kostek mydła dziennie, a później rozwozili je do sklepów.

Trzeba zaznaczyć, że w tym okresie zamożni Rosjanie sprowadzali lub przywozili produkty kosmetyczne z zagranicy. Osób o przeciętnych czy niskich dochodach nie było na to stać. Brocard postanowił uczynić

z tych niedocenianych przez biznes grup swoją klientelę, do czego zachęciła go niezawodna Charlotte. To właśnie ona wpadła na pomysł, że mydło powinno trafić pod strzechy. Było to prawdziwie pionierskie działanie, jednak by osiągnąć sukces, firma musiała nie tylko oferować produkty w przystępnych cenach, lecz także w inny sposób zachęcić nieobeznanych z nimi odbiorców do zakupu. Charlotte była w swoim żywiole – wymyślała nowe produkty, nadawała im chwytliwe nazwy i planowała działania reklamowe.

Pierwszymi produktami Brocarda były mydła Dietskoje (Dziecięce), Jan-tarnoje (Bursztynowe) i Miedowoje



Henri Brocard i jego żona Charlotte

Fot. domena publiczna

fumiarskiej Roure Bertrand Fils za 25 tys. franków.

W międzyczasie Henri poznał i poślubił pannę Charlotte Raway, córkę belgijskiego właściciela sklepu z instrumentami chirurgicznymi. Okazała się wymarzoną partnerką. Była nie tylko piękna i inteligentna, lecz także starannie wykształcona – znała francuski i rosyjski oraz podstawy rachunkowości, mogła więc pomagać mężowi w interesach. Kontaktowała się z klientami, zajmowała administracją, miała też znakomity zmysł marketingowy – to właśnie ona stała za wieloma przedsięwzięciami promocyjnymi firmy Brocard i Sp., w tym za oryginalnymi projektami opakowań.

Fot. domena publiczna



Sprzedaż mydła na wiejskim jarmarku, rysunek pochodzi z książki wydanej na 50-lecie firmy w 1914 roku

(Miodowe). Szczególnie to pierwsze okazało się sukcesem – na kosztach wyciskano bowiem litery rosyjskiego alfabetu. Podobno niektórzy rodzice kupowali wszystkie litery, a dzieci uczyły się z nich czytać. Niezwykły sukces odniosło też mydło Narodnoje (Ludowe), które kosztowało jedynie kopiejkę. Nawet chłopci, nieprzywykli do używania mydła, przekonali się do niego. Jak Rosja długa i szeroka sprzedawano je na targach całymi pudłami. Innym popularnym mydłem był Oguriec (Ogórek), o kształ-

cie adekwatnym do nazwy, podobnie jak mydło Szar (Kula), produkowane w różnych wariantach zapachowych i cenach.

NAGRODY, SUKCESY I ZMIANY

Już po roku od uruchomieniu produkcji firma Brocard otrzymała srebrny medal na wystawie krajowej. Później regularnie zdobywała medale i wyróżnienia na wystawach krajowych czy międzynarodowych, w tym

złote na wystawach światowych w Nicei (1883), Antwerpii (1885) i Barcelonie (1888).

Dzięki popytowi na mydła można było rozbudować i nowocześnie wyposażać fabrykę, zatrudnić i przeszkolić personel. Rozbudowująca się firma kilka razy zmieniała lokalizację, ostatecznie w 1869 roku jej główną siedzibą stał się gmach na rogu Arsienjewskiego pierieulka (dziś ul. P. Andriejewa) i ul. Mytnej. W fabryce zainstalowano już maszynę parową, prasy i inne niezbędne wyposażenie oraz zatrudniono kilkudziesięciu pracowników.

Brocard stopniowo rozszerzał asortyment. Oprócz coraz większej liczby mydeł o wymyślnych nazwach, takich jak Greczeskoje (Greckie), Miatnoje (Miętowe), Mramornoje (Marmurowe) czy Tieatralnoje (Teatralne), a nawet Wojennoje (Wojskowe), wytwarzał też pomady do włosów. W 1870 roku wyjechał na Zachód, aby zapoznać się z nowinkami technologicznymi i trendami w przemyśle kosmetycznym. Wrócił z nowymi pomysłami, ale na ich realizację potrzebował kapitału. Dlatego w 1871 roku zawarł z kupcem Wasilijem Rudolfowiczem Germanem umowę o utworzeniu Domu Handlowego Brocard i Sp. (w transkrypcji rosyjskiej – Brokar i Ko). German zainwestował 10 tys. rubli w srebro, które przeznaczono na rozwój działalności.

W 1872 roku, po kolejnej podróży po Europie Zachodniej, Brocard zaczął produkować eleganckie wyroby, m.in. perfumy, wody kolońskie, pudry i kremy, a także produkty do pielęgnacji włosów, kredki kosmetyczne czy pomadki do ust. Z czasem do firmy dołączali kolejni francuscy perfumiarze (jeden z nich, Georges Ferran, poślubił córkę Brocarda Eugenię).

W 1893 roku Dom handlowy Brokar i Ko został przemianowany na Spółkę Brokar i Ko – jej wyłącznymi właścicielami pozostawali Brocardowie. Przez cały czas istnienia była to w zasadzie firma rodzinna. Dzieci Henriego zawarły małżeństwa z potomkami innych francuskich rodzin osiadłych w Rosji, częściowo rów-

Fot. domena publiczna



Dział opakowań w fabryce Brocarda, zdjęcie z książki jubileuszowej firmy

niezwiązanych z przemysłem kosmetycznym. Nie tylko synowie, lecz także zięciowie Henriego byli zaangażowani w prowadzenie biznesu. W 1900 roku obrót spółki wyniósł 2,5 mln rubli.

BEZ PERSKI, ŁABĘDZI PUCH I WYSTAWA ŚWIATOWA W PARYŻU

W 1872 roku przy ul. Nikolskiej powstał pierwszy sklep firmowy, w 1878 roku drugi – przy pl. Giełdowym, a później kolejne. Podczas otwarcia drugiego sklepu konieczne okazało się wezwanie policji, ponieważ niezwykle atrakcyjna oferta – pudełko z zestawem próbek różnych kosmetyków w cenie zaledwie jednego rubla – przyciągnęła tłumy chętnych, którzy szturmowali placówkę. W ciągu pierwszych kilku godzin sprzedano aż 2 tys. takich zestawów. Był to jeden z pomysłów promocyjnych niezawodnej Charlotte.

Skoro już o niej mowa – w 1900 roku na Wystawie Światowej w Paryżu prawdziwą furorę zrobiły perfumy o romantycznej nazwie *Piersidskaja sirien* (Bez Perski). Zasiadający w jury przedstawiciele znanych francuskich firm perfumierskich byli nimi zachwyceni i przyznali im duży złoty medal. Wśród klientów Bez Perski też zyskał dużą popularność. Być może dlatego, że naprawdę był to zapach zaprojektowany z sercem – Henri Brocard podarował te perfumy żonie z okazji 25-lecia ich małżeństwa.

Oprócz nietypowych nazw produktów, jak wspomniany Bez Perski, niezwykle popularny puder *Lebiażij puch* (Łabędzi puch) czy perfumy *Lubi mienia* (Kochaj mnie), Brocard słynął z projektowania oryginalnych opakowań, często o fantazyjnych kształtach. Jednym z najbardziej oryginalnych z pewnością był flakon do wody kolońskiej *Siewiernyj* (Północny) w kształcie góry lodowej z umieszczoną na szczycie figurką niedźwiedzia polarnego. W 1908 roku zaprojektował go Kazimierz Malewicz – późniejszy znany awangardowy artysta i twórca suprematyzmu. Forma flakonu miała

Fot. domena publiczna



Sklep Brocarda w nowoczesnym domu towarowym Wierchnije torgowije riady w Moskwie (dziś Gosudarstwiennyj uniwersalnyj magazin)

korrespondować z zawartością, którą reklamowano jako orzeźwiająca i doskonała na migreny w upalne dni.

BUTELKA Z PIWNICY

Przedmiot, który stał się punktem wyjścia do opowiedzenia historii firmy Brocarda, nie jest tak oryginalny jak projekt Malewicza. Jest jednak równie ciekawy, pokazuje bowiem, że zwykła butelka po kosmetykach mogła być przechowywana w domu przez dziesięciolecia. Bardzo w duchu współczesnego *zero waste*.

Wyjrzała spod ziemi już pod sam koniec wykopalisk – zwykła przezroczysta butelka z nieco ubitą szyjką. Na szkle widniały napisy wykonane cyrylicą: u góry słowo „Товарищество” („Towarzystwo”), u dołu – „Брокер и Ко в Москве” (Brokar i Sp. w Moskwie). Pośrodku było umieszczone godło państwowe (dwugłowy orzeł) – mogli go używać rzemieślnicy, dostawcy czy fabrykanci pracujący dla dworu.

Po porównaniu z reklamami z epoki z dużym prawdopodobieństwem można założyć, że jest to butelka po wodzie kolońskiej. Reklama produktów Brocarda zamieszczona w „Kurjerze Warszawskim” z 1901 roku prezentuje tego typu butelkę opisaną jako *cwietocznyj*

odiekolon, czyli kwiatowa woda kolońska. Może to właśnie ona stanowiła pierwotną zawartość odnalezionego przedmiotu.

BUKIET CESARZOWEJ

Oprócz żony była jeszcze jedna kobieta, która odegrała pewną rolę w karierze Henriego Brocarda. Otóż latem 1873 roku przyjechała do Moskwy Maria, córka cara Aleksandra II, która poślubiła księcia Edynburga Alfreda, drugiego syna królowej Wiktorii. Na przyjęciu wydanym na jej cześć znalazł się również Brocard, który wręczył jej bukiet złożony z różnych kwiatów, m.in. róż, konwalii i fiołków. Rzecz w tym, że kwiaty był wykonane... z wosku i precyzyjnie nasączone zapachami imitującymi naturalną woń. Kobieta była zachwycona. W konsekwencji Brocard otrzymał oficjalny tytuł dostawcy księżnej z prawem używania jej monogramu na szyldzie swojej firmy, co niewątpliwie stanowiło spore wyróżnienie.

Notabene firmie przyznano również tytuł dostawcy dworu carskiego, ale dopiero w 1913 roku, kiedy z okazji jubileuszu 300-lecia dynastii Romanowów Brocard wypuścił na rynek nowe perfumy pod nazwą *Lubimyj bukiet impieratrycy* (Ulubiony bukiet cesarzowej). Ich twórcą był August Michel, francuski per-



Reklama firmy Brocard i Sp. z „Kuriera Warszawskiego” z 1901 roku

fumiarz, który dołączył do firmy w 1908 roku. Trzeba dodać, że często dochodzi tu do pomyłek, ponieważ w 1882 roku sam Henri Brocard stworzył perfumy o bardzo podobnej nazwie: Bukiet impieratrycy (Bukiet cesarzowej – niektórzy wiążą go z woskowym bukietem wręczonym kilka lat wcześniej księżnej Edynburga, ale nie ma na to bezpośrednich dowodów). W ofercie fabryki było zresztą więcej perfum ze słowem „bukiet” w nazwie (np. Bukiet Jekatieriny, czyli Bukiet Katarzyny).

Z całą pewnością jednak to kompozycja zapachowa Michela z 1913 roku, a nie perfumy Brocarda z 1882 roku, stała się podstawą do stworzenia słynnych radzieckich perfum Krasnaja Moskwa (Czerwona Moskwa). Kiedy po rewolucji firmę znacjonalizowano, Michel, który wciąż pracował w fabryce, przy wsparciu żony Mołotowa Poliny Żemczużyny odtworzył skład zapachu Ulubionego bukietu cesarzowej i odtąd był on produkowany pod nazwą Krasnaja Moskwa, zyskując status kultowego.

ZAGRANICZNE NIE ZNACZY LEPSZE

Mimo niewątpliwych sukcesów i znakomitej jakości produktów firmy Brocard wybredna zamożna klientela wciąż wołała sprowadzać towary z zagranicy. Snobowanie się na obce

produkty i uznawanie ich za lepsze jakościowo tylko dlatego, że nie zostały wyprodukowane w Rosji, irytowało przedsiębiorcę. Zastosował więc pewien fortel. Nabył partię doskonałych francuskich perfum firmy Lubin i w obecności świadków oraz notariusza przelał je do własnych flakonów. Sprzedawane pod szyldem Brocard francuskie perfumy były krytykowane przez kupujących, którzy twierdzili, że nie wytrzymują one porównania z zagranicznymi produktami. Jakież było ich zdziwienie, kiedy Brocard ujawnił, że w istocie były to francuskie perfumy w rosyjskim opakowaniu. Sprawa odbiła się głośnym echem w prasie, zawstydzając rzekomych znawców perfum i jednocześnie przynosząc Bocardowi szeroką reklamę.

O klasie i popularności produktów Brocarda świadczy też to, że doczekały się podróbek wytwarzanych przez innych producentów. W końcu, aby zabezpieczyć swoje produkty, Francuz zaczął stosować specjalne oznaczenia naklejane na wszystkie wyroby.

Firma nieustannie się rozwijała, a Henri czerpał inspiracje z zagranicy, wprowadzając nowinki i znacznie wyprzedzając pod względem technologii oraz kreatywności innych rosyjskich przedsiębiorców. Trzeba jednak zaznaczyć, że pojawianie się nowych produktów nie zmniejszało popytu na te już dobrze znane. Przeciwnie – klienci byli przywiązani do ulu-

bionych perfum czy wody kolońskiej na tyle, że protestowali, kiedy firma chciała unowocześnić starsze wzory opakowań, uznawali bowiem te pierwotne za idealne.

Henri Brocard zmarł w 1900 roku, a jego żona trzy lata później. Do rewolucji działalność kontynuowały ich dzieci: synowie Aleksander i Emil, córka Eugenia i jej mąż Georges Ferran. Również wnuki powoli zaczęły się przyłączać do prowadzenia rodzinnego biznesu. Po rewolucji Brocardowie znaleźli się na emigracji. W 1920 roku fabryka została znacjonalizowana i przemianowana na Państwową Fabrykę Mydła nr 5. Nowej dyrektorce udało się jednak przekonać ówczesne władze, że można i warto kontynuować produkcję wyrobów perfumeryjnych. Wprawdzie już w innej lokalizacji, ale w 1922 roku otwarto państwową fabrykę perfum i mydła Nowaja Zarja (Nowa Zorza), która w nowym, zupełnie odmiennym świecie kontynuowała tradycje firmy Brocard. ■

WYKORZYSTANE ŹRÓDŁA:

- Złototy jubilej towarzyszcstwa Brokar i Ko.*, Moskwa 1914, za: <https://humus.livejournal.com/8489908.html>; <https://humus.livejournal.com/8491755.html> (dostęp: 14.11.2025)
- <https://muzeydela.ru/novosti/genrih-brokar-talant-marketing-i-dobrosovinnost/> (dostęp: 14.11.2025)
- O. Lavit, *Henri Brocard: un collectionneur français à Moscou*, za: <https://www.inha.fr/actualites/henri-brocard-un-collectionneur-francais-a-moscou/> (dostęp: 14.11.2025)
- A. Szatskich, *Flakon Malewicza: upakowka mieczty*, za: <https://artguide.com/posts/1382> (dostęp: 14.11.2025)
- Ekskurs w istoriju. Gienrich Brokar. Kak myło powlijało na modu 19 wiewka*, za: <https://www.linenby.by/blogs/blog/ekskurs-v-istoriju-genrih-brokar-kak-mylo-povlijaalo-na-modu-19-veka?lang=en&srsId=AfmBOooAvmbTHVe4w6zSCAgT-f8dROddILyCFDn-gWdDebGuCZ0QSiqc> (dostęp: 14.11.2025)

Prasa i materiały reklamowe z epoki

Franciszek Mater

LITERATURA MILITARNA

Max Hastings przez wiele lat był korespondentem wojennym, m.in. w Wietnamie, oraz redaktorem, a później redaktorem naczelnym brytyjskich gazet „The Daily Telegraph” i „Evening Standard”. Równocześnie od publikacji książki *Bomber Command* (1979) zyskał uznanie jako pisarz historyczny, ustalając swą rozpoznawalną metodę łączenia różnorodnych perspektyw zdarzeń. Na potrzeby *Wojny koreańskiej* autor przeprowadził ponad 200 wywiadów z żołnierzami i oficerami wszystkich szczebli, od sztabu przez wywiad, lotnictwo i marines po rekrutów wysyłanych na front niemal bez przeszkolenia. Co ważne, dotarł nie tylko do uczestników misji Narodów Zjednoczonych broniących Południa, lecz także do obywateli Chin walczących po stronie Północy.

W ten sposób skonfrontowane zostały np. wyobrażenia czy przesłanki, jakimi kierowały się osoby odpowiedzialne za przebieg wypadków, oraz rzeczywiste warunki. Wprowadza to do świata faktów wymiar indywidualny – widoczny staje się wpływ wydawanych z oddalenia decyzji czy rozkazów na losy ludzi, przeżycia bólu, głodu, brudu, strachu, w końcu na skalę strat.

Efekt jest reportażowy. Hastings stworzył opowieść na granicy nauki i literatury, bazującą na bogatej faktografii, jednak nie bez elementów swobodnych interpretacji tez, wyjaśnień odwołujących do stereotypów, psychologicznych klisz – być może uzasadnionych jako potoczny pogląd, lecz trudnych do obrony w podejściu krytycznym. W kilku miejscach stosowane kategorie i poziom uogólnień zyskują wręcz – jak na aktualne standardy – cechy rasistowskie. Trzeba jednak wziąć pod uwagę, że *Wojna koreańska* była pisana cztery dekady temu – wrażliwość społeczna była wówczas inna.

Do warstwy reportażowej można zaliczyć również momenty akcji. Są to przede wszystkim wspomnienia walk, doświadczeń frontowych – zazwyczaj ciężkich, tragicznych, a także groteskowych, np. wtedy, gdy okazuje się, że rekruci nie potrafią obsługiwać broni i stale odnoszą obrażenia podczas ćwiczeń, np. z granatami. Zabawne epizody zdarzały się, paradoksalnie, wśród jeńców – po odkryciu pól marihuany na zboczach gór otaczających obozy.

W relacjach przeważają jednak chaos, panika, poczucie osaczenia i braku oparcia w dowódcach, często niedoświadczonych, bez podstawowych umiejętności taktycznych, co skutkowało rejteradami z pola walki oraz stratami ludzi i sprzętu – możliwymi do uniknięcia podczas dobrze prowadzonych manewrów. Kilka przykładów udanego odwrotu czy obrony w skrajnie niesprzyjających warunkach daje pojęcie o wadze kompetencji dowódców i przeszkolenia żołnierzy oraz morale czy stosunków międzyludzkich, przekładających się na zaufanie i zdolność utrzy-

mania porządku mimo strachu. A ten okazał się potężną bronią, zwłaszcza po włączeniu się do wojny Chin w grudniu 1950 roku, kiedy wojska niedawno broniące Południa dotarły do ich granic na rzece Jalu.

Wojna rozpoczęła się niecałe pół roku wcześniej, 25 czerwca o świcie, niespodziewaną inwazją wojsk Korei Północnej poza 38. równoleżnik oddzielający ją od Korei Południowej. Dwa dni później siły komunistyczne zajęły Seul, a po miesiącu zepchnęły w róg półwyspu resztki Armii Republiki Korei i wspierające ją oddziały, głównie amerykańskie, pospiesznie wysyłane z Japonii w ramach misji NZ.

Dzięki słynnemu, z pozoru nieuzasadnionemu, desantowi głęboko na tyłach frontu – w Inczonie koło Seulu – udało się ocalić prawie otoczone oddziały NZ i ARK, wprawiając w popłoch tym razem komunistów. Po niespełna trzech tygodniach, pod koniec września 1950 roku, front wrócił na 38. równoleżnik. Tutaj, na fali powszechnej euforii oraz wobec uległości władz cywilnych i sztabu, dowodzący siłami NZ generał MacArthur praktycznie samowolnie podjął decyzję przesadzającą o rozwoju konfliktu – pewny opanowania całej Korei, zarządził marsz na północ.

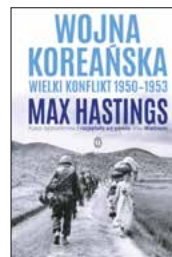
W opowieści Hastingsa okazuje się, że losami wojny kierują buta i ambicje jednostek, „władców” przekonanych o swoim geniuszu bądź misji, niezdolnych dostrzec faktów czy dokonać realistycznej oceny, albo zwykła ignorancja, lekceważenie dyplomacji i wywiadu (skądinąd 20-krotnie uboższego w początkach wojny niż pod koniec) na rzecz poglądów dominujących w otoczeniu, z nim okazało się, że są błędne, a toczona wojna jest „niesłuszną”, „nie z tym przeciwnikiem”.

Fatalne skutki decyzji MacArthura były do przewidzenia, a nawet oczywiste, o czym świadczą listy dyplomatów i oficerów zaangażowanych państw. Jednak niedługo później taki sam błąd popełnili Chińczycy – po wyparciu spod granic wojsk Południa, zaskoczonych i przerażonych „nieskończonymi hordami” ludzkich fal, pewny sukcesu Mao wymógł dalszy pochód armii.

Po kolejnym powrocie linii frontu na 38. równoleżnik w czerwcu 1951 roku (gdzie pozostaje do dziś) przez dwa lata trwały negocjacje, z początku pozorowane przez komunistów, by zyskać czas na budowę umocnień, później wykorzystywane w walce informacyjnej. Równolegle toczyła się „wojna plutonowych”, przynosząca tysiące strat w walkach o przechodzące z rąk do rąk pagórki.

Wszystko to składało się na „nowy rodzaj wojny” – zderzenie diametralnie różnych armii i kultur, ogólnie ograniczonych środków walki przy rosnącym znaczeniu propagandy, wizerunku poza granicami konfliktu oraz moralnej ambiwalencji bez jasnego celu, sensu walk i ofiar.

Max Hastings,
Wojna koreańska 1950–1953,
Wydawnictwo Literackie,
Kraków 2024



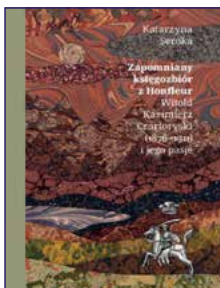
Maciej Janowski

CZTERY SPRAWY NIEZNANE I JEDNA BARDZO ZNANA

Jednym ze słabo znanych okresów z historii Gdańska jest pierwsza połowa XIX wieku. W drugiej połowie XVIII stulecia miasto powoli traciło potężną niegdyś pozycję, a w czasie wojen napoleońskich doznało poważnych zniszczeń. Rozwój nastąpił dopiero w drugiej połowie XIX wieku. Z architektury pierwszej połowy stulecia zostało niewiele, bo liczne budynki zostały zastąpione potężnymi kamienicami czasów wilhelmińskich, a tych zniszczonych w 1945 roku nie odbudowano, bo nie były uważane za zabytki. Dlatego raczej na materiałach archiwalnych niż na zachowanych budowlach bazować musi odtworzenie miasta tamtej epoki, jakiego podjęła się **Magdalena Staręga, *Uśpione miasto. Gdańsk i jego architektura w latach 1793–1862*, Gdańsk 2025, Słowo/obraz terytoria, s. 400.** Autorka bada budownictwo publiczne, cywilne i wojskowe, świątynie i domy mieszkalne, kreśli linie ewolucji różnych form architektonicznych. Bardzo bogaty (i dobrej jakości graficznej) materiał ilustracyjny tworzą plany budynków, archiwalne i współczesne zdjęcia tych zabytków, które mimo wszystko się zachowały.

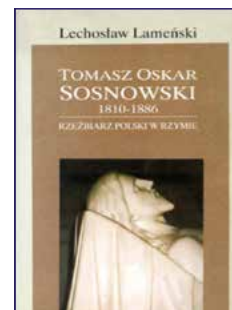


Postać zupełnie nieznaną (ja w każdym razie nie miałem pojęcia o jego istnieniu) jest książę Witold Kazimierz Czartoryski, wnuk Adama Jerzego i syn Władysława. Żył krótko (1876–1911), nie działał w polityce. Pozostawał na granicy kultury polskiej i francuskiej, a zasłużył się tym, że zebrał bibliotekę liczącą ok. 25 tys. tomów – przemysłaną, poświęconą problematyce humanistycznej. Bibliotece tej oraz postaci jej założyciela książkę poświęciła **Katarzyna Seroka, *Zapomniany księgozbiór z Hontfleur. Witold Kazimierz Czartoryski (1876–1911) i jego pasje*, Warszawa 2024, Wydawnictwa Naukowe i Edukacyjne Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, s. 524.** Przedstawia ona sylwetkę księcia na szerokim tle je-



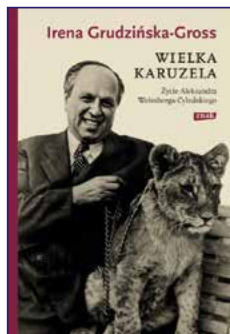
go rodziny i przyjaciół, omawia też finansowe podstawy jego fortuny, a także szczegółowo analizuje zawartość biblioteki. Po śmierci Czartoryskiego jego zbiór został przekazany do biblioteki Uniwersytetu Lwowskiego, gdzie znajduje się do dziś, przetrwawszy szczęśliwie drugą wojnę światową i wszystkie dziejowe zawieruchy.

O tym, że następna książka również traktuje o postaci nieznanej, dowiadujemy się już z tytułu: **Lechosław Lameński, *Nie znali go wcale. Tomasz Oskar Sosnowski, polski rzeźbiarz w dziewiętnastowiecznym Rzymie*, Warszawa 2024, Polonika, s. 566.** Rzeźbiarz Tomasz Oskar Sosnowski (nie mylić z o wiele bardziej znanym architektem Oskarem Sosnowskim) był zamożnym ziemianinem z Wołynia, który dużą część życia spędził w Rzymie, kupował marmur kararyjski i rzeźbił, a swymi dziełami obdarowywał przyjaciół – będąc bowiem niezależny finansowo, nie musiał żyć ze sprzedaży swych prac. Nie był twórcą wybitnym, ale warsztatowo poprawnym. Jego dwa dzieła mogą być znane osobom interesującym się zabytkami Warszawy i Krakowa: figura Tadeusza Czackiego w warszawskim kościele Wizytek i księdza Piotra Skargi w krakowskim kościele św. Piotra i Pawła. Książka, ciekawie napisana i bardzo solidnie udokumentowana, przez pryzmat jednego artysty pokazuje szersze zjawiska kultury XIX wieku: gusty artystyczne, kierunki wpływów kulturowych, rozwój krytyki artystycznej jako zjawiska społecznego, mechanizmy rozpowszechniania dzieł sztuki w społeczeństwie. Praca zdecydowanie zasługuje na uwagę nie tylko historyków sztuki.



A oto kolejny nieznaną: praca Ireny Grudzińskiej-Gross (autorki m.in. bardzo dobrej książki o Tocqueville'u, Cuscinie i Mickiewiczu) ukazuje nam postać może nie bardzo wybitną, ale ciekawą i w pewien sposób uosabiającą dużą część historii XX wieku (**Irena Grudzińska-Gross, *Wielka karuzela. Życie Aleksandra Weissberga-Cybulskiego*, Kraków 2025, Znak, s. 444**). Weissberg-Cybulski pochodził z żydowskiej rodziny krakowskiej, a potem wie-

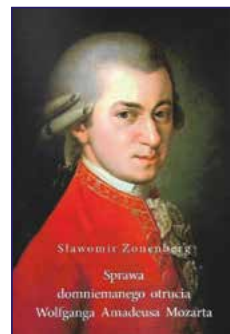
deńskiej. Ukończył w Wiedniu fizykę i przeniósł się do Berlina, działał w partii komunistycznej i pod koniec lat dwudziestych XX wieku wyjechał do ZSRR – „ojczyzny światowego proletariatu”, jak określała ów kraj komunistyczna propaganda. Dalej było typowo: po kilku latach pracy w instytucie fizycznym nastąpiło aresztowanie, śledztwo, tortury, całkowicie absurdalne oskarżenia o wszelkie możliwe zbrodnie i wreszcie łagier. Po paru latach, w 1940 roku, został przekazany przez NKWD w ręce Gestapo. To, jak przeżył okupację, stanowi materiał na film czy powieść.



Po wojnie współpracował z Jerzym Giedroyciem i „Kulturą”, napisał książkę *Wielka czystka* – próbę analizy systemu łagrowego porównywalną z *Innym światem* Herlinga-Grudzińskiego, choć odeń odmienną. A miał jeszcze talent do robienia pieniędzy, namiętność do hazardu... Wszystko to zostało świetnie opisane, z sympatią i krytycyzmem, a także z szerszą refleksją o losie jednostki w totalitarnych reżimach.

Po tych wszystkich nieznanach postaciach bohater doskonale znany wszystkim. Czy Salieri naprawdę otruił Mozarta? Czy genialny kompozytor zmarł z przyczyn naturalnych? A może otruił go zupełnie ktoś inny? Bardzo

obszerna i szczegółowa praca **Sławomira Zonenberga** *Sprawa domniemanego otrucia Wolfganga Amadeusa Mozarta, Toruń 2025, Towarzystwo Naukowe w Toruniu, s. 820*, śledzi różne, mniej lub bardziej absurdalne, teorie o śmierci Mozarta. Autor referuje, a także analizuje, stara się dociec, czy i na ile dana teoria zgadza się ze znanymi faktami, na ile jest wewnętrznie spójna, jak została przyjęta przez innych badaczy. To, że Salieri na pewno nie zabił Mozarta, jest w świetle tej pracy całkowicie oczywiste. Żadna inna teoria o gwałtownej śmierci również nie ma mocnych podstaw i Zonenberg deklaruje w posłowniu, że jego zdaniem nie ma żadnych powodów, by przyjąć tezę o morderstwie kompozytora. Książka jest ciekawa dla miłośników Mozarta, a także zainteresowanych tematem niestety coraz bardziej aktualnym, tzn. teoriami spiskowymi w historii. Autor pokazuje bowiem, że niektóre teorie dotyczące zabójstwa Mozarta są dość poważne (choć najprawdopodobniej błędne), inne natomiast całkowicie wysane z palca, bez żadnego osadzenia w faktach, prawdopodobieństwie psychologicznym, wiedzy o epoce – a jednak kwitną i ciągle znajdują zwolenników.



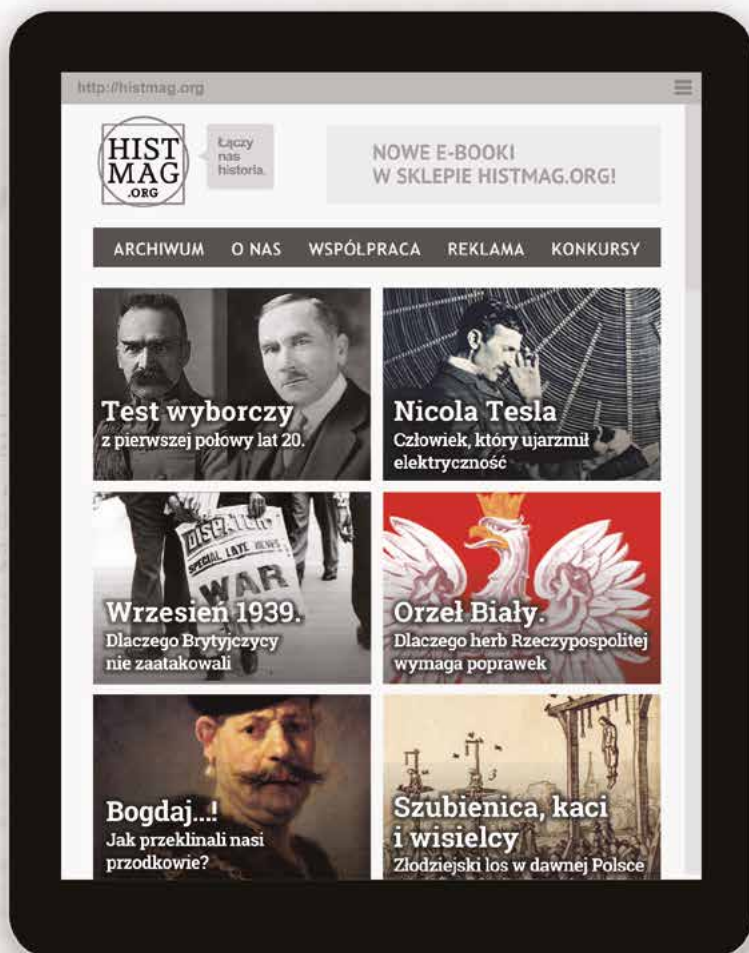
R E K L A M A

Najbardziej merytoryczny magazyn historyczny w Internecie

Histmag.org to najświeższe newsy, rzetelne artykuły popularnonaukowe, wnikliwe recenzje i zajmująca publicystyka. Wszystko co najlepsze w papierowych czasopismach, dzięki nam znajdziesz także online. Całkowicie za darmo!



Łączy nas historia!
www.histmag.org



Maria Kuchta

Zadłużenie i kryzys gospodarczy lat trzydziestych XX wieku oczami chłopów

Ledwo Polska ponownie pojawiła się na mapach Europy w 1918 roku, a już musiała się zmagać nie tylko z licznymi trudnościami związanymi z utrzymaniem suwerenności, lecz także z głębokim kryzysem. Sytuacja ta odcisnęła piętno na życiu codziennym chłopów, co często relacjonowali w swoich wspomnieniach.

Przyczyn kryzysu było wiele, m.in. wysoka inflacja. Wobec ciągłego spadku wartości pieniądza trudno było oszczędzać, a miernikiem wartości stał się korzec żyta. Chłop z Rzeszowskiego wspominał, jak udało mu się zarobić bająską sumę 25 000 000 marek polskich. Lecz co za to kupiłem? Za ledwie kapelusz, rękawiczki i parę drobnych sprzętów żonie do kuchni. W innym miejscu czytamy o sytuacji kobiety, która poszła na służbę do miasta, a wala tak leciała, że za to, com się zgodzi-

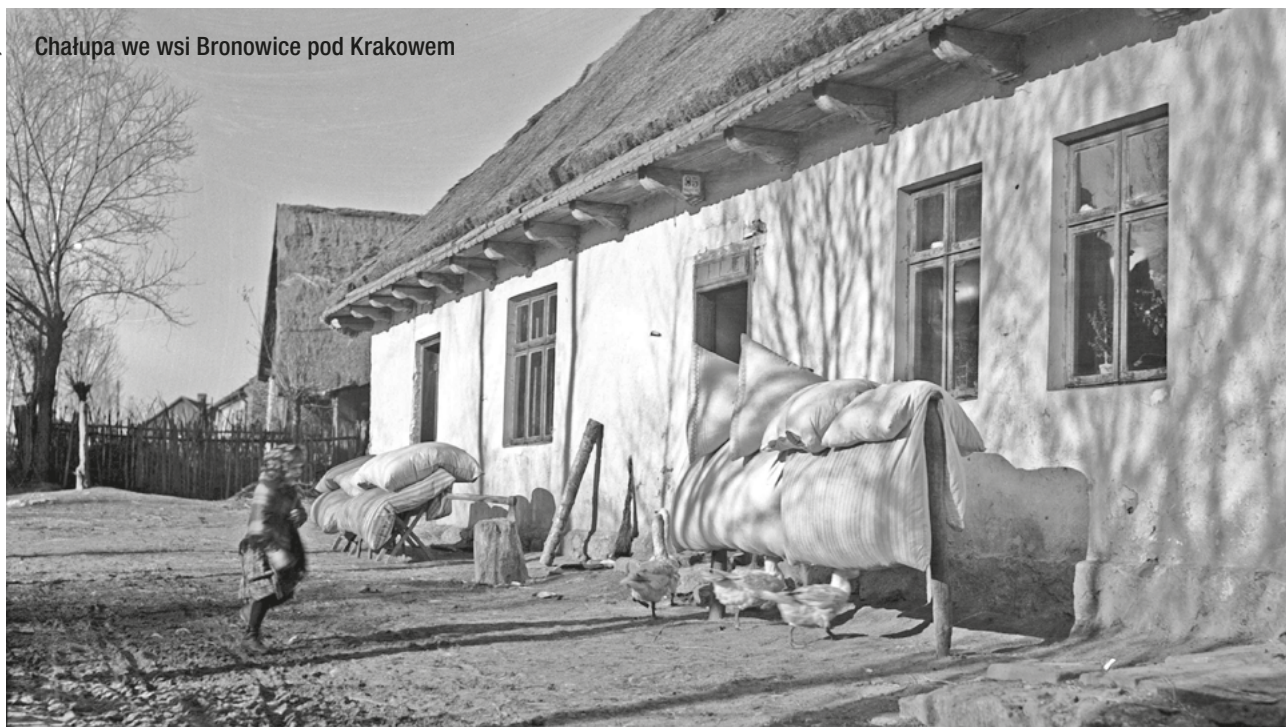
ła, to ledwo się przyokryć mogłam, gdy mi przy końcu roku wypłacili.

W 1924 roku w miejsce marki polskiej wprowadzono złotówkę. To również znalazło odbicie w chłopskich wspomnieniach: *Przyszedt rząd polski, a z nim zmiana pieniądza. Nie straciłem nic wtedy i nie zarobiłem, bo nie miałem pieniędzy. Lecz wiele osób znajomych straciło na tym sporo, a jeszcze więcej przez krzywdę ludzką doszło do majątku. Pożyczał np. ktoś pieniędzy, kupił ziemi, to potem oddał za 10 kur w wartości kilku móg ziemi.*

PRZELUDNIENIE WSI I ŻYCIE NA KREDYT

Wieś zmagala się również z ogromnym przeludnieniem. Na niewielkich arealach gospodarzyły rodziny z licznym potomstwem, a podział ojcowizny między rodzeństwo dodatkowo uszczuplał posiadane grunty. Ci, którzy zgarnęli całość ziemi, musieli utrzymać z niej rodzinę, spłacić rodzeństwo, a często jeszcze utrzymywać to rodzeństwo przynajmniej

Chałupa we wsi Bronowice pod Krakowem



do jego zamążpójścia bądź ożenku. Głód ziemi miała zaspokoić wprowadzona w 1925 roku reforma rolna polegająca na rozparcelowaniu części majątków ziemskich. Jeśli chłopci nie mieli za co jej kupić, brali pożyczki i kredyty. Pieniądze często pożyczano od bogatszych gospodarzy, rodziny z Ameryki itp. Pod koniec lat dwudziestych XX wieku różne instytucje oferowały kredyty, z czego wieś korzystała chętnie.

Życie na kredyt opisywał chłop z Białostockiego: *A kredyt stał się [...] dziwnie łatwy do uzyskania. Wieś zaroiła się wprost od agentów, spryciarzy podróżujących i rozwożących wprost po domach różne towary i wszystko sprzedawano na kredyt. [...] A czegoż się wtedy nie kupowało na kredyt? Drzewo z lasów państwowych i nawozy sztuczne [...], a potem zboże siewne i pasze treściwe, maszyny do szycia, obrazy świętych, materiały ubraniowe, rowery i jednym słowem wszystkie potrzebne i niepotrzebne rzeczy. Wystarczyło tylko podpisać weksel. A gdy przyszedł termin wykupienia weksla, zaciągało się nową pożyczkę [...] to zawsze większą, by po wykupieniu weksla jeszcze się trochę gotówki zostało [...].*

Splata pożyczek i kredytów była możliwa, ale do czasu.

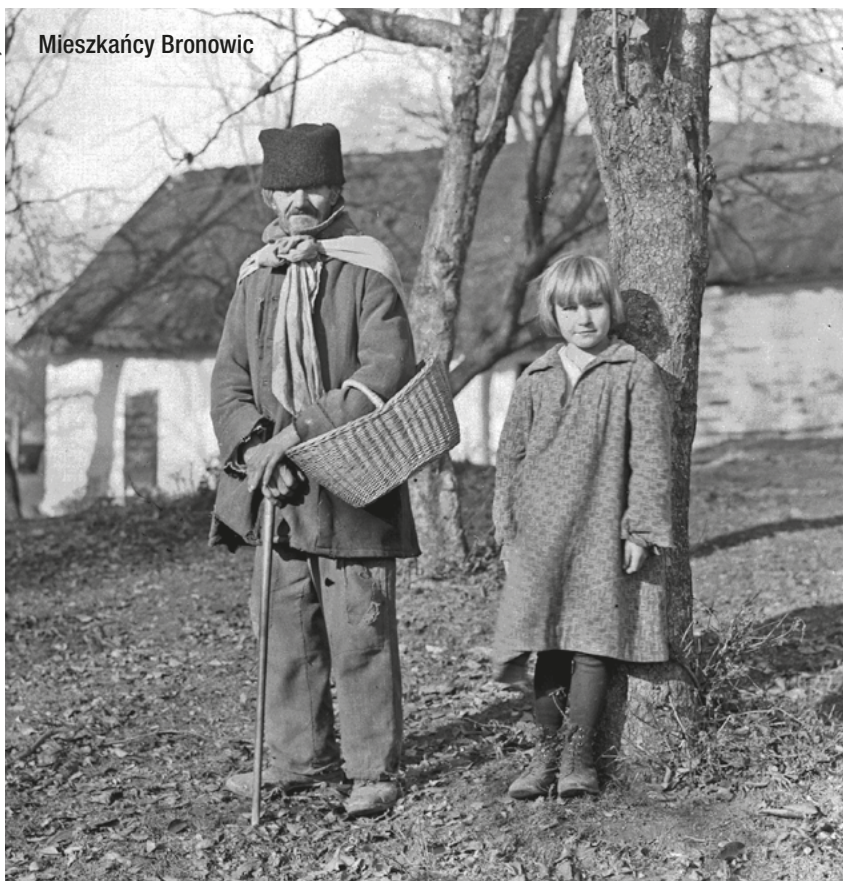
KRYZYS GOSPODARCZY

W roku 1930 gospodarka załamała się, co było odczuwalne również w kolejnych latach: *Roki 1931 i 1932 były coraz gorsze – pisał chłop z Krakowskiego. Ten tak zwany „kryzys” (który moim zdaniem powinien się nazywać wyzysk albo rabunek) coraz gorzej dokuczał.*

Na wsi kryzys dotknął wszystkich warstw, od bezrolnych przez małorolnych, rzemieślników wiejskich po bogatych gospodarzy. Ci ostatni, aby oszczędzić w dobie kryzysu, byli zmuszeni do rezygnacji z dodatkowej siły roboczej, jaką terminowo zatrudniali np. w okresie żniw czy omłotów. Pogorszyło to sytuację materialną bezrolnych i małorolnych, którzy zostali pozbawieni źródła dochodu. Chwymano się każdej sposobności do zarobku. Szukano zatrudnienia w miastach, przy terminowych pra-

Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Mieszkańcy Bronowic



cach, takich jak budowy dróg, praca w lesie czy w majątkach ziemiańskich. Rynek pracodawcy powodował, że pracownikom z roku na rok płacono się coraz mniej. Chętnych do pracy było jednak sporo. *Zdarzyło się raz w czasie żniwnym, że pewna grupa robotników zażądała podwyższenia płacy do wysokości 1,20 zł i zagrozili strajkiem. Wyśmiano się z nich. Nie pójdziecie wy, to przyjdą inni. I rzeczywiście przyszli i pracowali za 1 zł – relacjonował chłop z Rzeszowskiego.*

Ponieważ wynagrodzenie było niskie, pojawiły się problemy ze splatą zaciągniętych pożyczek i kredytów, rodzeństwa oraz regulacją innych opłat narzucanych przez państwo.

PODATKI, OPŁATY I INNE PROBLEMY

Chłopi skarżyli się na wysokie opłaty i podatki, chociaż rozumieli potrzebę ich płacenia. Opisywali, jak na każdym kroku trzeba za coś płacić: *Ja pamiętam, jak ojciec robił podział między swoich braci i siostry i opłacał, później odkupił część tego gruntu i znowu opłacił, następnie ojciec pomarł i my znowu opłacamy, teraz odkupiłem od brata i znowu płacę [...].*

Wysokie jak na chłopskie realia były również opłaty na ubezpieczenie ogniowe, opłaty pocztowe, koszty melioracji i komasacji gruntów. Podatków rolnych nie umarzano ani nie zmniejszano ich wymiarów, nawet w przypadku całkowitego zniszczenia upraw przez ulewne deszcze czy gradobicie. Wielu gospodarzy wspominało, że ze względu na wysokie daniny o radiu mogli tylko pomarzyć, a gazet kupowano coraz mniej, często na spółkę z sąsiadem. Dużym obciążeniem były koszty związane z pomocą materialną udzielaną żebrzącym. Co pewien czas dochodziły opłaty u księdza, również wysokie. Wymieniał je chłop z Łódzkiego: za pogrzeb – 35 zł (co równało się 35 dniówkom pracy we dworze), za zapowiedzi ślubne – 10 zł, za ślub – 60 zł.

Pewne dochody przynosiła gospodarzom sprzedaż płodów rolnych. Nikomu jednak nie pozwoliły one wygrzebać się z długów. Ich wartość bowiem malała, a produkcja często stawała się nieopłacalna. Żywiec osiągał niskie ceny, zwłaszcza w porównaniu z nakładem pracy i ilością zużytego zboża do jego wykarmienia. Mimo że cena była niska, wię-

Żniwa



ska ludność mięso w kuchni widywała od święta. Gospodarze woleli je sprzedać, by zarobić. Oprócz inwentarza żywego na sprzedaż szło mleko, jajka i masło. Ich cena także szybko spadała. Gospodarz z Łódzkiego wspominał: *Pożyzyłem w Komunalnej Kasie Oszczędności na pół krowy, wtenczas krowa kosztowała 700 zł, a ja pożyczyłem 300, a dzisiaj u nas krowa kosztuje 50 zł, więc ja pożyczyłem na pół, a oddaję za sześć krów [...] a z procentem razem za siedem krów ja muszę oddać.*

Ceny produktów rolnych malały, a produktów przemysłowych – rosły. Gospodarze źle mówili o kartelach dyktujących wysoką cenę, która często była zbyt wygórowana dla przeciętnego chłopca. Wśród tych dóbr wymieniano najczęściej: sól, naftę, zapalniczki, węgiel, cukier, tytoń, nawozy sztuczne, drzewo, cement, żelazo i wyroby włókiennicze. Na tych produktach również próbowano oszczędzać.

Cukier, nafta, zapalniczki, węgiel i w ogóle wszystko, co kupujemy, jest za drogie i każdy ogranicza się z kupnem tych artykułów do ostateczności – pisał gospodarz z Poznańskiego. Z tych drogich – dla chłopów – dóbr rezygnowano całkowicie, kupowano sporadycznie albo zastępowano je: *Nie ma na sól, zamiast*

zapalek używamy krzesiwa, zamiast cukru ludzie kupują sacharynę i gotują herbatę z liścia lipowego. Monopol jest za drogi, to na wesela robią samogonkę [...], na mydło nie ma pieniędzy, to ludzie muszą pracować w ługu, lamp mało używamy, tylko małe kaganki, żeby mniej nafty wychodziło.

Syn chłopski z Wielkopolski po latach wspominał życie przed wojną: *W wielu gospodarstwach oszczędzano na jedzeniu. Dotyczyło to przede wszystkim mleka od krów i mięsa. Mleko [...] można było sprzedać [...] i na bieżące wydatki były pieniądze. Przykre dla dzieci było to, że musiały doić krowy, a nie mogły się napić mleka – przynajmniej tyle, ile by chciały.*

SEKWESTRATOR PUKA

Zadłużenie chłopów rosło, a możliwości spłaty zadłużeń nie było. Dług niektórych przekraczał nawet wartość ich ziemi i budynków. Dlatego, z reguły po żniwach, do chłopskiej chaty zaglądał sekwestrator – urzędnik państwowy egzekwujący zaległe podatki i opłaty. Pojawiał się w towarzystwie komornika, który licytował zajmowane mienie, oraz sołtysa, który najczęściej zapowiadał ich wizytę i przynosił upomnienia o zapłatę.

Niemal każdy z autorów prac konkursowych opublikowanych w *Pamiętnikach chłopów* wspominał wizyty sekwestratorów. Początkowo widywano ich sporadycznie, z czasem coraz częściej. W ramach spłaty zadłużenia sekwestrator zabierał chłopom to, co można było spieniężyć, czyli m.in. krowy, świnie, cielęta, zboże, sprzęty gospodarskie, meble, zegarki, pierzyny, ubrania i inne. *Zdarzyło się, że sekwestrator, nie mając co zabrać, wyciągnął poduszkę spod głowy umierającej kobiety, której głowa głucho stuknęła o deski posłania* – czytamy we wspomnieniach.

Urzędnik często zjawiał się w towarzystwie policjanta (lub policjantów), aby konfiskata mienia przebiegała sprawniej. Wśród zadłużonych mieszkańców wsi byli tacy, którzy stawiali opór, bądź – wiedząc o przybyciu urzędnika – chowali cenniejsze rzeczy. Jeden z gospodarzy wspominał historię ze wsi w Kieleckim, kiedy to sekwestrator za długi zamierzał zabrać jednej z rodzin krowę. Wówczas gospodyni zabarykadowała się w chlewie razem ze zwierzęciem, nie zamierzając go oddać: *sekwestrator dawał pięć złotych, a żeby się nałósł w taki i drzwi porobił. Nik się taki nie nałósł, prosili policyjko, aby uni to zrobili, ale uni*

tyż nie chcieli drzewi rozbać [...]. Zmarowali prawie pół dnia i nic nie zabrali, musieli odyńś bez nicęgij. Wsiowi chłopki z opłotów zacyni wrygać bryłami i kamieniami za nimi.

Zdarzało się, że sekwestrator nie miał czego zabrać albo niektóre rzeczy, które chciał zlicytować, były w tak kiepskim stanie, że nie miał ich kto kupić. Wówczas wystawiał akt ubóstwa, ale upomnienia o spłatę długów przysyłało nadal.

Bywało też, że zajmowano mienie nie tylko osoby zadłużonej, lecz także jej rodziny – zwłaszcza gdy mieszkali pod jednym dachem. Nie były to odosobnione przypadki. Poszkodowani mogli dochodzić swoich praw w urzędzie, ale nie zawsze sprawa była załatwiana pomyślnie.

Wizyta sekwestratora była traumą: *Zajrzeć do mieszkania po wyjściu pana sekwestratora, żal człowieka ogarnia i lży same cisną się do oczu. W kącie cicho płacze dziecko kilkoletnie, gospodyni chodzi, zawodząc jak po pogrzebie, a za spódnice trzyma się jej mała córeczka, która krzyczy na cały głos, nie wiedząc, co się stało, że matula tak płacze. W kącie izby stoi łóżko, na którym sterczy słoma, bo sekwestrator zabrał poduszki i koc, gospodarz chodzi smutny, bo żal mu krowy – wspominano.*

Problem zadłużenia był na wsi powszechny. Zdarzały się wsie, w których tylko pojedynczy gospodarze nie mieli żadnych długów. Z poczucia bezradności jeden z chłopów pisał: *Możecie zabrać nam wszystko i dajta nam te dziadowskie torby zawcasu, póki mamy jeszcze trochę siły do noszenia, żebyście nas nie dożywiali jakimś ochłapem, co komu z nosa spadnie.*

NA ŻEBRY

Rzeczywiście, ci najbiedniejsi z biednych chodzili po prośbie od domu do domu. Zdarzało się, że najubożsi – zwłaszcza na przednówku – po kryjomu wyjeżdżali do odleglejszych wsi i chodzili żebrać: *Bywają takie dni, że przez wieś przechodzi dziennie 3–4 żebraków zbierających paszę, a chociaż nie są pogorzalcami, to mówią, że są nimi [...].* Wspominano także o ofiarności ludzi: *W naszym domu przestrzegano, aby proszący o jałmużnę nie odszedł*

Dojenie krowy



z przysłowiowym kwitkiem [...]. Kiedy taki ktoś przychodził w czasie konsumowania obiadu czy podwieczorku, to był zapraszany do stołu. Pamiętam taką sytuację, kiedy przyszedł człowiek po prośbie i matka powiedziała – „O Boże, to już dzisiaj dziesiąty!”.

Gospodarz z Poznańskiego wspominał, że najczęściej włóczęgów z prośbą o wsparcie przychodziło z byłego zaboru rosyjskiego. Było ich wielu: *Ostatnie lata zmuszały nas do udzielania około 400 wsparć rocznie. Były dni, że po ośmiu ubogich przychodziło do naszych domów w jeden dzień. [...] Ci ubodzy stale nas odwiedzają i pobierają znaczną dla nas daninę, bo zliczyć wszystkie wsparcia, które im się udziela, a zbierze się poważna sumka.*

SKUTKI UBÓSTWA

Konsekwencje kryzysu gospodarczego, inflacji, zadłużenia społeczeństwa i jego ubożenia były rozmaite. Wycieńczenie organizmu z powodu złego odżywiania się czy braków w odzieży prowadziło do chorób, m.in. gruźlicy, było też przyczyną wysokiej śmiertelności, zwłaszcza wśród dzieci i kobiet w połogu. Brak środków finansowych uniemożliwiał bądź znacznie ograniczał korzystanie z usług lekarzy oraz z leczenia farmakologicznego. Z dużymi wyrzeczeniami rodziny wiązała

się edukacja dzieci, najczęściej kończąca się na etapie podstawowym, nawet gdy dziecko przejawiało zdolności do nauki.

Ciężka sytuacja wpłynęła na stan rolnictwa, utrudniając modernizację gospodarstw, naprawę budynków gospodarczych, zakup dodatkowego inwentarza czy podnoszenie kwalifikacji rolniczych poprzez kursy, fachową prasę i książki. Jedno wydarzenie pociągało za sobą kolejne. Sprzedaż krowy – nazywanej wówczas żywicielką rodziny – bądź jej zabranie przez sekwestratora wiązało się z odcięciem od źródła zarobkowania (sprzedaż mleka, serów, masła), a także pozbawiało gospodarstwo obornika pod uprawę np. ziemniaków. Jego brak lub niedostateczna ilość prowadziły do wyjąławiania ziemi i zmniejszenia ilości plonów, a to z kolei – do braku możliwości hodowania trzody chlewnej na sprzedaż, którą również trzeba było z tych plonów wyżywić. I tu koło się zamykało, a perspektyw na poprawę sytuacji nie było widać. ■

WARTO PRZECZYTAĆ:

Pamiętniki chłopów, Warszawa 1935

J. Chałasiński, *Młode pokolenie chłopów*, t. I, Warszawa 1938

Z. Urbaniak, *Smak życia*, Piła 2008

MARIA KUCHTA, historyk, pracownik Muzeum Kultury Ludowej w Osieku nad Notecią – oddział Muzeum Okręgowego w Pile

Polityka gospodarcza sanacji

Gospodarka polska pod rządami sanacji przeżyła trzy wyraźnie różniące się okresy. W latach 1926–1929 panowała dobra koniunktura, lata 1930–1935 to czas wielkiego kryzysu, a okres 1936–1939 – epoka interwencjonizmu państwowego. Niezależnie od wahań koniunktury da się jednak zauważyć stałe elementy polityki gospodarczej rządzących.

Historyczne szczęście sanacji polegało na tym, że objęła ona władzę, gdy koniunktura gospodarcza poprawiała się – w 1926 roku zakończył się kryzys poinflacyjny. Program stabilizacyjny rządu Aleksandra Skrzyńskiego (działał od listopada 1925 do początku maja 1926 roku) stworzył podstawy do osiągnięcia równowagi budżetowej. Kurs złotego, który przeżył gwałtowne załamanie w 1925 roku, został ustabilizowany i nie osłabiły go nawet dramatyczne wydarzenia zama-

chu majowego. Spadek wartości waluty ułatwił eksport i poprawił bilans handlowy. Strajk brytyjskich górników wiosną 1926 roku otworzył przed Polską nowe rynki eksportowe (głównie w państwach skandynawskich) i sprawił, że Niemcy nie osiągnęli celów, które sobie stawiali, wszczynając z Polską wojnę celną w 1925 roku. Na korzyść Rzeczypospolitej zmieniła się też sytuacja międzynarodowa. Rok wcześniej w Locarno mocarstwa zachodnie były gotowe do ustępstw wobec Niemiec.

Radziecko-niemiecki układ z kwietnia 1926 roku rozczarował je jednak i zaczęły życzliwiej patrzeć na Polskę. Wszystkie te zmiany nie były zasługą nowej ekipy, ale mogła je ona zapisać na swoje konto.

PRÓBY MODERNIZACJI (1926–1929)

W pierwszych miesiącach po zamachu majowym kontynuowano politykę gospodarczą poprzednich rządów, której głównymi celami były stabili-

Członkowie rządu i generalicja podczas składania życzeń urodzinowych prezydentowi Ignacemu Mościckiemu, na pierwszym planie pośrodku widoczni Gabriel Czechowicz (trzeci z prawej), minister skarbu w latach 1926–1928, oraz Eugeniusz Kwiatkowski (czwarty z prawej), wicepremier oraz minister skarbu w latach 1935–1939



Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

zacja waluty i osiągnięcie równowagi budżetowej. W Polsce przebywała wówczas misja zagranicznych doradców ekonomicznych pod przewodnictwem Edwina W. Kemmerera – właśnie na jego wskazówkach bazował program gospodarczy rządu, ogłoszony w listopadzie 1926 roku przez ministra skarbu Gabriela Czechowicza. W październiku 1927 roku amerykańskie banki udzieliły Polsce pożyczki w wysokości 62 mln dol. i 2 mln funtów. 80 proc. uzyskanych środków przeznaczono na stabilizację waluty, a 20 proc. – na cele gospodarcze. Złoty został zdewaluowany o 42 proc. w stosunku do parytetu z 1924 roku, jego kurs wynosił 8,91 zł za 1 dol. (po dewaluacji dolara w 1934 roku powrócił prawie dokładnie do dawnej relacji – 5,20 zł za dolara). Emisja pieniądza w trzech czwartych miała być pokryta złotem. Z obiegu wycofano też bilety skarbowe, którymi Władysław Grabski ratował budżet podczas kryzysu 1925 roku. Kapitał Banku Polskiego podwyższono ze 100 do 150 mln zł. Po stabilizacji pokrycie złotego wynosiło 72 proc., co czyniło polską walutę jedną z najmocniejszych w Europie.

Pożyczkę stabilizacyjną można było wykorzystać na dwa sposoby: aby znacznie poszerzyć obieg pieniężny, zachowując jego dotychczasowe zasady, lub wzmocnić pieniądz, utrzymując dotychczasowe rozmiary obiegu. Wybrano drugie rozwiązanie, co miało poważne konsekwencje. Szerzy obieg pieniężny wzmocniłby mobilność społeczną i otworzył możliwości awansu, tymczasem silny, ale trudno dostępny pieniądz petryfikował strukturę społeczną. Efekt deflacyjny (politykę tzw. trudnego pieniądza) wzmacniało tworzenia rezerw budżetowych.

ROLNICTWO CZY INDUSTRIALIZACJA?

W sferze politycznej Piłsudski, dokonując – według jego własnego określenia – „rewolucji bez rewolucyjnych konsekwencji”, zamierzał zbudować silną, konkurencyjną wobec endecji prawicę i odebrać narodowcom prawicowy elektorat. Porozumiał się z konserwatywnymi środowiskami ziemiań-

Fot. National Archives and Records Administration



skimi, które zamierzał „galwanizować”. Ofiarą ugody padła reforma rolna. Ustawa z 1925 roku przewidywała dobrowolną (za pełnym odszkodowaniem) parcelację 200 tys. ha rocznie. Gdyby ta norma nie została wykonana, do akcji powinien wkroczyć rząd i „doparcelować” brakujące hektary. Piłsudski obiecał konserwatystom, że przymusowej parcelacji nie będzie, i obietnica ta została dotrzymana.

Nie został natomiast uwzględniony inny postulat środowisk konserwatywnych – że Polska powinna pozostać przede wszystkim krajem rolniczym, nastawionym na eksport artykułów rolnych. Brzmiał on anachronicznie, wyraźnie nawiązując do tradycji dawnej Rzeczypospolitej. W tamtym momencie nie był jednak całkowicie pozbawiony sensu. W 1927 roku obradowała w Genewie europejska konferencja ekonomiczna. Rozważano na niej pomysł integracji gospodarczej kontynentu bazującej na tym, że uprzemysłowiona Europa Zachodnia stałaby się rynkiem zbytu dla rolnictwa Europy Wschodniej. W praktyce wymagałoby to jednak zamknięcia rynków zachodnioeuropejskich przed importem rolnym z Ameryki, a Europa nie była gotowa iść na wojnę celną ze Stanami Zjednoczonymi. Również w polskich kręgach rządo-

wych ostatecznie wzięli górę zwolennicy industrializacji. Symbolem tego kierunku polityki gospodarczej stał się Eugeniusz Kwiatkowski, w latach 1926–1930 minister przemysłu i handlu. To wtedy intensywnie budowano Gdynię, podjęto budowę linii kolejowej Śląsk–Gdynia (tzw. magistrali węglowej), Zakładów Azotowych w Mościskach oraz ośrodków przemysłu spożywczego czy zbrojeniowego. Państwo udzielało ulg podatkowych firmom, które zdecydowały się na inwestowanie w tzw. trójkącie bezpieczeństwa: w widłach Wisły i Sanu. Industrializacja była uważana za główny cel programu modernizacji.

Sanacyjne elity dzielił jeszcze jeden poważny spór gospodarczy – zwolenników etatyzmu, czyli bezpośredniego zaangażowania państwa w gospodarkę, i liberalizmu, czyli pozostawienia obszernego pola aktywności dla kapitału prywatnego. Liberalowie przesadzili o przychylności kolejnych rządów wobec karteli, lansując pogląd, że ograniczenie konkurencji wewnątrz kraju zwiększy szanse na rynkach zagranicznych.

Etatyści w obrębie sanacji byli prężni i dobrze zorganizowani. Tworzyli grupę określaną mianem Pierwszej Brygady Gospodarczej. Jej czołową postacią był Stefan Starzyński, później-



Polskie banknoty o nominałach 10 zł (seria z 1929 roku), 50 zł (seria z 1929 roku) i 100 zł (seria z 1932 roku), fot. Gabinet Numizmatyczny Damian Marciniak



szy bohaterski prezydent Warszawy z 1939 roku. Skutecznym instrumentem oddziaływania państwa na gospodarkę stał się sektor państwowy w bankowości. Składało się na niego kilka instytucji: Bank Gospodarstwa Krajowego (BGK), Poczta Kasa Oszczędności (PKO), Państwowy Bank Rolny (PBR) i utworzona w 1929 roku Powszechna Kasa Opieki SA (PKO SA). Zwłaszcza BGK, kierowany przez gen. Romana Góreckiego, wyrastał na czołowy bank w kraju. Przejmując akcje prywatnych spółek, stopniowo stawał się centralną instytucją potężnego koncernu.

W OBLICZU WIELKIEGO KRYZYSU

W 1929 roku w Stanach Zjednoczonych rozpoczął się kryzys, który przeszedł do historii jako „wielki”. Jego wyjątkowość nie polegała tylko na światowym zasięgu czy tym, że objął wszystkie gałęzie gospodarki. Bezprecedensowa była głębokość załamania gospodarczego. Wcześniejsze kryzysy przynosiły spadek produkcji o 8–12 proc., podczas wielkiego kryzysu pro-

dukcja zmalała aż o 40 proc. Do tego pojawiły się zjawiska, z którymi nie mógł sobie poradzić mechanizm rynkowy. W efekcie w wielu krajach rządy ode-
szły od liberalnej polityki gospodarczej. Modny stał się interwencjonizm państwowy, dokonywała się też etatyzacja poszczególnych gospodarek narodowych. Zarówno handel międzynarodowy, jak i inwestycje kapitałowe poza granicami państw macierzystych skurczyły się. Nasiliły się tendencje autarkiczne, czyli dążenie do samowystarczalności gospodarczej.

Bezpośrednio przed wybuchem wielkiego kryzysu ekonomiści i publicyści głosili pogląd, że kryzys nadprodukcji należy do przeszłości w obliczu rosnącej monopolizacji. Wierzano, że monopoliści, kontrolując podaż, w odpowiednim momencie dostrzegą niebezpieczeństwo nadprodukcji i zmniejszą wytwarzanie konkretnych dóbr. Tak się też stało, tyle że zmniejszyli produkcję zawczasu i na zapas, w stopniu większym, niżby tego dokonał mechanizm rynkowy. Dlatego uniknięto spadku cen artykułów przemysłowych, wystąpił natomiast spadek produkcji oraz bezrobocie, i to znacznie większe niż podczas poprzednich kryzysów. Zmienił się zatem zestaw

objawów kryzysu, ale nie uniknięto samego zjawiska. Kryzys w krajach przemysłowych był bardzo głęboki, choć zarazem dość krótki. Już w 1933 roku zarysowała się poprawa koniunktury.

Niecała gospodarka była jednak zmonopolizowana. Istniał również potężny sektor drobnotowarowy, gdzie pojedynczy producent nie miał wpływu na rozmiary podaży. Klasycznym przykładem takiej gałęzi gospodarki było rolnictwo. Rolnicy mieli zobowiązania finansowe, jak podatki czy raty kredytów. Kryzys nadprodukcji doprowadził do wzrostu wartości pieniądza, dlatego względny ciężar tych zobowiązań wzrósł. Gdy doszło do nadprodukcji w rolnictwie, ceny produktów gwałtownie spadły. Rolnicy, chcąc się wywiązać ze zobowiązań, musieli zwiększać produkcję i sprzedaż swoich wyrobów. Rolnictwo reagowało na spadek cen zwiększeniem podaży. W tym punkcie zawiódł mechanizm rynkowy. To, co robili monopoliści, było brutalne, ale zgodne z logiką rynku: w obawie przed spadkiem cen zmniejszali podaż. Tymczasem rolnicy kierowali się indywidualną racjonalnością, ale z punktu widzenia makroekonomicznego było to działanie samobójcze, oddalające perspektywę wyjścia z kryzysu. Dlatego kryzys w krajach rolniczych charakteryzował się nie tyle spadkiem produkcji, ile spadkiem cen i trwał bardzo długo – do 1935 lub nawet 1936 roku.

Polska została doświadczona podwójnie: kryzys trwał długo, jak w krajach rolniczych, ale spadek produkcji był iście amerykański. To ostatnie zjawisko było przede wszystkim skutkiem wycofywania z Rzeczypospolitej kapitałów zagranicznych, które w warunkach złej koniunktury miały tendencję do „repatriacji”.

PRZECZEKAĆ KRYZYS

W pierwszej połowie lat trzydziestych piłsudzczyści prowadzili tradycyjną politykę gospodarczą oraz deflacyjną politykę walutową. Wynikało to po części z niechęci Piłsudskiego do eksperymentów w tej dziedzinie (Marszałek był przekonany, że silny pieniądz jest wizytówką silnej gospodarki), a po części z przekonania, że kryzys najlepiej przeczekać. Podejmowano jedynie ograniczone działania, zmierzające np. do oddłużenia rolnictwa. Temu celowi miał służyć kolejny bank państwowy – założony w 1933 roku Bank Akceptacyjny SA. Rząd, zaniepokojony rozwarciem nożyc cen na niekorzyść artykułów rolnych, próbował skłonić kartele do obniżenia cen artykułów przemysłowych, jednak niewiele wskórał. Często też wspierał upadające firmy, zastępując wycofujący się kapitał prywatny. W ten sposób rósł koncern BGK i dokonywał się – trochę mimowolnie – proces etatyzacji gospodarki.

Kolejni ministrowie skarbu w czasie kryzysu: Ignacy Matyszewski (1929–1931), Jan Piłsudski (1931–1932) i Władysław Zawadzki (1932–1935), kontynuowali politykę deflacyjną. Polegała ona na utrzymywaniu przedkryzysowego parytetu waluty i jej wymienialności na złoto oraz redukowaniu wydatków budżetowych w miarę malejących wpływów. Była to zatem odwrotność interwencjonizmu. Za polityką taką przemawiały obawy przed nawrotem inflacji i względy prestiżowe, np. pozyskanie kapitału zagranicznego. Z ekonomicznego punktu widzenia obawy przed inflacją były irracjonalne, bowiem kryzys nadprodukcji, polegający na spadku cen, raczej wzmacnia pieniądź. Lęk ten był jednak faktem społecznym, i to nie tylko w Polsce.

W latach dwudziestych wiele europejskich społeczeństw przeżyło szok inflacyjny i pamięć o tym była nadal żywa. Wielka Brytania, która w latach dwudziestych nie doświadczyła inflacji, pierwsza odeszła od wymienialności na złoto i zdewałowała swą walutę w 1931 roku. W ślad za nią zrobiło to kilka innych krajów, które utworzyły blok szterlingowy. Jego przeciwwagą miał być utworzony w 1933 roku złoty blok, skupiający państwa, które nadal wymieniały swą walutę na złoto: Francję, Belgię, Holandię, Szwajcarię, Włochy i Polskę. W ich orbicie znalazły się też Litwa i Albania. Niektórzy członkowie bloku byli wierzyicielami innych krajów, opłacało im się zatem utrzymywać solidną walutę. W wypadku krajów biedniejszych, do których można zaliczyć Polskę, Litwę i Albanie, w grę wchodziły raczej względy prestiżowe. Problemem bloku był stały odpływ złota poza kraje członkowskie. Ponieważ koszty produkcji pozostawały w nich wysokie, nie były one konkurencyjne w handlu zagranicznym. Dlatego złoty blok stopniowo się kurczył – w 1934 roku wycofały się z niego Włochy, a rok później Belgia – i ostatecznie rozpadł się wiosną 1936 roku, kiedy Francja zmieniła swą politykę walutową.

Kryzys doprowadził do ogromnego regresu w handlu międzynarodowym. Wszystkie państwa broniły się przed importem, wzrosły bariery celne, a zawieszanie wymienialności kolejnych walut utrudniało rozliczenia. Polski rząd popierał eksport poprzez system premii eksportowych. Stosowano też dumping, czyli obniżanie cen dóbr eksportowanych, rekompensowany wyższymi cenami wewnętrznymi – byle tylko zdobyć rynki zagraniczne. W ten sposób Polska wspierała m.in. eksport cukru i węgla. W tym okresie upowszechniły się umowy clearingowe, przewidujące handel na zasadzie zerowego salda bilansu płatniczego. Partnerzy mieli importować od siebie dokładnie tyle, ile wyeksportowali. W ten sposób zniżył problem regulowania salda, co dla państw utrzymujących niewymienialne waluty było istotne. Atrakcyjność umów polegała na tym, że w warunkach kurczenia się handlu międzyna-

rodowego zapewniały one określony poziom eksportu. Eksport ten nie zapewniał jednak dewiz. Była to prymitywna forma handlowania, gdyż nie można było skonsumentować nadwyżki w handlu z jednym krajem większym importem z innego.

INTERWENCJONIZM PAŃSTWOWY (1935–1939)

Polska polityka gospodarcza zmieniła się dopiero po śmierci Piłsudskiego w 1935 roku i rozpadzie złotego bloku rok później. W okresie kryzysu Eugeniusz Kwiatkowski, który naraził się Marszałkowi, nie pełnił żadnych funkcji państwowych (notabene – to się nazywa mieć szczęście). W 1935 roku, dzięki przyjaźni i poparciu prezydenta Mościckiego, objął eksponowane stanowiska wicepremiera i ministra skarbu. Zainicjował budowę (w ramach planu czteroletniego) Centralnego Okręgu Przemysłowego. Był on zlokalizowany w widłach Wisły i Sanu, co uzasadniano zarówno względami strategicznymi (oddalenie od granic z ZSRR i Niemcami), jak i dużym przeludnieniem oraz ukrytym bezrobociem na galicyjskiej wsi.

Budowę COP rozpoczęto w 1937 roku, ale przed wybuchem drugiej wojny światowej nie zdołano ukończyć wielu inwestycji. Zbudowano m.in. zakłady lotnicze (PZL) w Mielcu i Rzeszowie, fabrykę opon w Dębicy, elektrownie wodne w Rożnowie i Myszkowicach, hutę w Stalowej Woli, fabrykę samochodów ciężarowych w Lublinie, karabinów w Radomiu i Starachowicach. Była to największa – obok Gdyni – inwestycja Drugiej Rzeczypospolitej. Podobne przedsięwzięcia, również uzasadniane potrzebami obronnymi, podejmowano w innych państwach Europy Środkowo-Wschodniej (np. węgierski Program z Győr z 1938 roku). Kwiatkowski nakreślił też perspektywiczny 15-letni plan rozwoju Polski, który nie wyszedł jednak poza fazę wstępnego szkicu.

Rozpad złotego bloku w 1936 roku stworzył okazję do zmiany polskiej polityki walutowej. Na tym tle doszło do konfliktu między wicepremie-



Budowa zapory w Rożnowie – jedna z inwestycji realizowanych w ramach Centralnego Okręgu Przemysłowego

rem Kwiatkowskim a prezesem Banku Polskiego Adamem Kocem, który uważał, że Polska powinna zawiesić wymienialność waluty na złoto, zdevaluować ją i dołączyć do bloku szterlingowego. Kwiatkowski był z kolei zwolennikiem utrzymania kursu i wymienialności waluty przy wprowadzeniu reglamentacji dewizowej, czyli obowiązku odsprzedawania Bankowi Polskiemu obcych walut. Konflikt zakończył się zwycięstwem wicepremiera i dymisją Koca. Po 1936 roku złoty nadal był jedną z najmocniejszych walut w Europie i zachował wymienialność na złoto. W świetle ówczesnego prawa nielegalne natomiast byłyby nasze dzisiejsze kantory wymiany walut.

W latach 1936–1939 dochodziło do sporów między Kwiatkowskim a sferami wojskowymi. Były one efektem dekompozycji obozu rzą-

dzącego i coraz większego dystansu dzielącego grupę „zamkową”, skupioną wokół prezydenta Mościckiego, od grupy GISZ-owskiej (od Głównego Inspektoratu Sił Zbrojnych), skupionej wokół marsz. Edwarda Rydza-Śmigłego. Wojsko miało własny sześcioletni plan modernizacji sił zbrojnych, nieskoordynowany – co widać z samej różnicy terminów – z budową COP. Spory te w pewnym stopniu (ale z pewnością niedecydującym) zaważyły na przygotowaniach kraju do wojny.

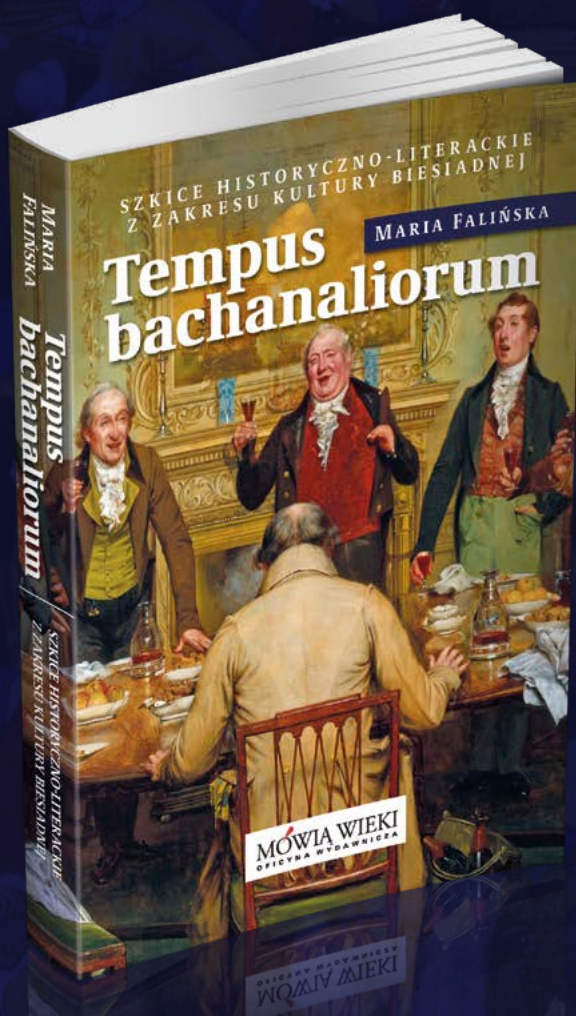
Podsumowując, można stwierdzić, że niezależnie od koniunktury polityka gospodarcza sanacji miała pewne cechy stałe. Po pierwsze, była zachowawcza społecznie, nastawiona raczej na petryfikację istniejących stosunków niż pobudzanie mobilności. Po drugie, dużą wagę

przykładano do przedsięwzięć prestiżowych, obliczonych na budowanie wizerunku kraju prężnego i szybko się rozwijającego. Nie powinniśmy z góry dyskredytować tego motywu. Odbudowa poczucia dumy narodowej to zadanie poważne. W latach sześćdziesiątych XX wieku Francja pod rządami de Gaulle’a postępowała podobnie. Dlatego mamy dwa pozornie sprzeczne, ale równocześnie prawdziwe, stereotypy dotyczące Drugiej Rzeczypospolitej: z jednej strony realną, głęboką biedę, a z drugiej równie realne symbole sukcesu: bombowiec Łoś, Luxtorpedę, flotę transatlantyków czy z takim sentymentem wspominanego w czasach PRL silnego złotego. ■

MARIA FALIŃSKA

Tempus bachanaliorum

SZKICE HISTORYCZNO-LITERACKIE
Z ZAKRESU KULTURY BIESIADNEJ



Dr Maria Falińska jest absolwentką UAM w Poznaniu, uczennicą prof. Jerzego Topolskiego i prof. Jolanty Dworzaczkowej. W latach siedemdziesiątych podjęła badania staropolskiej świadomości historycznej. Od początku też zajęła się biografistyką epoki staropolskiej. Wkrótce podjęła badanie wpływu procesu kulturowego na wzory osobowe szlachty – mężczyzn i kobiet. Powstały teksty poświęcone m.in. Ludwice Marii Gonzaga, biogramy dla PSB. Poszerzając krąg zainteresowań rekonstruowała zjawiska kulturowe epoki staropolskiej. Badała m.in. sarmatyzm jako swoiście polską formę historycyzmu politycznego. Publikując studia i eseistykę zajęła się też tożsamością stanową i narodową szlachty. Wieloletnie kwerendy źródłowe zaowocowały nie tylko artykułami. Opublikowała będącą podstawą doktoratu książkę już w roku 1984. Jest autorką *Odysei piwnej* (2020). Popularyzuje wiedzę historyczną, publikując w ostatniej dekadzie kilkadziesiąt tekstów w Magazynie Historycznym „Mówią Wieki”.

Dofinansowano ze środków
Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego
pochodzących z Funduszu Promocji Kultury



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

**Wydanie pierwsze poprawione,
format A5, liczba stron 312
Cena 49 zł (w tym koszt wysyłki i 5% VAT)**

**Sprzedaż wysyłkowa:
prenumeratamw@gmail.com**



Bogdan Borucki, historyk od lat związany z redakcją „Mówią wieki”:

Pragnąłbym prześledzić te chwile życia Poniatowskiego, w których ocierał się o śmierć, ale nie tylko w bitwach, lecz także wtedy, kiedy ponoć świadomie pragnął rozstać się z życiem, nie będąc zagrożonym bezpośrednio. Wydaje się, że poznanie motywów postępowania księcia Józefa w ekstremalnych sytuacjach może być istotnym *pendant* do poznania prawdziwej osobowości tego nietuzinkowego człowieka.

Wydanie pierwsze poprawione.

Książka w formacie B5, liczba stron: 174, indeks osobowy.

Cena 56 zł (w tym 5% VAT)

Do kupienia w salonach EMPIK w dziale PRASA

oraz WYSYŁKOWO przez:

prenumeratamw@gmail.com